

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIX.

ROK VIII.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY

Druk ukończono 1. Lutego 1883 r.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK

POZNAŃSKIE.

Wobec ogólnego a tak szczerze sympatycznego udziału, z jakim całego kraju naszego społeczność przyjęła fakt odsłonienia w d. 8 listopada 1882 gmachu i zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, nie obojętną, jak się spodziewamy, będzie czytelnikom *Ateneum*, krótka, historyczna wiadomość o jego początkach i dotychczasowych kolejach. Takie zadanie nie jest zupełnie łatwe. Trudność zaś tę stanowi może nie tyle niedostatek materyału, ile raczéj jego obfitość i stanowi ją daléj przedstawiająca się ze względu na rozmaitość rzeczy niepewność co do obrania w zapatrywaniu się na nią stanowiska. Ktoby chciał, na podstawie znajdujących się w zbiorach Towarzystwa i po za jego obrębem materyałów, skreślać wierną i kronikarsko dokładną historyą téj instytucyi, nie pomieściłby zaiste swéj pracy w szczupło wymierzonych ramach miesięcznego czasopisma. Ktoby daléj chciał zapatrywać się ze ścisłością i badawczością krytyczną na dotychczasową działalność i prace Towarzystwa, ktoby chciał wyprowadzać np. paralele między niém a istniejącemi teraz czy dawniéj, czy to w kraju czy po za krajem podobnemi instytucyami i korporacyami naukowemi, nie mógłby również rozmiarami swéj pracy nie przerość rozmiarów, jakie niniejszéj rozprawie z natury rzeczy przeznaczone; nadto, co ważniejsza, znalazłby się w konieczności wypowiedzenia zdań i sądów, któreby może Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie w pewien cień postawiły.

Co do nas, pozwoliliśmy sobie obrać drogę pośrednią, związać dzieje Towarzystwa z otaczającém życiem, przedstawić je jako objaw intelektualności, zabiegłości i ofiarności *tego* odłamu społeczności polskiéj, który z pewnością z pośród wszystkich innych na najcięższe i najtrudniejsze zapasy z żywiołem przeciwnym skazany...

Mimo, że nie chcielibyśmy opowiadania naszego nad miarę przedłużać, winniśmy przecież rzecz naszą, w interesie jéj zrozumiałości rozpocząć od roku 1848, a dokładniéj powiedziawszy od owego smutnego jutra wypadków elektryzujących poznańską społeczność i wzbudzających w niéj tak wielkie nadzieje. Przebudzenie z uroczego kilkunastodniowego snu było przykre i bolesne. Dalszy w rzeczywistość pochód nie przedstawiał, niestety, promienniejszych widoków. Między 1834 a 46 było Poznańskie uprzywilejowaną jakoby siedzibą rozwoju polskiéj umysłowości i polskiego ducha. Zakwitnęła tu we wszystkich kierunkach literatura, rozwinęło się z niepospolitą bujnością czasopiśmiennictwo. Równego kroku literaturze i publicystyce dotrzymywała poważna nauka, mając między innymi na różnych polach takich repezentantów, jak Libelt, Moraczewski, Łukaszewicz, Cieszkowski. Wypadki roku 1848 uderzyły istnym gromem w budowę tę odradzającego się z poprzednich ruin życia narodowego. Poznikały powoli jedno po drugiem co poważniejsze czasopisma z widowni poznańskiéj; poznikali z niéj nie mniéj liczni owi uzdolnieni współpracownicy, z innych stron kraju, którym swobodniejszy nieco stan rzeczy w Poznańskiém zatrzymać się tutaj pozwolił; a jedyną dziedziną, jaka umysłowości i duchowéj działalności poznańskiéj wśród późniejszych wypadków roku 1848 i przez kilka lat po nich zostaje, jest—*publicystyka.* Dość było sygnału berlińskiego z dnia 18 marca 1848, aby, nie mówiąc o innych następstwach i wrażeniach, wywołać na widowni poznańskiéj wydawnictwo nowego organu politycznego, jakim była wychodząca pod redakcyą Hipolita Cegielskiego *Gazeta Polska.* Późniéj, już w roku 1849, do konkurencyi z *Gazetą Polską* stanął wydawany pod redakcyą Karola Libelta i Ryszarda Berwińskiego *Dziennik Polski.* Powstawały równocześnie w Poznaniu pisma ludowe dążności i treści politycznéj, jak np. z wielkim talentem przez księdza Prusinowskiego redagowany *Wiarus.* Z roku 1849 na 50 zaczęły się pojawiać efemerycznie pisma, jak np. mistyczno-literacki organ *Krzyż a Miecz*, odzwierciadlający wszystkie dodatnie i ujemne strony swych redaktorów i współpracowników Karola Bulińskiego, Teofia Lenartowicza, Władysława Dzwonkowskiego i Adolfa Rozwadowskiego; jak excentryczna *Gazeta Wielkopolska* dawnego redaktora *Tygodnika Literackiego* poznańskiego, Antoniego Wojkowskiego. Pisma te wszystkie pojawiły się w owém burzliwém dwuleciu między wiosną roku 1848 a wiosną roku 1850, by (z wyjątkiem *Gazety Polskiéj*, *Dziennika Polskiego* i *Wiarusa*, mających dłuższe nieco trwanie) kończyć swój żywot po kilku lub kilkunastu numerach, bądź to z niedostatku funduszów, bądź z powodu zabronienia pobytu w Poznaniu i Poznańskiém

ich redaktorom i wydawcom. W maju wreszcie r. 1850, wskutek zamachu osadzonego późniéj w domu obłąkanych podoficera Sefelogego na życie króla Fryderyka Wilhelma IV, wydano rozporządzenia ograniczające do tego stopnia swobodę prasy a mianowicie czasopiśmiennictwa w Prusach, iż od 1 lipca 1850 z całéj owéj obfitości politycznych czasopism w Poznańskiém pozostał obok odwiecznéj *Gazety W. księztwa Poznańskiego* jeden tylko polityczny organ, codziennie wychodzący *Goniec Polski* pod redakcyą Hipolita Cegielskiego i Władysława Bentkowskiego. Trwał przez drugą połowę 1850 i cały rok 1851. Z dniem 1 stycznia 1852 zakończył i on życie, wskutek surowości ówczesnego prawodawstwa prasowego, które dawało władzy administracyjnéj możność odbierania co chwila koncesyi nakładcom dzienników opozycyjnych. Odebranie koncesyi Walentemu Stefańskiemu, nakładcy *Gońca Polskiego* położyło koniec jemu samemu a od 1 stycznia 1852 posiada Poznańskie wówczas na wpół-urzędzową już tylko, istniejącą pod rozmaitemi nazwami od r. 1796 *Gazetę w. księztwa Poznańskiego* i wydawany w sześciotygodniowych poszytach przez późniejszego księdza Jana Koźmiana *Przegląd Poznański*. Wobec wznoszącego się coraz wyżéj nurtu reakcyi politycznéj stawała się z każdym dniem większą niemożność wydawania jakiegobądź samodzielniejszego pisma. Po obfitości z przed roku 1846, po gorączkowém życiu lat 1848 i 1849, rozpoczyna się od roku 1852 w Poznańskiém na dobre stan omdlenia i jakoby upadku ducha.

Widać to zaś nietylko w literaturze i nietylko w publicystycznéj dziedzinie. Naukowo może się jeszcze Poznańskie naówczas poszczycić pewnym zasobem sił i imion. Nie działają one jednakże organicznie, ani nie mają jakiegoś wyraźnie zakreślonego programu. Przedstawiają nadto widowisko dziwnego rozbicia i rozstrzelenia, chodzą samopas bez spójni i porozumienia z samymi sobą, bez zespolenia się z życiem umysłowém otaczającego społeczeństwa. Posiada wówczas Poznańskie, by od niego zacząć, człowieka i Mecenasa nauki, w osobie Tytusa Działyńskiego. Rok 1852 właśnie jest datą wydania pierwszego tomu jego monumentalnych *Actów Tomicianów* i rozpoczynających się innych, dziejowéj treści publikacyj. Ma daléj wówczas Poznańskie na swym obszarze męża tak znakomitéj nauki, jak Józefa Łukaszewicza, który rozpoczyna ponowną seryą swych źródłowych prac dziejowych od *Dziejów kościoła helweckiego w Małopolsce*, by przejść następnie do *Historyi kościołów dyecezyi poznańskiéj*. Kilka lat po roku 1848 są daléj datą bardzo zabiegłéj jeszcze czynności Jędrzeja Moraczewskiego około *Dziejów Rzeczypo-*

spolitéj Polskiéj; które miał doprowadzić do abdykacyi Jana Kazimierza.

Pędzi naówczas cichy żywot na ustroniu wiejskiém, usuwając się chwilowo od czynności literackiéj i naukowéj Karol Libelt. August Cieszkowski, autor wydanego w roku 1848 *Ojcze nasz*, uczestniczy w owéj chwili więcéj w życiu parlamentarném, jako członek sejmów pruskich, aniżeli oddany studyom swéj specyalności filozoficznéj. Żyje, wówczas jeszcze generał Franciszek Morawski, wydaje swój piękny *Domek mego dziadka*, wydaje następnie swe przekłady pięciu poematów Byrona. Ma daléj wówczas Poznańskie inteligencyą ekscentryczną, nieprodukcyjną, ale niezaprzeczoną a jak się późniéj okazać miało, przystępną każdéj szlachetnéj i dodatniéj my... inteligencyą, jaką był Roger Raczyński. Zaliczamy wreszcie do czynników światła i inteligencyi rodziméj ówczesnéj w Poznańskiém tak niezmordowanego nakładcę, jakim *wtedy* mianowicie był Żupański, wydawca dzieł Lelewela, Łukaszewicza, nie mówiąc o wielu, bardzo wielu innych a przekonamy się, że jakkolwiek burze lat 1846 i 48 wraz ze swémi następstwami rozbiły *organizm* intelektualnego życia poznańskiego, jaki istniał przedtém, pozostawiły przecież obfity jeszcze materyał, aby zeń do odbudowania zdruzgotanego gmachu przystąpić.

Tu jednakże przychodzimy właśnie do dotknięcia głównego owéj epoki niedomagania, którém jest zwątpienie i jakoby pewne opuszczenie rąk w dziedzinie zbiorowéj, organicznéj działalności. Wszystkie te powyżéj wskazane siły i czynniki żyją jakoby dla siebie samych, w odosobnieniu; pracują prawda, ale pracują bez łączności z sobą, bez owéj żywéj zwłaszcza komunikacyi z ogółem, jaką się odznacza wręcz przeciwnie epoka między rokiem 1840 a 46. Zresztą nie przedstawiała falanga wspomnianych co dopiero osobistości, choćby faktem nawet wspólnego na jedném miejscu pobytu, jakiéj bądź łączności. Jedyny Moraczewski i Działyński w bliskim swym Kurniku mogli się jeszcze uważać za mieszkańców Poznania. Aleź inni? Cieszkowski i Roger Raczyński, pierwszy zawsze prawie na sejmie lub za granicą, drugi w wiecznéj podróży. Libelt gospodarzem na wsi w jednym z północnych powiatów; Łukaszewicz i Franciszek Morawski podobnymiż mieszkańcami wsi w południowych znów, przeciwległych powiatach. Zauważmy nadto, że w lutym roku 1855 umarł w Poznaniu Jędrzéj Moraczewski, osobistość jednocząca jeszcze jako tako około siebie naukowe młodszéj generacyi dążenia.

W stanie takiego rozbicia i rozstrzelenia, wśród postępującego coraz więcéj przymusu władzy administracyjnéj; przymusu posuwa-

jącego się tak daleko, iż z jednéj strony reprezentacya polska W. Księztwa Poznańskiego w sejmie pruskim spadła na *sześć* osób, kiedy z drugiéj poczęto wytaczać nakładcy dzieł Kacpra Miaskowskiego procesy prasowe o wyrzeczone przez poetę w początkach XVII wieku zdania,—pojawiła się myśl przerwania owego stanu senności i rozbicia przez utworzenie naukowego stowarzyszenia,—w kołach „maluczkich," pomiędzy *nie* koryfeuszami i luminarzami nauki. Datę powstania tego pomysłu jesteśmy w stanie oznaczyć bardzo dokładnie. Jest nią jesień roku 1856 a jeżeli chodzi o zaszczyt inicyatywy i zasługę pierwszego pomysłu, to—*nomen eorum legio.* Liczył naówczas Poznań w sądownictwie, pośród stanu wyższego nauczycielskiego, wśród obywatelstwa miejskiego, wśród sukursu przybywającego mu ze strony obywatelstwa wiejskiego i ze sfer duchownych, wielu młodych ludzi przejętych szczerym tak dła powodzenia nauki jak dla ogólnego dobra publicznego zapałem. Wspomnijmy w ich rzędzie Władysława Niegolewskiego, Kazimierza Szulca, Leona Wegnera, profesora M. Mottego, Stanisława Szenica, dwóch braci Studniarskich, Józefa Przyborowskiego, Władysława Nehringa, Jana Romanowskiego, nie wspominając innych. Ze starszéj generacyi należy się pośród nich wzmianka znakomitemu językoznawcy księdzu Malinowskiemu, Władysławowi Kosińskiemu, Karolowi Karśnickiemu, Hipolitowi Cegielskiemu, Władysławowi Bentkowskiemu. Z tego to grona wyszedł pomysł pierwszy założenia naukowego towarzystwa polskiego w Poznaniu na wzór dawniejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, czemu nie przeszkadza wcale, że na licznie odbywających się wtedy zebraniach, odzywały się pesymistyczne głosy nie rokujące projektowanemu przedsięwzięciu powodzenia, już to z przyczyny niedostatecznych sił naukowych, już z przyczyny przeszkód ze strony rządowéj. Jak dalece przecież pesymizm *nie* był wypływem ani jakiejś obojętności, ani złéj dla samegoż pomysłu woli, najlepszym dowodem fakt, że właśnie owych „pesymistów" znajdujemy późniéj między najgorliwszymi pracownikami i dobroczyńcami Towarzystwa. Z pomiędzy dwóch takich zacnych „pesymistów" zasługują np. na wyróżniające wspomnienie Hipolit Cegielski i Władysław Bentkowski. Pierwszy uczestniczył późniéj sumiennie w pracach Towarzystwa i ofiarował mu nawet (r. 1876) pomieszczenie w swym domu, gdy się znalazło w chwilowym kłopocie po eksmisyi z gmachu Biblioteki Raczyńskich; drugi był przez dość długi przeciąg czasu przewodniczącym wydziału nauk historyczno-moralnych Towarzystwa i bierze do dziś dnia żywy udział w jego pracach i posiedzeniach.

Wspomnieliśmy o odbywających się w ciągu jesieni roku 1856 zebraniach przedwstępnych Towarzystwa. Wspominając o nich, popełnilibyśmy niedokładność historyczną, gdybyśmy nie wymienili osobistości, które zebraniom podobnym i obradom gościnnie domy swe otwierały. Były niemi Tytus Działyński, Roger Raczyński i Władysław Niegolewski. Ostatni mianowicie z wymienionych miał wielką zasługę w zebraniu żelaznego funduszu Towarzystwa, dochodzącego do sumy 8.000 talarów, do dziś dnia nienaruszenie istniejącego a zebranego z jednorazowych 200 talarowych składek co majętniejszych dobroczyńców instytucyi. Pierwszeństwo przecież między tymi rzeczywistymi a praktycznie w pomoc Towarzystwu przychodzącymi opiekunami należy się Rogerowi Raczyńskiemu, który z godną wszelkiego uznania ofiarnością oddał na użytek obrad i zgromadzeń Towarzystwa, w téj jego genetycznéj z roku 1856 na 57 fazie, mieszkanie swe parterowe w gmachu Biblioteki Raczyńskich, który następnie, gdy Towarzystwo się ukonstytuowało a dary w książkach, przedmiotach archeologicznych i osobliwościach przyrody zaczęły coraz liczniéj nadpływać z różnych stron, całe toż mieszkanie z poświęceniem własnych praw i wygody zbiorom Towarzystwa wraz z pomieszczeniem późniejszego ich konserwatora otworzył. Od roku 1857 do 1870 a więc przez trzynaście lat są losy Towarzystwa związane poniekąd z prawem Rogera Raczyńskiego i jego spadkobierców do posiadania lokalów w gmachu Biblioteki Raczyńskich. Pamięć jego genezy i pierwszych kilkunastu lat istnienia będzie zawsze spotykała się wdzięcznie i uznająco z osobą śp. Rogera Raczyńskiego i instytucyą stworzoną przez jego ojca.

W ciągu tych powtarzających się często, nieraz burzliwych, luźnych, jak na stosunki poznańskie zebrań, w których prócz młodéj, miejscowéj inteligencyi zaczęli powoli uczestniczyć i obywatele starsi z prowincyi, przybrało nareszcie Towarzystwo wyraźniejsze nieco z wiosną roku 1857 kształty. Przedewszystkiém ułożyło sobie ustawy, które z małemi, nie istotnemi zmianami były powtórzeniem dawniejszych statutów Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego. Takie, nawiasowo powiedziawszy, zbyt wierne owych statutów kopiowanie spowodowało późniéj, świeżo nawet teraz jeszcze, konieczność rewizyi ustaw w celu zastosowania ich do okoliczności miejscowych i potrzeb Towarzystwa. W miesiącu czerwca 1857 odbyło się w gmachu Biblioteki Raczyńskich walne zebranie członków Towarzystwa, na którém obrano wreszcie pierwszy jego zarząd. Prezesem został August Cieszkowski, który jednakże, wyjeżdżając wkrótce potém na dłuższy czas za granicę, zrzekł się ofiarowanéj sobie godności i ustąpił miejsca Tytusowi Działyńskiemu. Wice pre-

zesem obrano znanego zaszczytnie lingwistę polskiego i słowiańskiego księdza Malinowskiego proboszcza z Komornik, redaktorem mających się wydawać Roczników Władysława Niegolewskiego; podskarbim Heliodora Skórzewskiego a po jego zgonie, który wkrótce potém nastąpił, dra Mateckiego; sekretarzem wreszcie syndyka konsystorskiego Leona Wegnera. W składzie powyższym uwzględniano według zasługi naukowéj i obywatelskiéj osobistości, jakiemi Poznańskie naówczas rozporządzało i jakie się do szeregów jego pracy stawiły. Niechaj niezadziwia tu czasem nieobecność dwóch znanych i zasłużonych w dziejach oświaty poznańskiéj imion, Karola Libelta i Józefa Łukaszewicza. Co się tyczy pierwszego, był wprawdzie Towarzystwu życzliwym i miał późniéj stanąć w rzędzie bardzo gorliwych jego pracowników. Na tymczasem zatrzymywały go na ustroniu wiejskiém zatrudnienia gospodarskie i kłopoty rodzinne. Co się zaś tyczy Łukaszewicza, był to naukowy soliter, który patrząc na zawiązujące się Towarzystwo z pewną wyższością zarozumiałości, nie został nigdy jego członkiem i nie okazywał mu się nigdy życzliwym. W *tę* to chwilę,—a wspomnieć o tém warto *tutaj* właśnie choćby ze względu na porządek chronologiczny,—przypada fakt pierwszego wystąpienia władzy administracyjnéj poznańskiéj wobec znamienującego coraz głośniéj i wyraźniéj obecność swą Towarzystwa. Naczelnym prezesem W. Księztwa Poznańskiego był naówczas Puttkammer; prezesem policyi poznańskiéj Bärensprung, obaj wierni reprezentanci praktykującego się systemu, biurokraci najczystszéj wody; z natury rzeczy i swego stanowiska podejrzliwi i niechętni dla każdego, choćby najniewinniejszego przedsięwzięcia polskiego, szczerze powiedziawszy jednakże z pewnością nie gorzéj usposobieni dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk od wszystkich swych późniejszych następców. Towarzystwo nie przedstawiało téż zresztą ze stanowiska litery prawa żadnego zarzutu. Trzymając się najsumienniéj od samego początku zawiązania swego przepisów prawa o stowarzyszeniach z dnia 11 marca 1850, wykluczało z rzędu traktowanych przez się przedmiotów wszystkie sprawy polityczne i ograniczało swą działalność na dziedzinę naukową. Ograniczając się w ten sposób, nie podlegało żadnym kontrolom władzy policyjnéj, powinno było i mogło być bezprzeszkodnie przystępném dla wszystkich pośrednich i bezpośrednich urzędników państwa. Wobec takiéj najniewątpliwszéj oczywistości, czyż było rzeczą potrzebną a nadewszystko praktyczną, gdy kilku nauczycieli Polaków zatrudnionych przy gimnazyum poznańskiém zapytało się tak zwanego prowincyonalnego kolegium szkolnego jako władzy przełożonéj o pozwolenie należenia do Towarzystwa? Zdaje nam się, że *nie*; stało

się tak jednakże, a sprowadziło następstwa przewidziane tak wybornie w znaném przysłowiu niemieckiem: *Wer viel fragt, bekommt viel Antwort.* Królewskie prowincyonalne szkolne kolegium nie mając kompetencyi wydawania jakichbądź w téj mierze zakazów wobec wyraźnego przepisu prawa o stowarzyszeniach, dało przecież pytającym pedagogom „*radę*,“ aby się lepiéj powstrzymywali od udziału w pracach i posiedzeniach Towarzystwa. Co taka rada znaczy, wiedzą dobrze wszyscy świadomi poznańskich stosunków. Zresztą, jak zobaczymy niżéj, nie skończyło się w kilka lat późniéj na téj „*radzie*“ tylko, radzie, która na tym czasem wpłynęła tamująco na rozwój Towarzystwa. Aby pozostać na chwilę jeszcze przy tym samym przedmiocie, powiedzmy, że późniéj nieco już w pierwszych miesiącach roku 1859, już za rządów tak zwanéj „nowéj *ery*,“ udał się Tytus Działyński w charakterze prezesa Towarzystwa do Berlina, aby u ówczesnego ministra oświecenia, Bethmanna—Hollwega, zwolennika tak zwanego programu staro-liberalnego, postarać się o uznanie Towarzystwa jako prawnéj korporacyi i wyjednać pozwolenie uczestniczenia w jego pracach nauczycielom zakładów publicznych. Liberalny minister odmówił obu postulatom, robiąc uwagę, że prowincyonalne szkolne kolegium poznańskie nie wydało zakazu, lecz dało tylko radę. Przy téj sposobności nastąpiła jednakże według ogłoszonego przez Działyńskiego sprawozdania, między nim a P. Bethmann—Hollwegiem cierpka wymiana słów, któréj obie strony usiłowały dać nadaremno żartobliwy obrót. Działyński zauważył, że nawet żydom pod panowaniem Rzymskiém pozostawiono prawo posługiwania się własnym językiem a że Zbawiciel opowiadał swe prawdy po hebrajsku. Na to przerwał minister uwagą, iż „P. Działyński się myli, gdyż najprawdopodobniéj Chrystus przemawiał do swych słuchaczów w języku aramejskim, jako języku miejscowéj ludności.“ „Zgoda i na to,“ odpowiedział Działyński, „bo i my właśnie téż pragniemy kształcić *nasz* aramejski język.“ Minister skłonił się na to, na znak skończonego posłuchania a prezes Towarzystwa powrócił z niczém do Poznania.

Prawdę powiedziawszy, powstrzymała ta postawa rządu, wyrażająca, jak nadmienialiśmy, intencye swe nie w kategorycznéj formie zakazu, ale tylko rady, *tych* tylko urzędników i nauczycieli od uczestniczenia w pracach Towarzystwa, którzy od nich powstrzymanymi być chcieli. Tak przynajmniéj było aż do roku 1866, w którym to czasie przełożone władze sądowe i administracyjne *zakazały* stanowczo, pod zagrożeniem procesu dyscyplinarnego, podwładnym swym urzędnikom należeć do Towarzystwa i brać jakibądź udział w jego zatrudnieniach. W owych pierwszych latach natomiast,

od roku 1857 do 1863 mianowicie, widzimy właśnie urzędników i nauczycieli czynnych naukowo około Towarzystwa. Profesor Marceli Motty, tłumacz Wergiliusza, Horacego i Aristofanesa jest przez niejaki czas przewodniczącym w wydziale nauk historyczno-moralnych. Kazimierz Szulc czyta swe rozprawy treści archeologicznéj; Józef Przyborowski swe zajmujące studya o Janie Kochanowskim; Władysław Nehring swą piękną pracę o Dymitrze Solikowskim; Mierzyński o Klonowiczu; Maksymilian Studniarski jest przez dość długi czas sekretarzem wydziału historycznego i konserwatorem zbiorów Towarzystwa. W téj lustracyi zaś pomijamy wiele, bardzo wiele jeszcze innych imion (wspomnijmy z nich przedewszystkiém jako nader gorliwego pracownika na polu dziejów Stanisława Augusta mianowicie syndyka konsystorskiego Leona Wegnera) — imion, któreby dowiodły, jak dalece dobra dla nauki i spraw publicznych wola była wyższą *wówczas* nad wszelkie, jakie bądź inne względy.

Po tym niezbędnym dla obeznania się z wewnętrznemi dziejami Towarzystwa nawiasie, wróćmy znów do zachowującéj porządek chronologiczny relacyi. Wspomnieliśmy jako o fakcie z miesiąca czerwca 1857, o walném zebraniu Towarzystwa, które ostatecznie jego ukonstytuowało i wybrało wyżéj wspomniany zarząd. W dalszym owéj organizacyi rozwoju, ukonstytuowały się pod dniem 23 września 1857 dwa wydziały Towarzystwa, wydział nauk historyczno-moralnych i wydział nauk przyrodniczych. Przewodniczącym pierwszego obrano zasłużonego w zawodzie parlamentarnym i publicystycznym Władysława Bentkowskiego, następnie znakomitego filologa i pedagoga profesora Marcelego Mottego, sekretarzem i pierwszym konserwatorem Towarzystwa wyższego nauczyciela Maksymiliana Studniarskiego. Około utworzenia wydziału nauk przyrodniczych miał główną zasługę doktór Gąsiorowski, pracowity i zasłużony autor czterotomowego dzieła *O dziejach sztuki lekarskiéj w dawnéj Polsce*. Z wyborów odbytych w dniu 31 października 1857 r. stanęli na czele tegoż wydziału: jako przewodniczący wykształcony gruntownie i pracujący na polu nauk przyrodniczych Felicyan Sypniewski, jako sekretarz nauczyciel Stanisław Szenic.

Po ukonstytuowaniu się obu wydziałów, rozpoczęły się w gmachu *Biblioteki Raczyńskich* regularne ich, co dwu-miesięczne posiedzenia. Między prelegentami wydziału nauk historyczno-moralnych spotykamy się wówczas najczęściéj z nazwiskami księdza Malinowskiego, Marcelego Mottego, Józefa Przyborowskiego, Kazimierza Szulca, Władysława Nehringa, Jana Romanowskiego, Antoniego Mierzyńskiego, Kazimierza Jarochowskiego, Leona Wegnera, niekiedy Au-

gusta Mosbacha. W wydziale nauk przyrodniczych widzimy pomiędzy najczynniejszymi i przedewszystkiém samegoż przewodniczącego Felicyana Sypniewskiego, następnie doktorów Gąsiorowskiego i Mateckiego, szczerego entuzyastę nauki jakim był Karol Karśnicki, wreszcie nauczycieli Szafarkiewicza i Szenica. Co tu powiadamy o czynnościach, wydziałowych posiedzeniach i głównych pracownikach Towarzystwa, stosuje się do pierwszych kilku, pięciu czy sześciu lat jego istnienia i że wymienione przez nas dopiero co nazwiska *trwają* na swém zaszczytném stanowisku w oznaczoném przez nas kilkoleciu. O wartości *naukowéj* tych prac dość powiedziéć, skoro zauważymy, że Malinowski np. zajmuje do dziś dnia pierwszorzędne stanowisko w dziedzinie polskiego i słowiańskiego językoznawstwa; że prace Wegnera posunęły swego czasu naprzód znajomość epoki Stanisława Augusta, że studya Józefa Przyborowskiego nad literaturą polską XVI wieku odznaczają się niepospolitą gruntownością, że filologiczne prace i przekłady arcydzieł literatury starożytnéj Marcelego Mottego zasługują na zupełne uznanie specyalistów. Toż samo, w obrębie wydziału nauk przyrodniczych, dałoby się powiedziéć o odczytach i pracach doktorów Gąsiorowskiego i Mateckiego, toż samo o studyach Felicyana Sypniewskiego, Szafarkiewicza, Szenica i Karola Karśnickiego.

Ważniejszém może jeszcze dla dziejów oświaty w Poznańskiém pytanie, o ile zawiązujące się a raczéj już zawiązane i poczynające żyć naukowo Towarzystwo, zdołało zespolić się z ruchem umysłowym całego otaczającego społeczeństwa i wywołać jego interes dla siebie. Drugie pytanie o ile Towarzystwo samo zdołało stanąć *wówczas* na wysokości swego zadania i *chcieć* pracować w imię i na rzecz naukowych i duchowych potrzeb tegoż społeczeństwa? Na oba te pytania pozwala nam najczystsza prawda historyczna, najsumienniejsze rozpatrzenie się w dokumentowym materyale, odpowiedziéć w sposób dla obu stron zaszczytny. Nowo-zawiązane Towarzystwo poczęło zwracać na siebie uwagę i budzić udział całéj społeczności. Najlepszym tego dowodem pozostanie fakt nasamprzód licznie ze wszech stron, istnym strumieniem nadpływających mu darów. Dość przejrzéć pod tym względem roczniki jedynéj gazety, jaką wówczas Poznańskie posiada, *Gazety W. Księstwa Poznańskiego*, aby się przekonać z ilu to stron, od ilu osób codziennie niemal przybywają Towarzystwu książki, numizmaty, ryciny, obrazy, przedmioty archeologiczne. Niezadługo (a zapisując ten fakt, nie wiążmy się do zbytku porządkiem rzeczy chronologicznym) poczynają się wcielać do zbiorów Towarzystwa całe biblioteki, mniejszéj i większéj objętości. Tak istniały między rokiem 1834 a 40 w Poznańskiém

Towarzystwa zabaw, nie ograniczające się przecież jedynie tylko na *zabawie*. Towarzystwa takie, istniejące w Gostyniu, Gnieźnie, Szamotułach, Raszkowie posiadały swe biblioteki, posiadały tu i owdzie swe zbiory starożytnicze. Towarzystwa te rozwiązały się oddawna. Zawiadujące ich pozostałością osoby uważały, i bardzo słusznie za rzecz stosowną oddać ją na użytek Towarzystwu Przyjaciół Nauk Poznańskiego. W ten sposób nie ginęła praca i skrzętność epoki poprzedniéj dla generacyi następnéj a zbiory nowego Towarzystwa wzrastały pospiesznie. Późniéj, wiele późniéj jeszcze przybywała pod tym względem właśnie Towarzystwu w pomoc gorliwość i ofiarność prywatna. Tak ofiarowała rodzina Moraczewskich bibliotekę po historyku Jędrzeju. W podobny sposób obdarzyli je Edward Grabowski biblioteką zakupioną po doktorze Gąsiorowskim, spadkobiercy księdza prałata Jana Koźmiana wspaniałą pod względem liczby i treści *jego* biblioteką; Kazimierz Kantak, Stefan Ciecierski, profesor Kraiński mniéj lub więcéj licznemi księgozbiorami, które obecnie składają się na 50,000 tomów stanowiących bibliotekę Towarzystwa. Ważniejszym może jeszcze dowodem interesu i zaufania, spotykającego Towarzystwo ze strony co światlejszych żywiołów społeczeństwa poznańskiego, było powierzanie jego sądowi i ocenie rozmaitych konkursowych zadań, zawdzięczających samoż swe zainicyonowanie w znacznéj części istnienia Towarzystwa. Do rzędu takich, poczynając od najskromniejszego, zaliczmy konkurs na napisanie najlepszéj satyry przeciw grze w karty, zaliczmy następnie wyznaczoną przez Augusta Cieszkowskiego nagrodę 1000 talarów za napisanie najlepszéj rozprawy *O stosunkach włościańskich w dawnéj Polsce*, która to nagroda, nawiasowo powiedziawszy, została przyznana następnie Wacławowi Aleksandrowi Maciejowskiemu. Dowodem takiegoż samego zaufania społeczeństwa dla Towarzystwa był fakt oddania mu *naukowego* zawiadownictwa funduszu ś. p. Norberta Bredkrajcza. Ś. p. Bredkrajcz niefortunny pisarz i poeta, wyświadczył przecież, umierając, społeczeństwu swemu tę uznania godną zasługę, iż procent od kapitału 15,000 talarów przeznaczył rok rocznie na wynagrodzenie najlepszéj konkursowéj pracy w dziedzinie poezyi lub historyi polskiéj. Rozporządzalność tym funduszem powierzył fundator Alfonsowi Taczanowskiemu a raczéj związał ją z losami utworzonéj przez tegoż ordynacyi. Alfons Taczanowski a po jego śmierci reprezentanci ordynacyi przelali to prawo swoje na Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a jedną z takich prac uwieńczonych nagrodą konkursową, 500-talarową, z Bredkrajczowego funduszu jest czterotomowe, niewydane jeszcze bezimiennego autora dzieło: *O historyi Słowian między Elbą a Wisłą.*

Jeżeli zapytamy na odwrót, nie wiążąc się również w naszéj odpowiedzi zbyt ściśle porządkiem chronologicznym, o ile Towarzystwo ze *swéj* strony wywzajemniało się społeczeństwu, wskazać nam wystarcza na takie pojawy, jak na spełnioną przez księdza arcybiskupa Przyłuskiego, ale zainicyonowaną przez Towarzystwo za pośrednictwem syndyka Wegnera, restauracyą co starożytniejszych kościołów, między innemi np. pięknego kościołka Panny Maryi w Poznaniu, przy tumie. Dość wskazać nam daléj na pomnik Klonowicza w Sulmierzycach; na tablicę pamiątkową braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Żninie, Stanisława Staszyca w rodzinném mieście jego Pile; arcybiskupa Ignacego Krasickiego w Gnieźnie i na restauracyą kaplicy Potockich, pod którą zwłoki jego spoczywają. Dodajmy do tego, pomijając *Roczniki*, o których niżéj jeszcze będzie mowa, wydawnictwa takie, do jakich zaliczyć należy cztery tomów liczący *Kodex dyplomatyczny wielkopolski* i *Liber Beneficiorum* Łaskiego; nie zapominajmy o publicznych zebraniach Towarzystwa, których odczyty ściągają mniéj lub więcéj liczny zastęp publiczności, budzą w niéj interes dla nauki, sztuki i wogóle oświaty rodziméj, któraby *bez* Towarzystwa nie znajdowała w Poznańskiém swego centralnego, ogrzewającego ogniska.

Niechaj ta wycieczka na pole moralno-naukowéj doniosłości nowo-zawiązanego Towarzystwa nie przeszkadza przecież jego *Kronice*, któréj, dzięki właśnie podobnéj wycieczce, tém treściwsze i zwięźlejsze opowiadanie poświęcić znajdziemy się w potrzebie.

Wśród odbywających się co dwumiesięcznych obu wydziałów posiedzeń, wśród nadpływających ze wszech stron i porządkujących się według możności darów, wśród mnożących się, choć nie przychodzących z natury rzeczy do skutku projektów, jak np. ułożenia obrazu statystyczno-historycznego W. Księstwa Poznańskiego, jak ułożenia podobnegoż obrazu archeologicznego, odbyło się dnia 12 lutego 1858 ponowne walne zebranie nie bez pewnego donioślejszego znaczenia w dziejach Towarzystwa. Nasamprzód stanął nowy zarząd, składający się z Tytusa Działyńskiego jako prezesa, profesora Zaborowskiego jako wice-prezesa, doktora Mateckiego jako podskarbiego, Władysława Niegolewskiego jako redaktora, Leona Wegnera jako sekretarza. Równocześnie uchwaliło walne zebranie prosić ówczesnego arcybiskupa gnieznieńsko-poznańskiego, księdza Leona Przyłuskiego o przyjęcie prezesostwa honorowego Towarzystwa. Dnia następnego po powzięciu téj uchwały zaniosła arcybiskupowi prośbę tę Towarzystwa deputacya złożona z Karola Karśnickiego, Edmunda Taczanowskiego i Kazimierza Jarochowskiego. Arcybiskup przyjął prośbę przychylnie, co było niemałą korzyścią

moralną dla Towarzystwa, zaręczając mu udział i pomoc duchowieństwa poznańskiego. Następnie stanowi miesiąc czerwiec roku 1858 nie bez wagi datę w dziejach Towarzystwa. Była to epoka krótko niestety trwała pewnego odetchnienia i w innych stronach naszego kraju, częstéj i licznéj komunikacyi jego gości i reprezentantów z Poznańskiém, epoka rozbudzonego i żywo pulsującego tutaj życia. W czerwcu 1858 był w Poznaniu liczny zjazd obywatelstwa z prowincyi z powodu zwykłego targu na wełnę, świętojańskich kontraktów, tak zwanéj wersury towarzystwa ziemstwa kredytowego. Zjechał nadto wówczas do Poznania teatr krakowski, przybył równocześnie z nim Ludwik Kondratowicz. Korzystając z tego zjazdu urządził ówczesny prezes Towarzystwa, Tytus Działyński, w wielkiéj sali swego pałacu publiczne zebranie, tak liczne, jakiego ani przedtém ani późniéj nie było nigdy. Odbyło się owo zebranie dnia 28 czerwca 1858. Przemawiał na niém zagajając sam prezes; mieli następnie odczyty: Białecki podał *Opis Gniezna pod względem historycznym i starożytniczym;* Stanisław Szenic mówił *O zorzy północnéj.* Zakończył posiedzenie sekretarz Leon Wegner odczytaniem sprawozdania ze zbiorów, prac i innych czynności dotychczasowych Towarzystwa.

Dwulecie od roku 1858 do 1860 nie znaczy się w kronice Towarzystwa żadnym szczególnéj wzmianki godnym wypadkiem. Odbywają się regularnym porządkiem posiedzenia obu wydziałów pod przewodnictwem wskazanych wyżéj osób, odbywają odczyty głównie również wspomnianych pracowników Towarzystwa, nadpływają coraz liczniéj dary mieszczące się coraz ciaśniéj w ustąpionych sobie gościnnie przez Rogiera Raczyńskiego komnatach, w roku 1860 nareszcie wychodzi pierwszy, poważny treścią i objętością tom *Roczników*, przekonywający naocznie i dotykalnie dowód jego działalności.

W ten to sposób dobija Towarzystwo pamiętnéj daty r. 1861, która wraz ze swemi dalszemi następstwami miała się upamiętnić nie mniéj w losach Towarzystwa, jak się upamiętniła w dziejach samegoż kraju.

Nasamprzód znaczy się ta data dla Towarzystwa, pominąwszy jéj stronę polityczną, zgonem Tytusa Działyńskiego, zmarłego 12-go kwietnia 1861, stratą nieodżałowaną. Naturalném jéj a pierwszém następstwem była konieczność wybrania nowego zarządu, który na walném zebraniu, odbytém w czerwcu tegoż roku złożył się z następnych osób. Godność prezesa dostała się Augustowi Cieszkowskiemu; wice-prezesem Towarzystwa obrano Władysława Niegolewskiego, redaktorem Jana Działyńskiego, podskarbim doktora Matec-

kiego, sekretarzem Leona Wegnera, konserwatorem Albina Góreckiego. Przeciąg czasu od roku 1861 do 1866 przedstawia z naturalnych bardzo przyczyn najmniéj dodatnią epokę w dziejach działalności Towarzystwa. Nie można tego jeszcze wręcz powiedziéć o latach 1861 i 1862, w których to latach posiedzenia obu wydziałów odbywają się jeszcze regulaminowym porządkiem, w których odbywają się zwykłe odczyty wśród udziału wyżéj wymienionych osób a w ciągu których nawet Towarzystwo rozpisuje spełzły późniéj na niczém konkurs za napisanie najlepszéj pracy o Tadeuszu Kościuszce. Za to odbija się bardzo widocznie na losach Towarzystwa wpływ wypadków roku 1863 i jego bezpośrednich następstw. Wyszedł wprawdzie jeszcze na początku roku 1863 drugi tom *Roczników*, dzięki pracom przygotowanym lat poprzednich, ale następnie zaczyna, jeżeli tak wolno powiedziéć, przestawać bić żywotny puls Towarzystwa. Przyczyna tego bardzo naturalna. Prezes Cieszkowski bądź to w Berlinie na sejmie, bądź następnie za granicą; wiceprezes Władysław Niegolewski i redaktor Jan Działyński znaleźli się jeden w więzieniu, drugi za granicą. Wśród podobnych okoliczności nie mogła się *nie* zakraść dezorganizacya w funkcyonowaniu Towarzystwa, które, jeżeli wtedy nie upadło, ma do zawdzięczenia szczęśliwemu faktowi pomieszczenia swych zbiorów w gmachu *Biblioteki Raczyńskich*, któréj właściciel był również przymusowo skazany na pobyt za granicą; następnie zabiegłości i troskliwéj pieczy sekretarza ówczesnego Leona Wegnera i konserwatora Albina Góreckiego. Staraniom Wegnera mianowicie przypisać należy, że wśród okoliczności zewnętrznych tak mało sprzyjających, że wśród wewnętrznéj dezorganizacyi, przyszło przecież w roku 1865 do skutku wydawnictwo trzeciego tomu *Roczników*, obejmującego w najznaczniejszéj części własne Wegnera, rozprawy i studya dotyczące epoki Stanisława Augusta.

Zauważmy téż jeszcze, wspominając o klęskach i niepowodzeniach, jakie wtedy na Towarzystwo spadły, iż w miesiącu lutym roku 1864 nastąpił w Paryżu zgon Rogera Raczyńskiego, wypadek, który pomijając stronę osobistéj straty, wywarł późniéj bardzo ważny wpływ na losy Towarzystwa.

Z końcem roku poczęły stosunki poznańskie po wstrząśnieniach lat poprzednich wracać powoli do normalnego stanu. Powrót ten „normalności" odbija się téż bezzwłocznie na działaniu Towarzystwa. Pod koniec r. 1865 doszło nareszcie do skutku walne zebranie, które postawiło nowy zarząd. Prezesem został obrany Karol Libelt, wice-prezesem Stanisław Koźmian, podskarbim dr. Matecki, sekretarzem i konserwatorem Hieronim Feldmanowski, reda-

ktorem Roczników dr. Świderski. Nie zadługo jednakże w powstający do nowego życia organizm Towarzystwa miał uderzyć równie niespodziewany, jak niezasłużony grom. Na temże samém walném zebraniu, które postawiło zarząd z osób dopiero co wymienionych, wybrano członkami honorowymi Towarzystwa, na wniosek syndyka Wegnera, Władysława Bentkowskiego jako zasłużonego publicystę i autora uwieńczonéj rozprawy *O sejmach polskich*, tudzież generała Władysława Zamojskiego jako jednego z założycieli Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu i wspierającego cennemi darami dobroczyńcę Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Wyborowi temu dano ze strony władzy miejscowéj administracyjnéj interpretacyą dla Towarzystwa o ile możności jak najszkodliwszą. Ówczesny prezes policyi poznańskiéj znany nam już Bärensprung wygotował w miesiącu styczniu r. 1866 do wszystkich dykasteryj rządowych, do wszystkich władz nadto pozarządowych sprawozdanie, jakoby Towarzystwo rozwijało dążności politycznie rządowi przeciwne i jakoby się bawiło w nieprzyjazne mu demonstracye. Władza duchowna, dyrekcye Towarzystwa Ziemstwa Kredytowego, jeżeli się nie mylimy i władza miejska miasta Poznania pozostawiły fakt owego sprawozdania bez dalszych w obrębie swéj kompetencyi następstw i poprzestały na oświadczeniu podwładnych sobie urzędników a członków Towarzystwa, iż wyborem wzwyż wspomnianych osób na członków honorowych nie mieli nigdy intencyi dopuszczać się jakiejbądź demonstracyi a tém mniéj demonstracyi politycznéj w sensie rządowi przeciwnym. Inaczéj przecież zachowała się wobec zaskarżenia prezesa policyi poznańskiéj naczelna władza administracyjna i sądowa. Ówczesny naczelny prezes W. Księstwa Poznańskiego von Horn, wydał w charakterze prezydującego w prowincyonalném kolegium szkolném rozporządzenie, do podwładnych sobie nauczycieli, aby pod karą uniknienia śledztwa dyscyplinarnego powstrzymali się od udziału w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Takież samo rozporządzenie wydała do swoich urzędników naczelna władza sądowa w departamencie Poznańskiém. Łatwo pojąć, do jakiego stopnia tak kategoryczny zakaz wpłynął na rozwój i powodzenie Towarzystwa, do jakiego stopnia sparaliżował jego działalność pod względem liczebnym i intelektualnym. Nadaremne były przedstawienia, że cel i dążność Towarzystwa są czysto naukowéj natury, że najlepszym dowodem jego naukowego charakteru udział *takich* osobistości, jak barona Korffa w Petersburgu, Pertza w Berlinie, Webera w Dreznie, Wegenera i Smitha w Kopenhadze, uczonych i dygnitarzy zajmujących urzędowo-naukowe stanowisko w owych krajach. Nadaremno daléj zyskało sobie Towarzystwo

później uznanie uczonych niemieckich, jak sławnego profesora Virchowa, jak dyrektora niemieckiego gimnazyum poznańskiego, dyrektora Schwartza. Nadaremno nawet zyskało jakoby rodzaj urzędowego uznania przez zaproszenie ze strony ministeryum oświecenia na odbywający się w roku 1879 w Berlinie kongres archeologiczno-antropologiczny. Interdykt wyrzeczony w styczniu 1866 roku spoczywa na niém dotąd a urzędnikom państwowym jakiéj bądź kategoryi nie wolno być jego członkami. Trzeba istotnie było wiele znów wytrwałości i wiary w siebie, aby nie uledz pod ciężarem takich przeciwieństw. Pod tym względem należy przyznać cześć głównéj zasługi syndykowi Wegnerowi i konserwatorowi Feldmanowskiemu. Co się tyczy zacnego charakterem, dobrą wolą i nauką, miewającego od czasu do czasu publiczne odczyty prezesa Libelta, powstrzymywał go pobyt na wsi wraz z nieodłącznemi zatrudnieniami od świadczenia Towarzystwu *tych* usług, jakichby się po nim spodziewać było można. Zasługą téż Wegnera, jeżeli Towarzystwo mimo tych wszystkich przeszkód zdobyło się na takie dowody swéj żywotności, jakiemi były wychodzące w latach 1866, 1869 i 1871 tomy *Roczników*.

Tymczasem, pominąwszy wszystko inne, zawisła nad Towarzystwem wtedy właśnie nowa, niespodziana klęska, która przecież, jak poniższe opowiadanie przekona, miała się stać dziwném stwierdzeniem staréj prawdy, jak dalece nigdy przewidywania i rozum ludzki nie są w stanie obliczyć, co jest szczęściem i nieszczęściem, jak często daléj, byle nie tracić ducha, byle nie poddawać się zwątpieniu, byle rąk nie opuszczać, pozorne złe staje się wręcz przeciwnie źródłem dobrego.

Wspomnieliśmy wyżéj o zgonie Rogera Raczyńskiego w lutym 1864. Towarzystwo wraz ze swémi zbiorami korzystało ciągle i po zgonie tego dotychczasowego największego dobrodzieja swego, z jego gościnności i mieściło się w dolnych komnatach *Biblioteki Raczyńskich*, których użytkowanie według aktu fundacyjnego z dnia 20-go stycznia 1829 Edwarda Raczyńskiego, synowi jego Rogerowi na czas życia służyło. Ze śmiercią Rogera skończyło się to prawo, było jednakże faktycznie wykonywane przez syna jego Edwarda, który znów, wierny tradycyom i myśli ojcowskiéj, pozostawił Towarzystwo wraz z jego zbiorami w bezprzeszkodném posiadaniu zajmowanego dotąd lokalu. Miano nadzieję, że taki stan rzeczy utrwali się i przedawni na rzecz Towarzystwa, że gmina miasta Poznania, właścicielka obecna gmachu *Biblioteki Raczyńskich* z daru założyciela—Edwarda Raczyńskiego, nie będzie chciała jego wnuka a razem z nim Towarzystwa Przyjaciół Nauk rugować z darowanego

sobie przybytku. Nadzieja ta jednakże omyliła. Gdy Edward Raczyński dobrowolnie ustąpić nie chciał, wytoczyła mu gmina miasta Poznania proces exmisyjny, który się naturalnie skończył dla miasta wygraną. I teraz jeszcze łudzono się nadzieją, że komuna poznańska w posiadaniu exmisyjnego wyroku cofnie się przecież w ostatniéj chwili przed jego wykonaniem i nie będzie chciała wyrzucać przez egzekutora Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego wyrzucenie takie wychodziłoby równocześnie na wyrzucenie wnuka darodawcy z ofiarowanego przezeń wspaniałomyślnie miastu Poznaniowi gmachu. Mimo to nastąpiła przecież ta smutna ewentualność. Z początkiem roku 1870 znalazło się Towarzystwo w tragicznéj alternatywie dobrowolnych wynosin, niewiadomo tylko dobrze dokąd, z gmachu *Biblioteki Raczyńskich*, albo téż exmisyi ręką egzekutora. Nie można powiedzieć, aby to zagrożenie Towarzystwu w jego najżywotniejszéj stronie, nie miało wywołać współczucia i zabiegów zaradczéj natury. Między innymi, przypominamy sobie dobrze, ofiarował wiele przedtém jeszcze, bo w roku 1868, krótko przed swym zgonem, Hipolit Cegielski dom swój na pomieszczenie zbiorów Towarzystwa w razie, gdyby miało być pozbawioném prawa pobytu w gmachu *Biblioteki Raczyńskich*. Teraz, wobec spełniającego się faktu poczęto się krzątać około zebrania funduszu na wystawienie Towarzystwu osobnego gmachu. Starania te, pośród których widzimy skutecznie i ofiarnie czynnych braci Władysława i Zygmunta Szułdrzyńskich, nie pozostały bezowocnemi. Składka przyniosła około 6000 talarów. Złożona w depozycie *Tellusa* ta suma przepadła na nieszczęście w bardzo znacznéj części w jego bankructwie. Ocalona jéj i zwrócona przez Tellusową masę konkursową cząstka, poszła następnie na koszta budowli dzisiejszego gmachu Towarzystwa.

Najskuteczniejszą przecież, w ówczesnych ciężkich kłopotach Towarzystwa, okazała się interwencya tak zwanéj spółki Bazarowéj poznańskiéj. Zarząd téj spółki oświadczył wprost bezzwłoczną gotowość przyjęcia Towarzystwa i zbiorów jego do gmachu Bazarowego. Przenosiny po trzynastoletnim przeszło pobycie w gmachu *Biblioteki Raczyńskich* nastąpiły z wiosną roku 1870 a powiedzmy zaraz, że pobyt Towarzystwa w Bazarze trwał około trzech lat. W tym to smutnym i kłopotliwym czasie dziejów Towarzystwa, należy się wszelkie uznanie około troskliwego zachowania i pielęgnowania jego zbiorów konserwatorowi Feldmanowskiemu. Posiedzenia odbywały się w obu wydziałach zwykłym biegiem, a między ówczesnymi prelegentami wydziału historycznego spotykają się naj-

częścíej nazwiska wice-prezesa Stanisława Koźmiana, Leona Wegnera, Kazimierza Jarochowskiego i konserwatora Feldmanowskiego.

Wspomnieliśmy wyżéj, jak dalece owa eksmisya z gmachu *Biblioteki Raczyńskich* wyszła ostatecznie Towarzystwu na dobre i jak zamiast jego byt zachwiać, wręcz przeciwnie utrwaliła go i zabezpieczyła. Tutaj to winno opowiadanie nasze wspomniéć po raz pierwszy osobę Seweryna Mielżyńskiego. Brat znanego i zacnie zapisanego w dziejach Poznańskiego Macieja, obywatel ofiarny i gotowy zawsze do wszelkich dla kraju usług, bezdzietny, właściciel wspaniałéj włości Miłosławskiéj, sam artysta a nadewszystko mecenas sztuki i artystów wszelkiego rodzaju, zainteresował się losem zagrożonego Towarzystwa i postanowił mu przyjść czynnie w pomoc. Małżonka jego Franciszka z Wilkyckich, postępowała z nim, jak się niżéj jeszcze przekonamy, pod tym względem ręka w rękę. Rezultatem owego zainteresowania się zacnych właścicieli Miłosławia Towarzystwem Przyjaciół Nauk, były dlań dwa, równéj niemal a nieocenionéj wartości nabytki. Pierwszym był zakup osobnego domu dla Towarzystwa, kamienicy położonéj w Poznaniu przy ulicy Młyńskiéj, być może, iż w ówczesnym swym stanie podrujnowanéj nieco i niedostatecznéj na pomieszczenie zbiorów Towarzystwa, ale przecież własnéj nareszcie. Zresztą, jak zobaczymy daléj, nie przepomniał szlachetny darodawca, nabywając tenże dom w roku 1870, późniéj o jego należytém przebudowaniu.

Drugim takim nabytkiem dla Towarzystwa był ze strony Seweryna Mielżyńskiego zakup zbiorów bibliotecznych i artystycznych po baronie Edwardzie Rastawieckim. Rycin liczyły zbiory owe kilkanaście tysięcy, obrazów około trzystu, między którémi utwory pędzla Bacciarellego, Dolabelli, Lampiego, Norblina, Orłowskiego, Smuglewicza, Suchodolskiego, Brandta; nie dość na tém dzieła mistrzów pędzla, jak Guido Reniego, Murilla, Andrea del Sarta, Lesueura, Ruysdala, Van Dycka. Do tych trzystu obrazów dołączył jeszcze Mielżyński kilkadziesiąt obrazów własnéj kolekcyi i utworzył w ten sposób Towarzystwu galeryą, która z powodu niedostatecznego pomieszczenia, pozostała jeszcze przez niejaki czas w Miłosławiu. Tak to spełnił się za przewodnictwa Karola Libelta tyle ważny dla Towarzystwa fakt ustalenia ostatecznego jego losów. Nie poprzestając na tém, zabezpieczył jeszcze Mielżyński, umierając w grudniu 1872, testamentem swoim i swéj małżonki z dnia 12 lipca tegoż roku w następny sposób dalszy byt Towarzystwa. „Dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego — opiewa drugi artykuł tegoż testamentu— zapisujemy roczną rentę w ilości 2,000 talarów. Z renty téj pobierać będzie: *a*) 1,000 talarów każdorazowy prezes lub gdyby

tenże nie mieszkał w Poznaniu, każdorazowy wice-prezes tegoż Towarzystwa z obowiązkiem stałego zamieszkania w Poznaniu; *b*) 500 talarów jako dodatek pensyi dla konserwatora tegoż Towarzystwa; *c*) 500 talarów dla malarza, któremu piecza nad galeryą obrazów tegoż towarzystwa powierzoną bądzie. Spadkobiercę naszego zobowiązujemy, ażeby rentę powyższą od chwili objęcia spadku opłacał corocznie do rąk podskarbiego Towarzystwa, a skoro takowe pozyska prawo osoby moralnéj lub wogóle prawo nabywania własności, zabezpieczył je w księdze hipotecznéj dóbr Miłosławia dla Towarzystwa rzeczonego. III. Dla tegoż Towarzystwa Przyjaciół Nauk zakupiliśmy z funduszów naszych kamienicę w mieście Poznaniu przy ulicy Młyńskiéj pod Nr. 17 (35) położoną, która temuż na własność i użytek przez nas oddaną została. Tytuł własności téj kamienicy zapisany jest na imię spadkobiercy naszego, na którego wkładamy obowiązek, ażeby tytuł ten własności przelał i przepisał na imię Towarzystwa wymienionego, skoro takowe znajdować się będzie w stanie do posiadania własności sposobném i uprawnioném. IV) Gdyby rząd teraźniejszy lub przyszły wbrew woli i myśli naszéj własności zakładów powyżéj wymienionych na inne cele przeznaczyć lub takowe pod zarząd swój podciągnąć miał, natenczas wszystkie postanowienia w kodycylu niniejszym rozporządzone unieważnione i zniesione mieć chcemy a dobra Miłosławskie z przynależnościami i funduszami na własność Józefa hr. Mielżyńskiego i spadkobierców jego na podstawie prawa spadkowego przejść i powrócić mają. Na przypadek ten wkładamy na spadkobiercę naszego i następców jego obowiązek sumienia, ażeby pozostałość nasza, którą dla podniesienia moralnego i materyalnego dobra ziomków naszych przeznaczamy, z zastosowaniem okoliczności i potrzeb czasowych, jako téż w duchu powyższéj woli naszéj odpowiednim, na pożytek narodu naszego przez nich użytą i trwale zabezpieczoną została.“

Oto postanowienia testamentowe małżonków Seweryna i Franciszki Mielżyńskich, będące podwójnym pomnikiem, szlachetnego sposobu myślenia testatorów z jednéj, ubezpieczenia losu Towarzystwa Przyjaciół Nauk z drugiéj strony. Dwóch ludzi doczekało się wprawdzie, ale nie miało już spoglądać na zbawienne dla Towarzystwa skutki dobroczynnego rozporządzenia małżonków Mielżyńskich. Obaj zasłużeni dobrze około powstania, rozwoju i powodzenia Towarzystwa, zmarli niezbyt długo jeden po drugim.

Zakończył życie dnia 9 lipca 1873 Leon Wegner, zakończył życie dnia 9 czerwca 1875 Karol Libelt, położywszy na rok właśnie przed zgonem, dnia 9 czerwca 1874 kamień węgielny pod gmach

muzealny Towarzystwa. Po śmierci Libelta stanął nowy zarząd z następnych osób: Stanisława Koźmiana jako prezesa, dr. Mateckiego jako wice-prezesa, dr. Łubińskiego jako podskarbiego. Stanowiska powyższe w składzie zarządu zajmują wymienione osoby aż do obecnéj chwili, kiedy redakcyą *Roczników* reprezentowali na przemian dr. Świderski, notaryusz Jażdżewski i dr. Święcicki. Również nastąpiła w administracyi Towarzystwa przez uchwałę walnego zebrania *ta* ważna zmiana, iż odłączono urząd sekretarza Towarzystwa od urzędu konserwatora, że konserwator nie wchodzi odtąd w skład zarządu, ale jest mianowanym i zależnym od jego władzy urzędnikiem Towarzystwa. W skutek téj to uchwały zamianował zarząd roku zeszłego następcą po p. Hieronimie Feldmanowskim, znanego z prac historycznych skryptora bibliotecznego zakładu imienia Ossolińskich, p. Klemensa Kanteckiego.

Już w ciągu roku 1880 wszedł w grono zarządu jako sekretarz Towarzystwa hr. Wawrzyniec Bengelstierna=Engeström, który ma niezaprzeczoną zasługę w uporządkowaniu zbiorów, mianowicie galeryi obrazów Towarzystwa, którego dalszą zasługą, iż budowa gmachu Towarzystwa przyszła nareszcie do skutku. Przyczyniły się do niéj składki miejskiego i wiejskiego naszego obywatelstwa w materyale budulcowym i pieniądzach, przyczyniła, jak dopiero co powiedziano, niestrudzona niczém gorliwość sekretarza Towarzystwa. Dzięki temu stanął nareszcie gmach, stały się przystępnemi publiczności zbiory Towarzystwa. Pokaźna, trzypiętrowa kamienica na ulicy Młyńskiéj nosi napis u góry *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*, u dołu, na pierwszém piętrze złotemi literami napis: *Muzeum Imienia Mielżyńskich.* Na parterze frontowego gmachu znajduje się pomieszkanie konserwatora, na parterze dwóch skrzydeł podwórzowych gabinet archeologiczny, numizmatyczny i historyczno-naturalny. Trzy piętra tak frontowego, jak podwórzowego gmachu zajmują: galerya obrazów, biblioteka, czytelnia i ozdobiona gipsowemi popiersiami uczonych i zasłużonych około Towarzystwa Poznańczyków i Wielkopolan sala wydziałowych posiedzeń. Jak wiadomo, nastąpiła 8-go listopada 1882 uroczystość odsłonienia gmachu i oddania zbiorów Towarzystwa do użytku publicznego. Była to jedna z najrzewniejszych i najpiękniejszych razem uroczystości, jakie poznańskie od wielu lat zapamiętało. Mniejsza, że dzień téj uroczystości zgromadził w jednéj z sal galeryi obrazów, na trzeciem piętrze, pośród portretów osobistości historycznych liczną aż do przepełnienia z prowincyi i miasta Poznania publiczność. Mniejsza o mowy czy to prezesa Koźmiana, czy wice-prezesa dr. Mateckiego, czy sekretarza hr. Engesträma, czy zajmujące wielce sprawozdanie konserwatora Kan-

teckiego, czy nadchodzące ze wszech stron telegramy z powinszowaniem. Wszakże ceremoniał wszelkich takich uroczystości jest sobie wszędzie bardzo podobny, nosi wszędzie prawie te same cechy i znamiona. Co natomiast wzbijało w słuszną dumę, co dodawało wiary i otuchy we własne siły, co stanowiło rzecz główną całéj téj pięknéj uroczystości, to bijący z każdego obrazu, z każdego kamyka, z każdéj staréj szabli, z każdéj w pargamin oprawnéj księgi, z całości wreszcie tych zbiorów i gmachów fakt zwycięstwa własnéj wytrwałości i zewnętrznéj zabiegłości nad wszelkiemi trudnościami zewnętrznemi. Przyznają to wreszcie, zwiedzając obecnie tłumnie galeryą obrazów i zbiory Towarzystwa sami Niemcy, nie poczuwając się przecież dotąd do obowiązku zniesienia ciążącego nad Towarzystem interdyktu. Ma zaś ono swą piękną i zaszczytną kartę w dziejach rodziméj oświaty poznańskiéj. Trzy wydane od roku 1878 tomy *Roczników*, wydawnictwa takie, jak *kodeksu dyplomatycznego Wielkopolskiego*, jak *Liber Beneficiorum* Łaskiego, świadczą, że nie zaniedbuje ani na chwilę sprawy naukowego pola, choćby nawet, co się przecież regularnie dzieje, nie odbywały się co dwu tygodniowe posiedzenia obu wydziałów.

Nie ostatnią wreszcie, nie poślednią zasługą Towarzystwa pozostanie wywołanie w rzewny, serdeczny sposób często odzywającego się interesów dla narodowéj nauki i narodowéj instytucyi ze strony skromnych, maluczkich osobistości, po którychby się podobnego udziału nikt może nie spodziewał. Przegląd papierów i dokumentów Towarzystwa dostarcza pod tym względem materyału do ciekawych zastanowień i spostrzeżeń. Tak umiera na prowincyi zubożała znakomitego niegdyś w Wielkopolsce rodu ostatnia reprezentantka. Jedyny skarb, jaki jéj pozostał, niezłego pędzla familijne portrety przekazuje Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Istniał swego czasu w Poznaniu zacny oryginał, niezamożny urzędnik, stroniący od ludzi, którego jedyną namiętnością było zbieranie starych sztychów, ksiąg i rękopismów. Testamentem zapisuje owoc téj jedynéj namiętności swego życia Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Jest w Poznaniu do dziś dnia zacny, zamożny, nie uczestniączący przecież w życiu naukowém właściciel hotelu. Drogą sukcesyi dostały się w jego posiadanie obrazy niepospolitego pędzla. Nie proszony, nie wzywany przez nikogo, z inicyatywy własnéj obywatelskiéj ofiarności, poczuł się do obowiązku oddania tego spadku na własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Tego rodzaju stwierdzonych testamentami i aktami notaryalnemi ofiar na rzecz Towarzystwa moglibyśmy wskazać wiele. Poprzestajemy na powyższych, dowodzących dostatecznie według nas, jak żywy związek między poważną insty-

tucyą naukową a społeczeństwem poznańskiem, jak nawzajem czerpią z siebie soki żywotne, jak Towarzystwo opiera swe istnienie na gruncie społeczeństwa, jak społeczeństwo widokiem i przykładem Towarzystwa rozgrzewa się dla rodzimej nauki, jak się uczy ofiarności i służby dla pięknej myśli, na rzecz tak użytecznej instytucyi.

Kończymy na tém naszą kartę poświęconą treściwemu i krótkiemu, o ile możności poglądowi na dotychczasowe dzieje Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Wiadomo nam dobrze, że zupełnie dokładnym i wyczerpującym być nie może. Pominęliśmy w naszym pobieżnie skreślonym obrazie nie jednę naukową zasługę, nie jedną szczerze obywatelską ofiarę. Wiadomo nam nie mniéj, że czysto tylko *naukowa* działalność Towarzystwa, że jego Roczniki liczące teraz już jedenaście poważnych tomów, że jego liczne wydawnictwa, że jego zbiory naukowe i artystyczne zasługiwałyby na wiele szersze opracowanie. Wszystko to prawda. Jedyna zaś pretensya, jaką rościmy dla niniejszéj naszéj rozprawy jest, aby mogła się nazwać próbą przełamania pierwszych lodów, aby się stała bodźcem do sprostowań, dopełnień, opracowań nowych i z innego stanowiska podjętych, które nareszcie złożą się na obraz zupełny instytucyi zapisanéj tak dobrze i uczciwie, w dziejach rodziméj oświaty naszéj,—tak zasłużonéj jak *Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie* wraz z *Muzeum imienia Mielżyńskich.*

S. P.

Z ŻYCIA WŁOSKIEGO.

JÓZEF VERGA.

Włochy znajdują się obecnie w wyjątkowém położeniu, które uwzględnić trzeba rozpatrując się w objawach ich życia. Kraj ten, jak owa zaczarowana w bajkach księżniczka, nagle przebudzona pocałunkiem królewskiego kochanka, którego imię—swoboda, rozgląda się teraz wokoło, bo wszędzie okazują się potrzeby, niedobory, opuszczenia.

Po owych pokoleniach sennych, które ubiedz się dały na wszystkich drogach, spadło na wiek obecny ciężkie brzemię pracy i dziwić się trudno, jeśli podołać jéj w zupełności nie może.

Wszystkie naraz stosunki zostały zachwiane, zakwestyonowaną rutyna rządząca wychowaniem, sztuką, literaturą. Naród znalazł się pod każdym względem w zmienionych warunkach: to co mu starczyło dotąd, pokazało się nagle niedostateczném. Dawne bogi strącono z piedestału, a na ich miejsce nie uczczono innych. Nastała chwila niepewności, w któréj społeczeństwo włoskie zatraciło własne charakterystyczne cechy a stało się bladem odbiciem obyczajów francuskich, tak samo jak literatura włoska lat ostatnich kształtuje się na wzorach francuskich.

Był to fakt nieunikniony. W podobnych chwilach narody muszą posiłkować się naśladownictwem, dopóki nie wyrobią sobie sił i nie staną na takim stanowisku, by dalej postępować o własnéj mocy. Wogóle jednak w przejściowych epokach typy są chwiejne, zatarte, niewyraźne, zatém trudne do pochwycenia i te warunki wpłynąć musiały ujemnie na rozwój beletrystyki, która z tego powodu przybrała nietylko charakter naśladowniczy, ale także spóźniony, gdyż w fazie umysłowéj, w jakiéj znajdują się Włochy, pociągają ich często dzieła niegdyś głośne, ale przebrzmiałe już gdzie

indziéj. Dla nich dzieła te mają jednak jeszcze cały urok nowości, i dla tego znajdują wyraźne odbicie w literaturze.

Przywykliśmy od pewnego czasu spotykać na półwyspie blade tylko utwory i spoglądać na nich z lekceważącém pobłażaniem jako na objawy dzieciństwa sztuki.

W takich warunkach, tém bardziéj zajmującém zjawiskiem jest oryginalny powieściopisarz, który, na horyzoncie Włoch odrodzonych, jaśniéć zaczyna pierwszorzędnym blaskiem. Powieściopisarzem tym jest Józef Verga. Obdarzony zmysłem obserwacyjnym obznajmiony z literaturami zagranicznemi, karmiony nowożytnemi ideami posiada on nadto cierpliwość i energią, bez któréj marnują się nieraz największe zdolności. Pracę tę ocenić można dopiero rozpatrując koleją czasu jego utwory, widać w nich bowiem wyraźnie jak autor szuka drogi sobie właściwéj, łamie się z trudnościami chwili, stara się zapanować nad złémi warunkami, wśród których się znajduje, wynaleść formę odpowiednią wyjątkowemu położeniu kraju i własnym aspiracyom, oraz wypowiedziéć swoje postępowe tendencye bez szkody artyzmu.

Pierwszy ważniejszy utwór jego: „Historya ptaka w klatce“ (*Storia di una capinera*) wyróżnia się stanowczo od wszystkich dotychczasowych włoskich powieści. Jest-to studyum psychologiczne obejmujące dzieje i uczucia biednéj dziewczyny wychowanéj w klasztorze i skazanéj na zakonne życie przez macochę, która wmówiła w słabego choć kochającego ojca, że życie to odpowiada najlepiéj usposobieniu córki i zapewni jéj szczęście. Dziewczyna wychowana w pojęciach biernego posłuszeństwa i religijnego poddania, nie znając nic innego nad mury klasztorne nie stawia oporu woli rodzicielskiéj, przeciwnie, powtarza za innemi że jest szczęśliwą, że postanowienie to odpowiada jéj chęciom, a jeśli w sercu jéj budzą się niewyraźne żale za tym pięknym światem, który uśmiecha się do niéj zdaleka, jeśli serce uderza pragnieniami młodości, tłumi je jako poszepty szatana.

Tymczasem wybucha epidemia, wskutek któréj klasztor rozsyła do domów wszystkie czasowe pensyonarki i dziewczyna ze skrywaną radością powraca na czas krótki do świata.

W domu wszyscy bardzo dobrzy są dla niéj, przynajmniéj ona tak utrzymuje, powieść bowiem cała jest autobiografią bohaterki, przecież miejsce jéj przy ognisku rodzinném zajęte jest przez siostrę przyrodnią Judytę, i ona zabiera tyle miejsca, że tylko bardzo maleńki kącik dostaje się przyszłéj zakonnicy. Judyta stroi się i bawi, a ona nosi zawsze czarną sukienkę, która zawczasu habit przypomina. Wszakże jéj nic nie potrzeba, ona do świata nie należy i znać nie powinna jego marności.

Pomimo zakonnéj szaty, jest ona jednak piękną, tak piękną, że młodzieniec przeznaczony po cichu na męża siostry Judyty do niéj zwraca swe serce i ofiaruje jéj rękę. Biedna dziewczyna kocha go wzajem, ale nie marzyła nigdy o jego miłości, a przytém lękała się przed samą sobą wyznać swoich uczuć. Gdy on wyznaje jéj swoje zamiary, zdumiona niespodzianem szczęściem, trapiona sumieniem iż ona, pomimo zakonnego powołania tak głęboko czuje ziemską miłość. nie jest wstanie dać odpowiedzi żadnéj. Słowa więzną jéj w piersi. On tego milczenia pojąć nie umie, sądzi się odrzuconym i oddala się w żalu i rozdrażnieniu... Potém dziewczyna chciałaby wytłómaczyć się przed nim, przyznać do swoich uczuć i trwogi jaką w niéj rozbudzają, ale sposobność się już ku temu nie zdarza, a raczéj macocha czuwa nad tém by się nie zdarzyła.

Ptak pozostaje w klatce, tylko rozbija się próżno o jéj ściany. Dziewczyna powraca do klasztoru na zawsze, a w parę miesięcy późniéj dowiaduje się o zamężciu siostry z jéj ukochanym. Narzeczeni posuwają tak daleko okrucieństwo czy niedomyślność, że odwiedzają biedną zakonnicę, która przyjmuje ich przez kraty i przekonywa się, że nie zostawiła śladu żadnego w sercu sobie niegdyś oddaném. Wówczas przejęta boleścią wmawia w siebie, że tak jak jest, dobrze jest, że wybrała sobie lepszą cząstkę niż ta ziemska miłość, któréj widzi dowodnie całą znikomość. Ale pomimo to umiera trawiona tęsknotą i bólem.

Jest-to rozdzierająca książka, w któréj już poznać można wielkie przymioty powieściopisarza. Verga lekceważy zupełnie zwykłą rutynę powieściopisarską, dramatyczną intrygę, któréj niema wcale w „Historyi ptaka w klatce,“ umie téż powstrzymać się od osobistych refleksyj, obciążających po większéj części włoskie beletrystyczne utwory. Widocznie chodzi mu jedynie o studya charakterów i pomimo trudności nieodłącznych od formy wybranéj, gdyż jest to opowiadanie istoty słabo rozwiniętéj, nie rozumiejącéj ani świata ani ludzi, ani saméj siebie, daje nam nie tylko obraz bohaterki i współdziałających osób, ale przedstawia doskonale poziom umysłowy społeczeństwa w którém rozgrywa się niby dramat jéj losu. Przez orzeczenia przyszłéj zakonnicy widzimy, że barwy, któremi powleka przedmioty, są złudne a ludzie inni zupełnie niżli widzi ich ona. To samo już daje miarę powieściopisarza, który prostemi środkami podobnie trudny cel osiągnął.

Forma opowiadania przyjęta przezeń i wybór bohatérki na osobę opowiadającą nie dopuszcza tendencyjności ani deklamacyi, a przecież trudno znaleść wymowniejszy argument przeciw życiu

klasztornemu, niż te smutne dzieje jednéj z wielu skreślone bez skargi jéj własnemi słowami.

Jeśli więc powieść sama nie budzi właściwego interesu, trzeba o to winić temat ale nie obrobienie. Historya istoty nieodwołalnie skazanéj na nieszczęście, nie tyle jeszcze cudzą wolą ile własną nieudolnością, musi być jednostajną i nużącą, nie ma w niéj walki żadnéj jest jedynie cierpienie. Powieść jest tak wierną pod względem psychologicznym, iż czytając ją, doznaje się takiego wrażenia jak gdyby się patrzało na śmierć powolną chorego, który wyzdrowieć nie może.

Jakiekolwiek jednak wrażenie zostawi „Historya ptaka w klatce“ nikt nie zaprzeczy, że jest ona dziełem zdolnego i śmiałego umysłu, który toruje sobie własną drogę a jednak pomimo śmiałości przekonań, nie polemizuje w sprawie powieściowéj jak to czynić zwykli jego współziomkowie, nie wypowiada z góry jaką powieść być powinna, nie bawi się w szumne przedmowy, nie rzuca kamieniem na żadne szkoły, ale wprost bierze się do dzieła wedle własnych przekonań i artystycznych poczuć.

Ewa, nieco późniejsza powieść Vergi, wykazuje tę samę metodę. Jest-to znowu studyum psychologiczne, tylko zamiast natury nierozwiniętéj i zamkniętéj w sobie, autor bierze pod swój prosekcyjny skalpel szaloną namiętność i przedstawia ją znowu z niezmierną obiektywnością, wobec życiowych zawikłań i trudności.

Powieść to powszednia. Verga wogóle nie szuka nadzwyczajnych sytuacyj ani ludzi, talent jego nie błyszczy pomysłowością, nie lubuje się w przygodach. Obserwuje on, analizuje, odczuwa, umie szeregować wrażenia odebrane i oddawać je wielkiémi i pewnémi rysami, z pominięciem drobiazgów.

W ten sposób skreśloną jest znowu sposobem autobiograficznym, który widać w pierwszym twórczym okresie najlepiéj odpowiadał jego usposobieniu, historya nieznanego malarza i jego *namiętności* do pięknéj baletniczki. Ewa kocha go wzajem, kocha bezinteresownie, bo biedny artysta nic ofiarować jéj nie może, kocha wielkiém i pokorném uczuciem, jakie rodzi się czasem w podobnego rodzaju kobietach. Czuje ona iż dla wielu jest tylko zabawką, że malarz daje jéj stokroć więcéj niż wszyscy inni wielbiciele—serce, przecież kocha także oklaski, teatr, zbytek do którego przywykła. Chciałaby te dwie miłości pogodzić, a gdy kochanek wybucha zazdrością, znajdując ją wśród grona wielbicieli odpowiada smutno: „Cóż chcesz, nie jestem wielką panią bym ci się mogła oddać zupełnie.“

Słowa te jednak nie zadawalniają malarza i dziwić mu się nie można. W podobném położeniu Manon Lescaut porzuca kawalera des Grieux. Małgorzata Gauthier oszukuje Armanda, Ewa jest włoszką i postępuje inaczéj; porzuca dla kochanka teatr, wielbicieli, świetnie rozpoczętą karyerę, chce żyć dla niego jednego i dzielić jego ubóstwo.

Miłość i praca jednak rzadko idą w parze, malarz rujnuje ubogich rodziców i dochodzi do ostatecznéj nędzy. Ewa, typ rozkochanéj południowéj kobiéty, znosi ją z anielską cierpliwością, znosi długo coraz dziwaczniejsze wymagania kochanka, który nie mogąc nic jéj wyrzucać w obecnéj chwili, wyrzuca jéj przeszłość nieustannie.

A przytém wrażliwy artysta, przyprowadzony do rozpaczy swojém położeniem, ma rodzaj dziwacznego żalu do Ewy za to, że ona w codziennéj sukience i przydeptanych trzewiczkach traci dla niego urok jakim otaczała ją świetna tualeta, perspektywa teatralna, a kto wie może nawet rój wielbicieli. Uczucie jego było składanéj natury, a on sam przypomina wielu rysami Oktawiusza, bohatera „Spowiedzi dziecięcia wieku“ Musset'a. Doprowadzony wreszcie do szaleństwa, w chwili ostatecznéj nędzy wyrzuca Ewę wybladłą z głodu i zimna ze swojéj izdebki.

Pomimo tego brutalnego czynu, namiętność jego nie wygasa, poczuwa się on nawet do praw nad nią, bo spotkawszy ją w parę lat późniéj, znowu świetną i otoczoną, policzkuje jéj kochanka i zabija go w pojedynku.

Jest-to więc opis namiętności ślepéj a kapryśnéj i nielogicznéj, jak zresztą wiele namiętności. Autor przedstawia fakta, które mogły miéć miejsce, a które jednak wymykają się ścisłéj analizie, bo jest w nich pierwiastek nie dający się ująć i zrozumiéć. Bohater powieści tak jak Oktawiusz jest to natura chrobliwa i spokrewnia się z podobnemiż typami w pewnéj epoce szeroko rozsiadłémi w literaturze francuskiéj, które jednak dzisiaj wydają nam się już przebrzmiałe i obce.

Verga lubi widocznie niezdecydowane i kapryśne charaktery męzkie, bo spotykamy u niego drugi typ będący w ścisłém powinowactwie z bohaterem Ewy, margrabiego Alberti, główną postać powieści szerszego zakresu p. n. *Eros.*

Dotąd powieści Verga rozgrywały się ściśle pomiędzy dwoma osobami, z których jedna była tylko motywem uczuć, które to uczucia roztaczały się przed czytelnikiem w najsubtelniejszych odcieniach. W *Erosie* autor wchodzi na obszerniejsze pole, próbuje ugrupować około Margrabiego inne postacie, a nadewszystko skreślić kilka typów kobiecych i rzucić akcyą na ożywione tło świato-

wych stosunków. Odrzuca też formę użytą w dwóch poprzednich powieściach i poraz pierwszy występuje jako autor opowiadający wypadki.

Główną postacią pozostaje Margrabia, wszystkie inne grupują się około niego, ażeby lepiéj uwydatnić ten składany charakter. Życie jego—usprawiedliwia tytuł powieści—jest to ciąg miłości krzyżujących się z sobą kapryśnych, niekonsekwentnych, a postępowaniem bohatera rządzi najczęściéj przypadek lub chorobliwe fantazye. Ofiarą ich pada w końcu żona jego, kochająca zawsze, wierna i niezmienna Adela, przedmiot pierwszéj miłości, porzucona, niegdyś dla świetnéj Velledy, a poślubiona po wielu latach i po wielu innych miłościach.

W Margrabim Alberti odnajdujemy znowu mussetowskie wspomnienia, człowiek ten, którego życie było pasmem ciągłych miłostek, nie dowierza żonie tak jak Oktawiusz Brygidzie w „Spowiedzi dziecięcia wieku,“ i zabija ją w końcu posądzeniami i wyrzutami.

Widocznie sceptyczny francuzki poeta wywarł silne wrażenie na Verga, który długo z pod jego wpływu wyzwolić się nie może. Wpływ ten jednak zdaje się tak wielki z powodu, iż autor nie znajduje we własném społeczeństwie skutecznych równoważników i typów, odbijających w sobie tętno obecnéj chwili. Z pomiędzy postaci Erosa najprawdziwszą jest właśnie ta na któréj widnieje cecha naśladownicza. Inne zaś są zatarte i niewyraźne. Szczególniéj uderza to w postaciach niewieścich. Głównie jest ich trzy, wplątanych w losy Margrabiego, naprzód Adela typ istoty łagodnéj, kochającéj, pełnéj przebaczenia, Welleda piękna i ambitna, która odciągnąwszy Margrabiego od Adeli, porzuca go z zimną krwią skoro zdarza jéj się świetniejsza partya, wreszcie Hrabina Armandi kobiéta namiętna rządząca się zmiennemi fantazyami serca czy wyobraźni. Są to więc trzy typy zupełnie różne, jakkolwiek należą do jednego świata, a jednak wszystkie przemawiają nie tylko jednym językiem, ale zwracają do Margrabiego też same frazesa, odgrywają też same sceny, wypowiadają jednako swoje uczucia, jak gdyby uczucia te były identyczne.

Widocznie więc autor znalazł tylko na drodze swojéj typ jeden i kazał mu odgrywać rozmaite role, bo jest on zbyt dobrym obserwatorem by go można było o powierzchowne badanie posądzić. W téj powieści, jak zresztą we wszystkich włoskich utworach rozgrywających się wśród tak zwanego świata, uderza niezmierna błahość rozmów i ubóstwo myśli jakie w nich jest widoczne. Ciągle

powtarzają się jedne i też same zapytania odpowiedzi, wykrzykniki.

I to właśnie daje do myślenia, że jeśli tak trudno jest beletrystyce włoskiéj rozwinąć się i doścignąć belletrystykę innych narodów, w wielkiéj części współwinno jest temu społeczeństwo. Wady bowiem, które widzimy w téj powieści Vergi są wadami wszystkich bez wyjątku powieściopisarzy włoskich, wszędzie spotykamy jednakie szablonowe charaktery i sceny, skoro tylko występują postacie z wyższych warstw towarzyskich. U Vergi nawet wady te są o wiele mniéj rażące, z powodu wybornego smaku i wielkiego talentu, jeśli więc on nawet nie zdołał przełamać konwencyonalnego koła jakim zdaje się zakreślona powieść włoska, muszą być ku temu przyczyny od niego niezależne a tkwiące w samém łonie społeczeństwa.

Zrozumiał to zapewne twórca Erosa, i szukając sobie właściwego gruntu zwrócił się do niższych warstw narodu, do ludu, który zawsze przedstawia element pełen świeżości, dla tych co go poznają i badać umieją, a który, w epokach przejściowych lub konwencyonalnych, bywa nieraz jedyną skarbnicą niefałszowanych uczuć i dobrze oznaczonych charakterów.

Verga znał lud doskonale. Urodzony w Sycylii nad brzegiem morza Śródziemnego, wychowany jak to zwykle bywa we Włoszech w ciągłém zetknięciu z niższemi warstwami społecznemi, odczuł gorącém sercem jego potrzeby, nędze, przesądy i namiętności. W ciągu długiego pobytu w Paryżu, obznajmił się z bogatą belletrystyką francuzką, przyswoił sobie szersze poglądy, związał z obecnemi tendencyami literatury i rozpoczął szereg szkiców, na tle półafrykańskiéj przyrody Sycylii, z życia klas pracujących, ciemnych, przygnębionych, których rozumiał myśli i cierpienia odczuwał.

W literaturze włoskiéj stanowiło to zupełną nowość. Lud był to dotąd grunt dziewiczy, nie dotknięty przez żadnego z powieściopisarzy i poetów, lub dotknięty jedynie ze strony malowniczéj. Lud oddzielony był od literatury jéj konwencyonalizmem, formułami, wymaganą szlachetnością obrazów i wyrażeń. Jeśli zaś jaka postać ludowa wchodziła do cyklu manzonicznych powieści była to zawsze figura podrzędna, przedstawiona tylko z profilu, na ostatniém planie. Realne potrzeby i cierpienia, borykanie się z twardemi trudnościami bytu, nie zdawały się godne poetycznych piór, poświęconych jedynie idealnym postaciom i eterycznym uczuciom.

Trzeba było prądu obecnéj literatury francuzkiéj, potężnéj reakcyi przeciw wszystkim narzuconym pętom, ażeby młody i śmiały talent wykarmiony na realistycznych wzorach odważył się przedsta-

wić w całéj nagiéj prawdzie lud i zdobył mu prawo obywatelstwa w dziedzinie piśmienniczéj.

Na tém polu talent Vergi pokazuje się w całym blasku, występują pierwszorzędne przymioty, które widzieliśmy w poprzednich powieściach i te, których nie wykazał dotąd ani w *Capinerze* ani *w Ewie*, plastyka i dramatyczność. Figury działające w tych prostych szkicach mają nieraz prawdziwą posągowość jak głowa rodu Malarogh'a, stary rybak Toni, który po stracie syna i łodzi pełnéj ładunku, wychodzi z domostwa swoich ojców zbolały ale nieugięty. Postacie te działają wedle pobudek doskonale dla nas zrozumiałych, dla tego, téż autor nie potrzebuje nigdy objaśniać ich od siebie, ani dopowiadać czegoś do słów przez nich mówionych, słów krótkich jednak i prostych jak widnokrąg myśli ludzi niewykształconych, nękanych troską o chleb codzienny.

W wielu bowiem okolicach Włoch stan materyalny ludu jest równie nędzny jak stan intelektualny. W Sycylii, do któréj przenosi nas Verga we wszystkich swoich opowiadaniach sielskich, panuje głównie w rolnictwie system spółkowy bardzo uciążliwy dla pracowników. Właściciel bowiem oddaje mu ziemię nagą nieuprawną pod warunkiem, że połowa zbioru do niego należéć będzie. Rolnik nawozi ją, zasiewa, pielęgnuje, zbiera i czysty zysk oddaje właścicielowi, który trzyma polowych (*compare*) i rządzcę (*fattore*) do pilnowania swoich interesów.

Wiele okolic podlega w lecie febrom zaraźliwym a biedni ludzie zmuszeni dla utrzymania życia pracować w najgorszych higienicznych warunkach, najwięcéj są na nich narażeni.

Stosunki agrarne we Włoszech stanowią jednę z wielkich trudności ekonomicznych tego kraju, i jak wogóle trudności ekonomicznéj natury wikłają się z wielu innemi, które często w nich biorą początek. Jeśli bowiem lud w południowych prowincyach jest ciemny, zabobonny, skory do mordów i rozbojów, winno tutaj w wielkiéj części nieszczęśliwe położenie w jakim zostaje. Trzeba naprzód nakarmić a potém dopiéro nauczać i moralizować.

Verga nie wypowiada tego dogmatycznie, jest on na to zbyt wielkim mistrzem, wie że tendencya wypowiedziana przez autora traci swoję wartość, a jednak sielskie obrazy jego mają dosadne znaczenie, i nasuwają konieczne pytania. Czegoż żądać można od tych nieszczęśliwych, jaką może być moralność ludzi wystawionych na nieustanne pokusy, a nie uzbrojonych niczém przeciwko nim? Wiara ich jest to tylko zabobon, nie mogący walczyć skutecznie przeciw złemu przykładowi i potrzebie. Występki ich są zwykle popełniane z nędzy. Dla czego w „Czarnym chlebie“ Pino Tomi opuszcza Łucyą

którą kochał i która go kochała ażeby ożenić się z bogatą choć ułomną wdową? Tłumaczy to sam przed biedną dziewczyną z naiwnością prawdziwie rozczulającą. „Uczyniłem to dla chleba, tylko dla chleba.“ Dla czego Łucya daje się uwieść staremu Don Venerando? bo przekonywa się że inaczéj utraci służbę, bo wie że nikt nie ożeni się z dziewczyną bez posagu, a gdyby nawet kto uczynił podobne szaleństwo, wiecznie tego żałować będzie, ma przed oczyma ciężki los brata i bratowéj, którzy to szaleństwo popełnili, wie przytem, że Brasi, który się do niéj zaleca, nie będzie zważał na jéj hańbę byle posiadała czém ją okupić.

Ludzie przedstawieni przez włoskiego autora nie są ani źli, ani nikczemni, stają się jednak tém do czego zmuszają ich okoliczności. Czytając jego powieści nie podobna ich potępić jak nie podobna potępić Gervaise bohaterki *Assomoir* Zoli, jeśli stoczyła się w przepaść zepsucia i nędzy, albowiem ażeby oprzéć się zgubnym prądom, które działają na lud zarówno w zaułkach Paryża jak na wybrzeżach Sycylii, trzebaby siły oporu posuniętéj do heroizmu, a téj niepodobna wymagać od ogółu nieukształconych i nędznych.

Verga, lubi w najbardziéj dzikich i zezwierzęconych naturach śledzić dobre popędy, widzimy to wyraźnie w Bosso Malpelo tém nieszczęśliwém dziecku kopalni lżoném, bitem, wyśmiewaném, które jednak tak wiernie chowa pamięć zabitego ojca, i opiekuje się słabszym towarzyszem. Verga téż nie lubi zatrzymywać się na obrazach wstrętnych do obrzydliwości, które utrudniają czytanie powieści takich jak *Assomoir*, *Nana* lub *Pot Bouille*, jest on o wiele wstrzemięźliwszy, wydobywa plastykę swoich postaci prostemi, nie skomplikowanemi środkami. Nadewszystko podziwiać należy jego zwięzłość, nigdy nie ulega pokusie wmieszania się do akcyi lub wtrącenia jakiéj refleksyi.

Zwięzłość ta i wstrzemięźliwość słowa czyni bardziéj przejmującemi dramatyczne sytuacye. Kiedy np. wśród burzliwéj nocy w samotnym szałasie pasterskim umiera matka Carmenia kilkonastoletniego wyrostka, a on nie domyśla się znaczenia groźnych symptomatów, ale przestraszony bezładnemi słowami konającéj i samotnością swoją ogląda się w koło za jaką ludzką istotą i widzi tylko ze stron wszystkich nieprzebitą okiem zaporę padającego śniegu, i słyszy wycie psów oddalonych, aż wreszcie przejęty trwogą krzyczy w niebogłosy wzywając pomocy, scena opisana w kilku słowach zostawia niestarte wrażenie.

Tak samo wstrząsającą jest śmierć Bastianazza w *Malaoogliach*, gdy żona rybaka czeka jego powrotu wśród burzy na wybrzeżu. Mała córeczka płacze drżąca od wichru i deszczu a ten płacz przej-.

muje kobiétę nieokreśloną trwogą. Nie przypuszcza ona nieszczęścia, tyle już razy widziała morze groźne, śpienione, mąż jéj był silny, przytomny, obeznany z burzliwym żywiołem, nie wątpiła o tém że powróci, tak jak powracał w chwilach podobnych. Nie odchodzi więc od wybrzeża i dziwi się tylko dla czego tylu sąsiadów gromadzi się przy niéj, dla czego zwraca się na nią powszechna uwaga. Aż wreszcie jeden z sąsiadów, twardszego serca albo téż może litościwszy od drugich, bierze ją za ramię i gwałtem prawie odprowadza do domu. Nie miała po co czekać. Rybacy rozumieli dobrze że już była wdową chociaż nie wiedziała o tém jeszcze.

Nie mniéj dramatyczną jest w *Malaoogliach* ta matka, która słysząc czytany opis bitwy morskiéj wśród któréj syn jéj się znajdował, zapamiętała wśród rozmaitych przygód historyą rannego rozbitka co niesiony dzień cały przez morskie fale na szczątkach okrętu, umierał z pragnienia patrząc na przestwory wód gorzkich, które go ugasić nie mogły. Szczegół ten uderzył nadewszystko biedną matkę trawioną niepokojem myśli, że syn jéj mógł znaleść się w tém położeniu, i mógł cierpiéć podobne męczarnie, odczuwa je więc tak silnie, iż podnosi się w nocy ona także trawiona pragnieniem którego nic ugasić nie może.

Świat maluczkich, Verga zna doskonale. Można przysiądz że zasiadał wieczorem u ogniska rybaków, że podzielał z nimi skromny przysmak bób pieczony, który gra tak wielką rolę przy każdéj uroczystości. Poznał więc on nie tylko zakres ich myśli, uczuć, ale i sposób jakim się one manifestują. Jest nieporównanym malarzem południowych namiętności, które zapalają się niepohamowanie w jednéj chwili i rządzą człowiekiem samowładnie prowadząc go do zbrodni lub szaleństwa. Rozumie owe potężne instynkta nie skrępowane cywilizacyą, jakie grają w ludziach pierwotnych (Kochanka Gramigna, Pasterz Jeli, Wiejscy rycerze) ale rozumie je równie dobrze gdy krew południowa wybucha pomimo pęt narzuconych wychowaniem. W tym ostatnim razie jest to jednak proces o wiele dłuższy i zawilszy, nie dający się streścić na kilku kartach.

Przedmiot ten obrobił Verga w najświeższéj swojéj powieści „Mąż Heleny.“ Powrócił on w niéj do warstw inteligentnych, z nowym zasobem siły wyrobionéj drobnemi arcydziełami, z piórem barwném, podatném do odtwarzania zarówno najprostszych jak najdramatyczniejszych chwil życia, uwolniony od wszelkich konwencyonalnych więzów, powrócił w całéj pełni rozwiniętego, świadomego siebie talentu.

„Mąż Heleny“ rozpoczyna się przepyszną sceną. W domu skromnych emerytów Don Liboria i żony jego donny Anny, wykradła

się młodsza córka Helena. Starsza apatyczna Kamilla przekonawszy się około dwunastéj w nocy, iż siostry niema w mieszkaniu, przychodzi uwiadomić o tém rodziców w chwili, gdy ci udają się na spoczynek.

Prawdy téj sceny i ekspozycyi powieści, która się w ten efektowny sposób rozpoczyna mógłby pozazdrościć włoskiemu autorowi każden bez wyjątku piszący, nie wyłączając najsławniejszych. Widnieje tu taż sama głęboka obserwacya co w sielskich opowiadaniach, i dla tego to w téj jednéj scenie poznajemy dokładnie całą rodzinę dotkniętą nieszczęściem i Kamillę, która z obojętnością istot anemicznych przyjmuje tę domową katastrofę, i matkę lamentującą dla zwyczaju i dla tego także iż fakt wykradzenia córki przerywa jéj sen i spokój, bo nie jest w stanie zastanowić się nad jego znaczeniem. Don Liborio głowa rodziny przejęty jest uczuciami bardzo zawiłéj natury." Najprzód fakt wydarzony stanowi doraźny kłopot, powtóre obraża go, gdyż bądź co bądź został oszukany przez młodą zakochaną parę a wreszcie działa tu obawa śmieszności. To téż wykrzykuje patetycznie zwracając się do żony: „Helena okryła hańbą nasze siwe włosy". Nawiasem mówiąc ani włosy don Liboria ani jego małżonki wcale siwemi nie były ale ta figura retoryczna odpowiada jego charakterowi i rzuca światło na całą jego istotę. Ex-urzędnik przejęty jest nadewszystko ważnością własnéj osoby i utrzymaniem godności domu.

Porwanie Heleny zresztą nie było rzeczą zbyt niepokojącą, kochał się w niéj od dawna młody adwokat Cezar Dorelli, ale czekał z ożenieniem aż się położenie jego ustali. Helena młoda, gwałtowna niecierpliwa, mając nadto przed oczyma przykład starszéj siostry, która czekała od lat niepamiętnych aż się ustali położenie jéj narzeczonego kuzyna Roberta, namówiła rozkochanego Cezara by w ten sposób przyśpieszyli małżeństwo, rachuje bowiem że jego stryj kanonik będzie musiał przyjść im w pomoc, i pragnie tym energicznym krokiem zmusić obie rodziny do zajęcia się ich połączeniem a Cezar jest tak uczciwym człowiekiem, iż kobiéta zaufać mu może.

Don Liboriowi téż po pierwszych patetycznych wykrzyknikach przychodzi na myśl praktyczne wyjście z trudności, ten sposób wydania za mąż córki był bardzo ekonomiczny nie potrzebował już dawać wyprawy, ani ponosić kosztów wesela, więc chociaż powtarza ciągle, że Helena okryła hańbą jego siwe włosy, żałuje w duchu że nie wykradziono obydwóch córek razem.

Najważniejszymi jednak postaciami powieści są Cezar i jego młoda narzeczona. Cezar to natura nieśmiała, pracowita, marząca, którą wytrąciła z kolei namiętność dla Heleny, która owładniętą zo-

stała jéj energiczną indywidualnością. On kocha ją pierwszą, bezgraniczną miłością, ona zaś pragnie przedewszystkiém żyć, używać i wyjść z domu rodzicielskiego, gdzie było jéj ciasno i nudno. Miłość jéj dla Cezara nie była udaną, była jednak złudzeniem, tylko serce jéj biło nie dla niego, ale dla wyzwolenia, które reprezentował w jéj oczach.

Rachuby jéj pokazują się omylne, stryj Cezara kanonik don Anselmo, który złożył w synowcu nadzieje dźwignięcia rodziny, ułatwia wprawdzie małżeństwo młodéj pary, gdyż stało się koniecznością po skandalicznéj ucieczce Heleny, ale razem cofa jéj swoją pomoc i poprzysięga w duszy nienawiść dla kobiéty, co pokrzyżowała mu plany.

Nienawiść tę usprawiedliwia ona aż nadto dalszém lekkomyślném postępowaniem. Marnuje naprzód szczupłe mienie męża, następnie owoc jego ciężkiéj pracy, a wreszcie szarza własny honor i nazwisko jego. Fakta te są bardzo naturalne i umiejętnie stopniowane, wypływają z charakteru Heleny, z żądzy błyszczenia i użycia, które tło jego stanowi.

Niemniéj wyraźnie rysuje się charakter Cezara, nieśmiały i namiętny. Cierpi on iście tantalowe męki, wpada mu w rękę list dowodzący zdrady żony, lecz niema odwagi go otworzyć ażeby nie przekonać się „czarno na białem“ o tém, o czém chce wątpić koniecznie.

Sceny pomiędzy małżonkami nie doprowadzają do żadnego rezultatu, Helena się nie zmieni, bo zmienić nie może, nowa pokusa zastępuje w niéj tę, która oddaloną została, bo źródło téj pokusy tkwi w niéj saméj, a Cezar znosi i pokrywa wszystko byleby nie dojść do ostateczności, niema on odwagi stracić téj kobiéty kochanéj ślepo, namiętnie, bez któréj życie wydaje mu się niepodobieństwem.

Taki stan rzeczy mógłby trwać długo, może zawsze, gdyby nie stryj kanonik, który zręcznie wyprowadzając na jaw hańbę żony, uczynił rozłączenie małżonków koniecznćm.

W tym przedmiocie układy pomiędzy dwoma rodzinami są na ukończeniu, nazajutrz Helena ma opuścić dom męża na zawsze. Kanonik bardzo mądrze ukartował rzeczy, odzyska wpływ na synowca, pokieruje go jak tego pragnął, ale niestety nie przewidział on wybuchu strasznéj namiętności, nie przewidział tego, że miał do czynienia z nieobrachowanym czynnikiem.

Cezar w przystępie szału zabija Helenę. Jest-to rozwiązanie zgodne z namiętnym kolorytem powieści i z obyczajami włoskiemi, wśród których trafiają się bez porównania częściéj niż gdzie indziéj

morderstwa spowodowane miłością. W stopniowaniu walk, cierpień i szału Cezara pokazuje się zdolność autora do badań psychologicznych i ta część książki jest znakomitą. Kiedy jednak wchodzimy wraz z Heleną w życie światowe, kiedy widzimy jéj wielbicieli, i rozgrywające się pomiędzy nimi sceny kokieteryi, półwyznań, napomknień, pokazują się znowu niedobory włoskiego towarzystwa i sceny te grzeszą komunałem, obniżając niezmiernie wartość całego utworu.

Życie to opisywane może w ten sposób jak Zola opisuje mieszczańskie salony w Pot Bouille, lub Balzac towarzystwo prowincyonalne, przedstawiłoby żywioły właściwe do obserwacyi komicznych lub do krwawéj satyry. Do téj objektywności jednak nie doszedł autor włoski pod względem obyczajów światowych. Należy on do tego świata, wmieszany jest w jego życie, dla tego zapewne nie odczuwa jego wszystkich niedoborów. A przytém pomiędzy nim a Zolą różnice są wielkie, jakkolwiek wpływowi francuskiego naturalistycznego powieściopisarza widocznie Verga ulega, i co chwila rozbierając dzieła jego, Zola się na myśl nasuwa. Istnieje pomiędzy nimi jedność przekonań, dążeń, ale dwie te natury artystyczne są zupełnie odrębne. Verga nie waha się tak jak Zola zapuszczać skalpelu w głąb ran społecznych, nie waha się jak on rzeczy nazywać właściwém imieniem, przecież chętniéj studyuje natury uczciwe niż przewrotne.

Jest on mniéj pesymistyczny niż Zola, jeśli potrzebuje zaznaczyć jaki rys wstrętny czyni to bez żadnéj pruderyi, ale nie lubuje się we wstrętnych obrazach, niema także téj rozwlekłości, którą niejednokrotnie zarzucano autorowi *Nany*; jest bez porównania zwięźlejszy, bardziéj skupiony. Realizm czy naturalizm jego jest trzeźwy i umiarkowany, niema w nim wybryków, które charakteryzują mistrza szkoły i czynią go raczéj patologiem niż fizyologiem społecznym. Verga, jako Włoch, prawem narodowości posiada rozwinięty zmysł harmonii i to nadaje dziełom jego urok wykończenia. Nie traci na tém prawda przez to, że dokumenta ludzkie, mówiąc językiem Zoli, ujęte są w pewien całokształt artystyczny.

Zastanawiającą, w sposobie traktowania przedmiotów włoskiego autora, jest zdolność zmieniania sposobu pisania i zastosowanie go do przedmiotu. Rozwlekłym nie jest on nigdy, kiedy jednak aktorami powieści są ludzie prości, nie nawykli do długich rozmyślań działający pod impulsem wrażenia lub namiętności chwili, pióro Vergi wstrzemięźliwe i gwałtowne, odtwarza niejako te impulsa nie tłumacząc ich bynajmniéj. Nadaje to niezmierną dosadność akcyi, którą przedstawia odrazu bez żadnych omówień ani wstępów.

Pomimo zwięzłości posuniętéj do najwyższego stopnia, nie traci na téj metodzie obrazowość, kilka charakterystycznych rysów, porównanie pełne trafności starczy za długie opisy. Jak w szkicu malarskim wyszłym z pod pędzla mistrza podziwiać w nich trzeba pewność oka i ręki. Tym jedynie sposobem dramat umotywowany i zrozumiały może się pomieścić na kilku kartach nie tracąc swéj przejmującéj grozy.

Potoczne okoliczności autor opowiada często sposobem żartobliwym, który, ustępując w chwilach tragicznych, potęguje wrażenie. Oto np. w jaki sposób opisuje fanatyczne zajście na procesyi pomiędzy dwoma wrogiemi parafiami, z których jedna oddaje cześć bałwochwalczą, jak to czynić zwykli południowi Włosi, świętemu Paschalisowi, a druga świętemu Rochowi.

„Podczas kiedy św. Roch niesiony był procesyonalnie po ulicach pod baldachimem, wśród palących się gromnic przy dźwięku muzyki, otoczony tłumem pobożnych, powstał naraz krzyk, wrzask, zamięszanie piekielne. Księża uciekali aż powiewały poły ich sutan, brzęczały trąby i klarnety, kobiéty krzyczały, krew płynęła, a ciosy padały gęsto pod samym nosem świętego, jak dojrzałe gruszki w czasie burzy.

„Nadbiegli na to: syndyk, wice-pretor, żandarmi; połamane kości zaniesiono do szpitala, najbardziéj zaciekli dostali się do kozy, a święty powrócił do kościoła daleko prędzéj niż na to pozwalała powaga procesyi i uroczystość zakończyła się jak prawdziwa komedya Pulcinella.

„A to wszystko z powodu zazdrości tych przebrzydłych garbarzy z parafii świętego Paschalisa. W tym roku pobożni z parafii świętego Rocha nie żałowali niczego byle wystąpić okazale. Sprowadzili muzykę, spalili w przeddzień wieczorem mnóstwo sztucznych ogni, a przytém była i nowa chorągiew cała złotem haftowana, chorągiew — jak mówiono — ważąca sto funtów, która pod tchnieniem wiatru unosiła się nad głowami tłumu nakształt złotéj piany.

„Wszystko to musiało obudzić zazdrość parafian św. Paschalisa, aż w końcu jeden z nich stracił cierpliwość i blady jak śmierć zaczął wrzeszczéć: „Niech żyje święty Paschalis."

„Wówczas to zaczęła się bójka."

Nie zawsze jednak Verga używa podobnie wesołego tonu; w niektórych jego szkicach wiejskich jak: Kochanka Gramigna, Wilczyca, czuć palącą atmosferę nieprzepartych namiętności, które wbrew woli i chęci kierują człowiekiem. Kiedy np. Peppa zrywa świetne małżeństwo z najpiękniejszym chłopcem z całéj okolicy, słysząc tylko o szalonéj odwadze, zręczności i niebezpieczeństwie rozbójnika

a matka woła w rozpaczy, że ten istny szatan zakradł się do jéj domu, ażeby oczarować jéj córkę, Peppa odpowiada z oczyma zwróconemi gdzieś w dal a zimnemi i nieubłaganemi jak stal. „Nie, on tutaj nie był nigdy.“ — Gdzie żeś go widziała? pytała daléj matka.— „Nie widziałam go, słyszałam jak o nim mówiono i odtąd czuję go tu, jak mi pali serce.“

Kiedy dawny kochanek wymawia jéj wszystko złe, jakie zrobiła jemu i sobie, Peppa odpowiada mu spokojnie z fatalizmem cechującym lud sycylijski: „Wiem o tém dobrze, ale cóż robić, taka już widać była wola boska.“

Z namiętnością podobną niema ani walki ani rozumowania, nosi ona charakter opętania i maluje się cała w tych kilku słowach. Biedna dziewczyna więcéj powiedzieć nie jest w stanie.

Z innych znowu szkiców wieje nieskończony smutek. Taką jest historya górniczego dziecka, którego ojciec zginął zasypany w kopalni. Oto w jak prostych słowach opisana jest ta katastrofa.

„Majster Michał tylko z synem pozostał w kopalni kończąc robotę, którą wziął na wydział.

„Na świecie niebo skrzyło się gwiazdami, w głębi galeryi lampa kopciła i migotała, a gruby słup podkopany, wyszczerbiony motyką chwiał się także. Malpelo pomagał ojcu usuwając ziemię i worek i narzędzia i flaszkę z winem. Ojciec, który go kochał, wołał ciągle „odsuń się“ albo „uważaj, uważaj bo mogą sypnąć się kamienie i glina.“

„Nagle umilkł, a Malpelo zajęty właśnie układaniem narzędzi w koszu, usłyszał głuchy huk, jak kiedy przesypują wielką ilość ziemi i znalazł się w ciemności bo lampa zgasła.

„Kiedy tego wieczoru szukano na gwałt inżyniera kierującego robotami, znaleziono go wreszcie w teatrze, nie byłby on zamienił swego miejsca na tron królewski, gdyż był wielkim dyletantem a właśnie Rossi przedstawiał Hamleta.

„Przede drzwiami teatru tłoczyły się wszystkie górniczki, krzyczały i uderzały się w piersi, ażeby dowieść swego współczucia żonie majstra Michała. Ona jedna nie mówiła nic, tylko zęby jéj dzwoniły jakby to był styczeń.

„Gdy inżynier dowiedział się że nieszczęście stało się przed czterema godzinami, wyrzekł, że już jest niepotrzebny. Udał się jednak na miejsce wypadku, tymczasem upłynęło nie cztery ale już sześć godzin, a doświadczony górnik twierdził, że aby odwalić ziemię, która przysypała majstra Michała, potrzebaby tydzień roboty nieustannéj.

„Inżynier więc powrócił do teatru patrzéć na pogrzeb Ofelii, a ludzie ruszając ramionami rozchodzili się po jednemu. Wśród gwaru i lamentów nikt nie zważał na głos dziecinny nie mający już w sobie nic ludzkiego, który wołał: „Kopcie tutaj, kopcie prędko."

„— Ha!—rzekł jeden z górników—zkąd znowu wziął się tu Malpelo! Żebyś ty nie był pod opieką dyabła, tobyś ztąd żywy nie wyszedł.

„Wszyscy się rozśmieli, jedni mówili że Malpelo był dyabłem wcielonym, inni że jakoś zawsze wywinie się z niebezpiecznństwa. Malpelo nic nie odpowiadał, nie płakał, nie lamentował, tylko grzebał rozpaczliwie, cały schowany w zawalonéj ziemi, dla tego nie spostrzeżono go od razu, a kiedy zbliżono się do niego ze światłem, ujrzano twarz tak bladą, oczy tak szkliste i usta pełne piany, iż się go przestraszono. Grzebiąc oddarł sobie paznogcie i te wisiały mu skrwawione u palców. Oderwać go z tego miejsca było niepodobieństwem; nie mogąc drapać gryzł tych, co to uczynić chcieli, musiano na końcu wyciągnąć go za włosy.

„Jednak po dniach kilku matka odprowadziła go płacząc do kopalni bo w wielu razach nie można przebierać w zarobkach i trzeba szukać chleba tam, gdzie go znaleść można."

Z tych krótkich urywków można powziąć wyobrażenie o stylu i sposobie traktowania przedmiotu przez Vergę; sposób ten jest tak oryginalny a nadewszystko tak różny od mdłego patosu panującego w całéj włoskiéj literaturze powieściowéj, iż naznacza mu zupełnie odrębne stanowisko i stawia w pierwszym rzędzie.

Idąc daléj tą drogą, Verga rozwinie zapewne swoje przymioty a potrafi zapanować nad słabszemi stronami talentu. Dziś jest to człowiek w pełnéj sile wieku, urodzony w roku 1840 ma jednak—dzięki zapewne ciężkiemu doświadczeniu życia — włosy przyprószone przedwczesną siwizną, ale za to twarz zachowała świeżość a oczy cały ogień młodości. Na twarzy téj tkwi skupiony wyraz pełen przenikliwości, w uśmiechu znać łagodny sceptycyzm tych, którzy przywykli badać ludzi i nie dają się uwieść pozorom. Jest-to twarz myśliciela, twarz wymowna i sympatyczna; patrząc na nią zrozumiéć łatwo, że człowiek ten wyróżnia się od ogółu, umie dostrzedz i podchwycić to, co wymyka się powszedniéj obserwacyi i można śmiało twierdzić, że Verga odegra wielką rolę w piśmiennictwie swojego kraju i że dźwignie powieść włoską z upadku, w którym się obecnie znajduje.

Walerya Marrené.

CZARODZIEJKA,

POWIEŚĆ.

VIII.

Jaskrawy wschód słońca zapowiada dzień pogodny. Ale ledwie się podniosło nad horyzont, na zachodniéj stronie nieba zaczęły się szare pojawiać chmury, niewidzialnym dla oka ruchem zbliżać się, łączyć, aż w jednę zbiły się masę i siwym płaszczem osłaniając niebo całe, szły na spotkanie ognistego słońca. Zakryły wierzchni brzeg jego, późniéj połowę, późniéj tarczę całą—jeszcze kilka promieni wyrwało się z uścisków szarego gościa ale i te gasły powoli i znikły zupełnie. Chmury dosięgły drugiego brzegu horyzontu.

Z wieżyczki parafialnego kościoła odezwała się sygnaturka. Nigdy na mnie głos żadnego dzwonka takiego nie wywarł wrażenia. Jakimś płaczem bił powietrze, jakimś jękiem odbijał się w duszy. Czy to dla tego, że jego wołaniu posłuszna przestępywała Anna próg świątyni? czy dla tego, że w dzień jéj ślubu on płakał i dotąd łez zapomnieć nie może? nie wiem! ale nie dzwonił, tylko jęczał i płakał.

Zawołałem swojego Piotrusia, wydając do drogi rozkazy, sam poszedłem do kościoła.

Ksiądz Atanazy stał przed ołtarzem i odprawiał Mszę cichą. Była godzina siódma rano. Kościołek był próżny, kilku biedaków tylko tuliło się u murów pod amboną, jeden kaleka bez nóg przesuwał się przez środek—i więcéj nikogo.

Oparty o ławkę stałem patrząc nieruchoméml oczyma na srebrny krzyż zawieszony w wielkim ołtarzu. Ten ołtarz! ten krzyż!.. Tu przed nim Anna przysięgała w dzień swojego ślubu—tu przed nim może... myśl splotła obraz okropny—kolana się zachwiały—ukląkłem i zacząłem się modlić.

Nie modliłem się dawno—dość miałem szczęścia na ziemi. Przeszkody łamałem wolą, smutki, bez których niema życia, odtrącałem rozumem. Ale są chwile gdzie wola czuje się bezsilną, rozum niemocny; gdy człowiek wié, że jeżeli ratunku nieda niebo—ziemia nie może.

Szczęśliwym łatwo żyć—bez Boga!..

Ale i takie są chwile w życiu, w których człowiek wié, że i niebo z pomocą nie przyjdzie—co mu zostaje, czy rozpacz i śmierć? czy wiara w uśmiech szczęścia—choćby za grobem?!..

Wiara!.. Wieluż to ludzi na to się słowo uśmiechnie! Ciemnota wieków, tajemnica praw natury stworzyły ten zabobon. Myśl ludzka była obłąkaną wieków czterdzieście. Ale zkąd pojęcie sprawiedliwości, któréj tu niema? zkąd pragnienia szczęścia, którego tu niéma? zkąd chęć nieśmiertelności, któréj tu niema? Przeklęta niech będzie Moc, co stworzywszy umysł ludzki pozwoliła mu pragnąć i chcieć— lecz tylko pragnąć i tylko chcieć! Przed nami Świat-Tajemnica i Człowiek-Tajemnica! zbadaliśmy mało przy ogromnym pożądań zakresie. Lecz daremno się biją rozumy, daremno kapłani nauki niszczą życie w pracy bez oddechu—ta Moc nikczemna dała pragnienia olbrzymów, siły robaka a późniéj śmierć i nicość. Świat został stworzony prawami logigi—myśl ludzka to twór bękarci. Chcieć a nie módz—pragnąć a nieotrzymać—to piekło! chcieć czego niéma pragnąć co nie może być dane—to absurd! Istnieniu pragnień zaprzeczyć nie możemy, absurdów w stworzeniu niéma—gdzie wyjście? Bóg Prawdy i Piękna, albo Bóg-Potwór świat ten stworzyli—innéj nie masz wiary!...

Modliłem się tak klęcząc. Modlitwą było rozmyślanie. Dziś potrzebowałem Boga Prawdy, coby łzy krwawe osuszył a jeżeli by życie przeszło bez uśmiechów szczęścia—wymierzył sprawiedliwość. Ni dla niéj ni dla siebie nie widziałem na ziemi ratunku.

Ksiądz skończył nabożeństwo, odszedł od ołtarza i zbliżywszy się do mnie wziął mnie za rękę.

— Modliłeś się?... zapytał—wiem, że nie za siebie—ja modliłem się za was.

Ze łzą dziękczynienia ucałowałem ramię kapłana. Ksiądz Atanazy domyślił się, że nie mogłem ze spokojném sercem odjeżdżać.

We drzwiach spotkaliśmy wchodzącego do kościoła hrabiego Tytusa. Kamerdyner w liberyi koloru pola herbu hrabiego, niósł za nim dużą, aksamitną książkę w złote klamry ujętą. Przed gankiem świątyni stał piękny zaprząg—srebrne wędzidła gryzły czystéj krwi araby.

— Panowie już z kościoła? Spóźniłem się nieco do Pana Boga.

— Pan Bóg nie jest tak wybredny jak my, ludzie—odpowiedział ksiądz Atanazy. Tuzin koronek, zastąpi Mu jedno westchnienie poczciwe. Pan hrabia jeszcze pomodlić się możesz.

Hrabia się skłonił, miał wejść do kościoła ale się nagle zwrócił do mnie i zapytał:

— Pan dziś odjeżdżasz, panie Szczerodyński?...

— Tak! panie hrabio.

— Jeżeli się nie mylę nocleg panu wypada w Dzierdzijówce?

— Prawdopodobnie! nigdzie zdaje się lepszego zajazdu nie znajdę.

— Ale pan możesz wprosić się do Piskały...

— Wpraszać się nie lubię.

— Tylko dyszlem w okno bez ceremonii zajeżdżać—dodał ksiądz Atanazy.

Zaśmieliśmy się.

— Więc pan na pewno do niego nie wstąpisz?

— Powiem panu hrabiemu otwarcie, że ten człowiek niewymowny wstręt we mnie wzbudza.

— Nie ładny—no! ale to zresztą dobry człowiek... Lecz tak! panu będzie lepiéj w austeryi... Nikt panu i pan nikomu zawadzać nie będziesz. Radzę panu zajechać do austeryi...

— Od razu ten miałem zamiar.

— *C'est bien*!.. do widzenia i *bon voyage*!... A nie zapomnij tam i o nas, panie Szczerodyński!

Pożegnaliśmy się.

Hrabia wszedł do kościoła—ukląkł na aksamitnéj poduszce swojéj aksamitnéj ławki i gorąco modlić się zaczął.

Z rozmowy z hrabią mogłem łatwo zauważyć, że pan Tytus życzył sobie niezmiernie, ażebym ominął dwór Dzierdzijowiecki. Ale, że ludzie najczęściéj to robią czego inni niechcą—postanowiłem wprosić się na noc do pana Bonifacego Piskały.

Po serdeczném pożegnaniu się z księdzem Atanazym, który, gdym siadał na sanie, miał łzy w źrenicach i póty patrzał za mną póki nie zniknąłem mu z oczów—ruszyłem przed siebie, do swéj rodzinnéj wioski, do stęsknionego za synem ojca—a że droga była nie znajoma, kazałem Piotrusiowi prawie co chwila rozpytywać się o marszrutę, żeby, gdy noc czasem zaskoczy, nie pozbawić znów kogo jednéj szybki w okienku.

IX.

Nigdy się tak dobrze, tak *wygodnie* nie marzy jak w czasie dobréj, saméj drogi—i teraz marzyłem ale boleśnie i smutno. Wypadki ubiegłych dni paru miały jakąś moc gniotącą. To niespodziewane spotkanie się z Anną; ten przepych pałacu Ornowskich, lśniące marmury, adamaszki i złoto; ta biała sala, ten pocałunek bezgrzesznéj miłości i powieść księdza—wszystko to wydawało się snem wyobraźni, czarnoksięzką bajką arabskich powieści. Ale czy czasem życie nie rozwija się jak powieść, jak dramat się nie plącze?

Najbardziéj rozogniona myśl pisarza nie może utworzyć niebywałych rzeczy na ziemi. Samootwierających się niema tylko na niéj furteczek—a zresztą wszystko znajdziesz. Przyznaję, że rzadką bywa miłość podobna do naszéj ale i to nie utwór fantazyi. Usta moje nie dotknęły jeszcze ust kobiecych, czystą myśl o kochancejak anioła w sercu pieściłem. Pierwszą kobiétą była Anna, która stanęła w oczach moich jako złote snów urzeczywistnienie. Ta lub żadna! zabrzmiało mi w duszy—ta lub żadna! odpowiedziało serce. A wierzę, że są duchy dla siebie stworzone, które się przeczują, poznają od razu—jedną myślą pomyślą, jedném sercem uderzą. Dla czegóż zawsze prawie dzieje się inaczéj na świecie?—bo przeżywamy się za prędko, dobrowolnie skrzydła nurzamy w błocie—ucieka młodość bez czarów, bo ją dawno przesyt wyprzedził. Zabijamy czucie, uczucie i przeczucie—duch traci władzę rozpoznawczą.

Miłość Anny jest mniéj zagadkową. Smutna historya jéj życia najlepiéj to tłómaczy. Gorącém pragnieniem niedoznanego nigdy i w niczém szczęścia było napełnione jéj serce, jak puhar kipiącem winem nad brzegi—dość było jednego drgnięcia tylko, żeby z naczynia wylał się płyn wrzący.

Nie mam słów do wypowiedzenia okropnego stanu swéj duszy. Annę kochałem nad życie bez żadnéj nadziei w przyszłości, moją nie mogła być nigdy—tu!.. Boże! daj wiarę w nieznane tamto!..

I przyszły mi na myśl słowa rzucone przez Piskałę o pojedynku mojego ojca ze Starżą i powieść księdza o człowieku o kuli. Mój ojciec chodził o kuli—ale gdym go zapytał kiedyś o przyczynę kalectwa, odpowiedział mi krótko:

— Wydzierałem pisklę słowicze, gniazdo było wysoko—w tém jastrząb nadleciał, rzuciłem się, gałąź pękła a ja łbem na dół—ot, i kalectwo!... Nie pytaj mnie więcéj, bo na wspomnienie tego noga zaczyna mię boleć.

Bolało go serce!..

Dziwna wypadków plątanina: ojciec mój wydarł kochankę Starży, Starża mu żonę—dziś córka wroga mojego ojca jest królową mych myśli, boginią serca!.. Ja matki swojéj niepamiętam—w pokoju ojca wisi tylko jéj portret...

Te i podobne tym myśli przesuwały mi się przez głowę, aż nagle stanęła mi w mózgu, w jakimś zakątku pamięci zapomniana panny Agnieszki postać.

Na jéj wspomnienie drgnąłem nieprzyjemnie.

Panna Agnieszka jest to córka sąsiada mojego, zacnego obywatela z Kurnéj, pana Eustachego Hoholi. Jedyném ojca mojego było życzeniem, swoję w niéj synowę zobaczyć.

— Panie Adamie—mówił — czas pomyślić o żonie. Jagusia Hoholówna w sam raz dla waćpana! Na drobiu i warzywie zna się dobrze, ogórki nakwasi i marynatę sporządzi jak nikt! Filozofii nie czytuje ale dla rygoru i w kark dać potrafi. Ty latasz po niebie to druga ciebie połowa po ziemi chodzić powinna. Jagusia Hoholówna w sam raz dla ciebie panie Adamie!

Czułem, że mi się w mózgu mięsza—szał duszę opanowywał.

— Ruszaj! krzyknąłem do Piotrusia—w lot konie!

— Prrr!!—huknął chłopiec—i zimny wiatr owiał mi czoło, śnieg zbity kopytami w twarz cisnął.

Konie jak wichry łeciały—odetchnąłem swobodniéj.

W tém posłyszalem za sobą wrzawę jakąś i szum niezwykły. Tylko co się miałem obrócić, gdy konie spłoszone nagle powstałym hałasem w bok się gwałtownie rzuciły...

— Powoli Piotruś!.. krzyknąłem—bo wywró...cisz, już dokończyłem leżąc na ziemi.

Szczęście, że Piotruś nie puścił lejców, spienione rumaki osadził natychmiast, przeklinając na czém świat stoi sprawców niefortunnego wypadku.

Wbity silnym rzutem w głęboką masę śniegu, ledwo wydobyłem się na wierzch—gdy posłyszałem śmiech i głos tubalny za sobą:

— Wybacz waćpan! W imieniu moich chartów przepraszam, które przed samemi końmi waćpana kota zwaliły.

Spojrzałem.—

Przedemną siedział na pysznym perskim ogierze mężczyzna lat sześćdziesięciu z górą, w myśliwskim stroju, z białą baranią czapką na głowie. Twarz miał typową piękną, nos orli, wąsy białe zupełnie podkręcone do góry z fantazyą, brwi duże, krzaczaste, z pod których patrzyły jasno błękitne oczy. Wyraz twarzy był ostry i ponury...

Wpatrzyłem się w tę postać—wydała mi się znajomą. Tak! gdzieś go widziałem—ale gdzie?.. a! w portretowéj sali mrugotyńskiego pałacu. Przed jego portretem zatrzymać się chciałem—na widok jego czegoś Anna zadrzała—kto on? Otaczał go tłum myśliwych na dzielnych równie koniach lecz widać było, że on tutaj był panem. Piękne charty dojadały rzucone im skoki...

— Nie boisz się konia? zapytał.—

— Byleby tylko mnie uniósł!

— A zatém z nami! na obiad do dworu!

I odwracając się zawołał:

— Wojtalira! z konia!..

— Wybacz pan—rzekłem—ale mnie trzeba w drogę.

— To waćpan umiesz jeździć bez dyszla?

Szkoda, że nie było księdza Atanazego, zaprotestował by przeciw temu stanowczo.

Obejrzałem sanie—dyszel w dwóch miejscach był złamany.

— Ha! trudna rada! przyjmuję łaskawe zaproszenie pana.

— Zrzuć waćpan futro—a trzymaj się tylko!

Wojtalira, chłop jak dąb rozłożysty, nie młody, nie stary, z długim, siwym wąsem spadającym na pierś, podprowadził wierzchowca.

Był to prawdziwy syn pustyni.

Barwy srebrzystéj, pokryty siatką drgających żyłek, z okiem, jak u gazelli, z wywróconemi, różowemi nozdrzami, z szyją wygiętą pokrytą ołowianego koloru grzywą—dyszał ogniem niepokoju i żuł srebrne wędzidło, rżąc od czasu do czasu z niecierpliwości i gorączki swobody.

Jednym skokiem byłem na siodle. Koń jak piłka odsadził się od ziemi i słupem stanął, chyląc się na tył. Danym mi wprzód harapem grzmotnąłem go między uszy i osadziłem na miejscu.

Stary ruszył głową i wąsa pokręcił:

— Z naszych—jak widzę!..

Dałem ostrogę koniowi podjeżdżając do nieznajomego.

— Przed siebie—prosto! zakomenderował—marsz!

I ruszyliśmy pędem szalonym.

Rad byłem niewymownie z téj niespodzianéj rozrywki. Potrzebowałem ruchu, szału, odurzenia. Rumak mój leciał piorunem, zostawiając resztę swych towarzyszów za sobą. Zdawało mi się, żem się uniósł nad ziemię, w powietrze wskoczył, w stepowy wichr się zamienił. Była to roskosz dla mnie!—nie czułem nic, widziałem tylko szare niebo nad sobą i bezbrzeżny całun ruszającego się śniegu...

Nagle za mną zagrzmiał głos gromki starego:

— Stój!.. warjacie! bo łeb w kawałki roztrzaskasz!

Przedemną była zamknięta brama, za którą rysował się gmach staroświeckiego dworu.

Nie było czasu hamować biegu rozognionego zwierzęcia—puściłem wolno cugle i ściskając brzuch śpienionego konia.

— Hop!!.. krzyknąłem...

Biały tuman mgły mnie otoczył — byłem po drugiéj stronie zapory.

Spojrzałem ku bramie.

Pan nieznajomy jak ptak zawisnął nad nią i stanął koło mnie.

— Nazwałeś mnie pan warjatem—rzekłem zwracając się do niego—ale coś i panu mur na zawadzie nie stanął.

— Nie przywykłem ustępować młokosom — odpowiedział—choćby szło o złamanie karku.

Nieprzyjemny epitet nie rozgniewał mnie wcale.

— No! ale czas nam się poznać — dodał. Jestem Stanisław Starża.

Wpatrzyłem się w niego.

— A waćpan? zapytał.—

— Adam Szczerodyński.

Starża drgnął—spiął konia i podskoczył do mnie. Usta na pół otworzył, rozszerzył powieki, nozdrza rozdął i nieruchomemi patrzał na mnie oczyma...

— Syn Feliksa? zapytał po chwili.

— Tak—panie Starżo! odrzekłem.

— Hm!.. mruknął pod nosem, nie spuszczając ze mnie spojrzeń ognistych—i żem się tego nie domyślił od razu!.. Oczy te same—głos ten sam—te same nienawistne mi rysy!..

Poruszył się w siodle, potargał siwego wąsa i wpatrując się raz jeszcze—dodał:

— No! ale i do niéj podobny!..

Podjechał bliżéj, położył dłoń szeroką na mojem ramieniu i rzekł łagodnie:

— Nie gniewaj się waćpan na to mruczenie dziada!..

Wargi mu zadrżały i dwie łzy spłynęły po twarzy.

Pamiętał jeszcze!

Dziwny to dar ta pamięć ludzka! Ząb czasu wszystko niszczy, ona tylko jedna mu się opiera. Wiek ją osłabia ale nie zabija. Pan Starża mógł być zły ale miał choć iskrę uczucia. Nienawidziłem go bo był przyczyną nieszczęścia Anny, nienawidziłem bo był przyczyną kalectwa ojca—ale boleść poszanować musiałem.

Podjechaliśmy pod ganek. Służba wzięła konie i zaczęła podziedzińcu przeprowadzać zdyszane—Starża biorąc dłoń moję wprowadził mnie do sali.

Była to sala duża, posępna, ale miała oryginalną swoję piękność. Ściany wyłożone były dębowém drzewem, żłobionem gęsto, u góry piękny szlak snycerskiéj roboty wyginał się palmowemi liśćmi w półkole zajmując jedną trzecią złoconego sufitu, na rogach którego, ściemnione wiekiem, widać było malowidła bóstw mitologicznych. Tu Psyche w objęciu amorka—tu złoty róg Amaltei spoczywający u nóg bogini—tam znów Dyana nieskazitelne kąpiąca ciało w otoczeniu nimf służebnych—a tam Dafne w laur się zmieniająca. Pośrodku sufitu, między wieńcem rozkosznych amorków wisiał pająk z ciemnego bronzu, Trytony na głowach trzymały w kształcie konch świeczniki. U jednéj ze ścian naprzeciw okien był olbrzymi, trzecią część niemal pokoju zajmujący komin—przy nim stało krzesło obite pręgowaną skórą tygrysią, którego głowa osadzona na wierzchu misternie rzeźbionéj poręczy, potwornemi oczyma patrzyła na dwie mniejsze umieszczone po bokach fotelu. Druga taka skóra leżała rozesłana pod kominem na ziemi. Obrazów kilka, stołów kilka i jeden duży po środku, kilkanaście krzeseł również z dębu wysadzonych cieńkiemi nićmi złota—zwierciadeł parę i w dwóch kątach pokoju czarne marmurowe kolumny z etruskiemi wazami zasuszonych kwiatów, dopełniało umeblowania „czarnéj“ jak ją nazywano, sali.

Nie tu zatrzymał się pan Starża—prowadził mnie do swojego sypialnego pokoju. Rycerska jakaś prostota była cechą téj izby magnata. Sprzęty proste, drewniane, z niepolitur owanego jak i w „czarnéj sali“ dębu, bez żadnych obić—stół pod oknem ze zbitemi na krzyż nogami, na którym leżały papiéry, książki traktujące przeważnie o myśliwstwie—daléj oszklona szafa z księgozbiorem dzieł naukowych, łoże twarde, na ziemi skóra niedźwiedzia, broń rozmaita na ścianach, zawieszone na rogach jeleni i łosiów, kożuch z siwego barana i kilka krótkich lulek—oto wszystko co zapełniało ulubioną pana Starży komnatę. Dostrzegłem jeszcze nad łożem, zawieszony pod obrazem matki boskiéj Poczajowskiéj, portret kobiéty. Drugi taki portret w pokoju mojego ojca wisiał.

Trzymając mnie za rękę Starża podszedł do wiszącego konterfektu i wpatrzył się weń długo.

— A czy wiesz, waćpan, kto to? zapytał.—

— Drugi taki jest w domu mojego ojca—odpowiedziałem.

— I cóż pan Feliks? pewnie przeklina mnie, nienawidzi—prawda?

— Nie wspominał nic nigdy o panu.—

— Doprawdy?.. więc i strasznéj nieopowiadał ci historyi? Czy rana już mu się zabliźniła tak prędko? trzydzieści dwa lat zaledwie i zapomniéć?!.. A mnie ta rana ciepłą krwią dotąd ocieka!.. no! jam więcéj winien—ale i on!.. Więc waćpan nic nie wiesz?..

— Wiem wszystko, ale nie z jego ust.

— A z czyich?

Nie chciałem powiedziéć. Ten kto mówił mi o tém, mógł i o czemś inném, niemiłem dla pana Starży powiedziéć. Pan Stanisław niepytał.—

— Ach! jak ja ją kochałem!.. szeptał jakby do siebie—nie mogła mnie do raju zaprowadzić—doprowadziła do... zbrodni!.. I wszystko źle poszło.. i więcéj plam późniéj na Starży sumieniu się znalazło... Jak ona drżała!.. dłoń moję trzymałem koło jéj serca... jeszcze dotąd to serce w dłoni swéj czuję!.. Wydarłem ją płomieniom, które całą rozdmuchałem piersią—a ona tu, na mych rękach umarła. Niezatarty obraz pamięci! Wichry szalały plącząc wstęgi ogniste, paliło się niebo, blask krwawy rzucając na nią... umarłą!.. Nieczułem nic, nic widziałem nic—myśl moja była jedną rozpaczą. O! gdyby nie kula pana Feliksa, dawno by mnie psami rozszarpał... Ale początek dał on!... ja tylko mściłem się... i gdyby się na co przydało dziś bym się... Nienawiść do grobu poniosę—za grób nawet!..

Umilkł i nagle zawołał:

— A! co ja plotę!.. ty tu!.. a ja ci serce kraję!.. Dobra gościna, panie Starżo! gościnniejsi przodkowie twoi byli... Chodź waćpan! tu ona spokoju nam nie da, rzekł, pokazując portret méj matki.

Wróciliśmy do czarnéj sali. Byłem przygnębiony, smutny milczący...

— Wojtalira!.. huknął pan Starża.

Kozak w drzwiach stanął.

— Półmiski i wina!

Pacierza byś nie zmówił a wszystko było przygotowane do objadu.

Nas dwóch tylko zasiadło do stołu... pan Starża zwykle sam jeden jadał. Dnie całe przepędzał na koniu ze strzelbą lub psami—to już zależało od pogody—z liczną zgrają nadwornych myśliwców, lecz za obrębem polowania nikogo z nich, oprócz Wojtaliry, do towarzystwa swego nie dopuszczał. U Ornowskich nie bywał prawie nigdy, spotykał się z nimi raz do roku w kościele; z sąsiadami widywał się nie często, dzień za to ósmy maja obchodził z całą okazałością uczt dawnych. Wówczas gięły się stoły pod zastawą złotych i srebrnych półmisków, pękały beczki węgierskich win i nie rzadko

trzysta gościnnych koni rzało u żłobu w pana Starży stajniach. Ale zwykle był sam z Wojtalirą tylko i czarnym brytanem, który i teraz olbrzymią głowę swoję trzymał wspartą na jego kolanach.

Zmieniano talerze, nalewano wino, każdy z nas był zajęty myślą własną.

Nagle pan Starża zawołał:

— Karmeluk!..

Imieniem tego sławnego rozbójnika nazywał psa swojego.

— Karmeluk! powtórzył—chcesz jeść?..

Pies zawył—pan Starża rzucił mu na marmur posadzki parę kawałków mięsa.

— Piękny pies! rzekłem.—

— Należy do partyi antisemickiéj — ludu wybranego znieść nie może.

Zaśmiałem się—

— Karmeluk! kochasz żydów?..

Pies zęby wyszczerzył i warczéć zaczął.

— W sympatyach i antypatyach zgadzamy się z sobą zupełnie.

— Chciałbym poznać więc jeszcze i jego sympatye—

— Zaraz zobaczysz—Karmeluk;

Pies uszy nadstawił'

— Lubisz dziewczęta?

Karmeluk oblizał się szeroko—

Zrobił to z taką rozumną miną, że nie było sposobu wstrzymać się od śmiechu.

Wojtalira wnosił potrawy za potrawami—liczby ich doliczyć się nie mogłem—Starża pił ogromnym puharem i był rad, żem dotrzymywał mu placu.

— Podobasz mi się—kocham ciebie! I choć podobnyś do pana Feliksa masz wiele i jéj—dla tegoś miły mi!..

Otarł usta serwetą i w oba ucałował mnie policzki.

— Ale, ale — nie pytałem jeszcze waćpana dokąd bogi cię niosą?..

— Jadę do domu, wracam od krewnych z Podola – zawieja mnie zagnała do Mrugotyna gdzie miałem zręczność poznać hrabiostwa.

— Co? byłeś u Ornowskich?

— I byłem tak szczęśliwy, żem poznał córkę pana...

— I zakochałeś się w niéj — hę?

Zczerwieniłem się i niechcący za ciężko jakoś westchnąłem.

— No! nie dziw!.. mówił Starża—nie ty pierwszy nie ty i ostatni. Czaruje ludzi—ją nikt, mąż nawet. Głupie koźle!... mruczał pod nosem—nawet mi wnuka dać nie chce——a chłopaka kochałbym choć imienia nie nosiłby mojego ale zawsze była by tam kropla krwi Starżów...

Szarpnął wąsy i zadumał się głęboko.

— Karmeluk! zawołał nagle—idź precz! kataru nie mam!

Pies schował ogon między nogi i wyszedł cicho z pokoju. Starża znów się zamyślił...

— Sam! jak palec... sam! bez miłości ludzi, bez serca jedynego dziecka!.. Los mści się, Bóg karze sprawiedliwie.

Połknął haust wina.

— Sześćdziesiąt i kilka lat przeszło jak sen—później cisza—i grób—i zapomnienie!.. Łza żadna nie padnie na mogiłę, żadna modlitwa w niebo nie popłynie—to smutno!

Wychylił puhar—westchnął i patrzył przed siebie w jakiś przyszłości świat zapadły.

Wojtalira zmieniał naczynia, odkorkowywał butelki, nalewał złotym płynem puhary. Myślałem, że końca nie będzie téj uczcie a tu się powoli dzień chylił ku wieczorowi i mgła mokra świat boży okrywała. Nakoniec Wojtalira wniósł czarną kawę, po któréj wstaliśmy przechodząc do innych pokojów.

— Przenocujesz waćpan u mnie? zapytał Starża.

— Pilno mi do domu—

— No—to jedź! nie dziw! ojciec czeka a może jaka i buzia kraśna—bo nie mam potrzeby pytać czyś kawaler—żonaty, nie przesadziłbyś bramy. Ale chętnie bym z tobą zapolował na wilki. Lecz trudno—ojciec czeka i ty go bardzo kochać musisz. Szczęśliwy pan Feliks! Jabym za takiego syna oczy dał sobie wyjąć!..

Wilgocią zaszły mu oczy, zduszone gwałtem westchnienie niewydobyło się z piersi, przynosząc ulgę dławionéj boleści.

— Przecie i pan masz dziecię, które go pewnie kocha? rzekłem...

— Czyś kiedy przebił ty kulą skrzydło gołębicy? zawołał szybko Starża, podnosząc głowę i w twarz mi patrząc—i mógł byś się zbliżyć do niéj, która choć milczy, łzawemi mówi oczyma: na coś mnie zabił?!..

Milczałem. Widocznie głos sumienia nie dawał panu Starży spokoju.

Weszliśmy do izby, która była niby gabinetem starożytności, niby zbrojownią ludzi czasów minionych. Koszulki druciane, pancerze, hełmy, miecze i pasy rycerskie i misternie

rzeźbione kołczany, kopie hussarzy, naramiennice, dziryty, tarcze, garłacze, buławy i buzdygany, siodła tureckie sadzone klejnotami, janczarki i szable—leżały, wisiały, stały pomięszane z sobą w największym nieporządku.

Starża zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Czy to na waćpana nic robi żadnego wrażenia? — Ja lubię te stare graty! Czasem mi się zdaje, że one gadają do mnie — i brzęczą—i chrzęszczą—i grzmią! Ale, ale, może waćpan patrzysz na nie jak na żelaziwo tylko, dziś ojców wypieracie się!..

— Ubliżasz mi pan! Szanuję dawne pamiątki i ja ich głos zrozumiéć potrafię. Czasem dźwięk poszczerbionéj ojców szablicy do mar rozkosznych serce porusza, poważne myśli obudza.

— A no! to waćpan do *durniokratów* nie należysz?

— Do *tych* nie! lecz demokratą jestem z zasad....

— Ehe!...

— A dla czego byś się pan z rozumném pojęciem demokracyi nie zgodził?

— Bo wy wszystko walicie i rujnujecie—co stare, to nieużyteczny grat!..

— Nie panie! co strupieszałe w olbrzymiéj budowie wieków to z szacunkiem do trumny kładziemy, zostawiając napis pamiątkowy na wierzchu, na miejscu zaś próchna nowy stawiamy mur.

— Stawiajcie cokolwiek bądź, z myślą o budynku tylko, bo dach obcy głowy wam nie nakryje. I pamiętajcie że orzeł z krogulcem w jedném nie pomieszczą się gnieździe. -- Słuchaj waćpan — mówił po chwili — gdy mnie poznasz lepiéj, zrozumiesz lepiéj! Ja czuję, że we mnie łamią się dwa światy. Świat stary ciągnie ku sobie blaskiem królewskiéj purpury, dumą zasług olbrzymich, świat nowy druzgocącą mocą prze się naprzód i każe mnie iść za sobą. Pierwszy umarły jest—drugi ma zbytek życia. Umarłych nie wskrzesić lecz i oni w daleką przyszłość niejedną myśl wielką rzucili. Na fundamentach wypróbowanych nową budujmy świątynię — zostawmy w niéj ołtarz tylko boga miłości, niech ona będzie cementem łączącym te światy dwa!

Pan Starża dziwne na mnie robił wrażenie. Wzbudzał uczucia zupełnie sobie przeciwne. Wstręt i sympatia, pogarda i szacunek—wszystko to razem plotło się i równoważyło. Był to człowiek, który z przyjściem swojém na świat spóźnił się o wieków cztery, lecz miał rozum potężny, który mu dozwalał pojmować stan obecny świata.

Wojtalira wszedł z oznajmieniem, że sanie naprawione i konie stoją przed gankiem.

Pan Starża uścisnął mnie serdecznie.

— Jedź z Bogiem i nie zapomnij o mnie!

A kiedym wsiadał do sań, dodał:

— Panu Feliksowi możesz powiedzieć, żeś widział Starżę, ale pokłonu mu odemnie nie dawaj... *Vale!*

I wrócił do domu.

X.

Mrok zapadał zupełny, mgła gęsta napełniała powietrze. O kilka kroków największego byś nie rozpoznał przedmiotu. Jechaliśmy już godzin kilka a żaden futor, żadna przydróżna karczemka, nieukazały nam pożądanego oblicza. Żałowałem, żem nie przyjął noclegu w Malińcach, bo droga była niedobrze mi znana a Piotruś w gościnnym dworze pana Starży podochocił sobie na dobre. Zachowywał jednak równowagę, tylko się skarżył, że mu co chwila kozioł z pod siedzenia się wymykał i czapka na głowie siedzieć nie chciała. Ale ostre powietrze rozpędziło naprzykszającą się senność, zaczął klaskać batożkiem, od czasu do czasu coś mruczał, łapał ton jakiejś piosenki, aż nakoniec ni ztąd ni z owąd zaśpiewał:

Kałynońku rublu,
Kałynońka hnetsia —
Czużi żinki lublu,
Swojéj nechoczetsia! (1)

— Wii!... — huknął — i zaciął konie.

— Poczekaj Piotruś! tutaj kilka dróg się rozchodzi.

— Wszystko nam jedno którą pojedziemy— nie znamy żadnéj.

Piotruś miał słuszność. Żywéj duszy nie spotkaliśmy na drodze, któréj by się można zapytać było o gościniec do Dzierdziejówki.

— Trrr! — krzyknął chłopiec i zatrzymał konie.

— A co tam?

— Wieś!—odpowiedział—widzi pan chaty?

— Prawda! — Jedź powoli!... Napotkamy może kogokolwiek i spytamy o nazwisko wsi. Śpiących budzić nie chcę.

Ruszyliśmy zwolna i po chwili zauważyliśmy kroczącego pod płotem włościanina.

---

(1) Piosnka ukraińska: Rąbię ja kalinkę
I kalinka gnie się—
Cudze żonki kocham,
Swojéj coś nie chce się!...

— Héj!...— zawołałem — wzywając go ruchem ręki.

To niedemokratyczne wezwanie nie podobało się wcale hardemu synowi Rusi. Zatrzymał się nie zdejmując czapki i wziąwszy się w boki odezwał:

— A na koho héjkajesz?

Wychyliłem się z sań.

— Jake ce seło? — spytałem

— Na szczo ceje ciekawstwo?

— Ja jidu do dworá.

— To jid'!

— A kudojuż doroha?

— Szlachom!

— Jidna tilki?

— Pobaczysz!...

Nasunął czapkę głębiéj na uszy, ręce na tył założył i zaczął iść powoli.

Niegrzeczne moje zawołanie słusznie zostało ukarane. Dowiedziałem się wcale niewiele:—Jadę do dworu. — To jedź!— A którędy jechać? — Drogą! — Jedna jest tylko? — Zobaczysz!

Odpowiedź ta była wyborną naszego ludu charakterystyką. Za grzeczność płaci grzecznością ale lekceważenia nie lubi.

Chcąc jednak, jak u nas powiadają, *zażyć z mańki*, to jest podejść fortelem—zwróciłem się nagle i zawołałem:

— A skażyt' meni djadku, kto żywé w dwori?...

— Nałpa! — odpowiedział bez namysłu.

Nie spodziewał się hardy ukrainiec, że mieszkaniec domu, ochrzczony przez niego „małpą" na myśl mi naprowadził Dzierdziejówkę wraz z panem Bonifacym Piskałą. . .

— To ce, majbud' pan Pyskała?—odezwałem się.

Chłop zaśmiał się.

— Ta wżeż!—odpowiedział i znikł za wrotami jakiegoś obejścia.

Ujechaliśmy kroków kilkadziesiąt i powitał nas na wzgórzu stojący dwór pana na Dzierdziejówce, świecący jeszcze parą oknami.

Na zgrzyt otwierającéj się bramy, któréj połowa pchnięta silném ramieniem Piotrusia zwaliła się na ziemię, psy się odezwały gwałtownem szczekaniem. Było tam ich z piętnaście. Skala warczących i szczekających głosów przynajmniéj zajmowała trzy oktawy, zacząwszy od poważnego ochrypłego już głosu patryarchy, aż do piskliwych, zajadłych wrzasków niedorosłego pokolenia. Przeprowadzani tak przez zaciekłą psiarnię, zajechaliśmy przed ganek o czterech słupach.

We dworze było cicho, żadnego szmeru i ruchu; jeden tylko ze szczekających towarzyszów usiadł opodal i niemiłosiernie wyć zaczął. W odpowiedź temu wezwaniu odezwało się głosów kilka bliżéj, daléj i wkrótce cała wieś zdawała się brać udział w tym nieharmonijnym koncercie.

Wszedłem do sieni.

Osadzona w wydrążonym buraku palila się łojówka, któréj knot, podobny do nosa indyczego, zwieszał się do połowy i topił łój rozlewający się i zastygający na stole, który prawdopodobnie na czterech niegdyś nogach się wspierał, ale teraz pozbawiony jednéj z tych podpór, pochylił się nieco, szukając ratunku w brudnéj, podrapanéj i okopconéj ścianie. Jakiś chłopak obdarty wybiegł, spojrzał na mnie, wyszczerzył zęby i znowu zniknął za drzwiami. Drzwi było troje nie licząc wchodowych. Otworzyłem środkowe — drwalnia. Zajrzałem w lewo—widoczny skład starych rupieci z dołączeniem tylko młodych zapachów. Zwróciłem się na prawo — ale te same się nakoniec otwarły i w nich stanęła mała, pulchna i młoda kobietka, w schludnéj spódnicy i w białym jak śnieg fartuszku.

— Kto to?—spytała cienkim, bardzo przyjemnym głosem.

— Czy pana Piskałę zastałem w domu?

— A gdzieby on tam siedział!

— Nie jest on czasami ojcem pani?

— A prawda, że stary...

— Okropne! — odpowiedziałem zajęty oryginalném rozpoczęciem rozmowy—mógłby być dziadkiem pani!

— I jak jeszcze!—potwierdziła kobiétka.

— Kim-że on jest rzeczywiście?

— Moim mężem.

— On?!

— A on!

— Pan Bonifacy?!

— No tak— Boniś!

— Mężem pani?...

— A jużci że moim.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Rozmawialiśmy—ona na progu, ja w sieni.

Po krótkim przestanku pani Bonifacowa zapytała:

— Czego pan przyjechał?

— Pana Bonifacego znam — jako więc do znajomego chciałem się na noc wprosić.

— A bez niego nie można—czy co?

— Przyjmie mnie pani?

— Ale pan będzie spał w gabinecie Bonisia — zawołała trochę niespokojna.

— Gdzie pani mnie położy.

— Pan sam się sobie położy.

— Więc pozwoli mnie pani wejść do pokoju?

— Jeżeli pan tego chce—to proszę!...

Przedstawiłem się naiwnéj czy głupiutkiéj gosposi, wchodząc poprzedzony przez nią do dość przestronnéj izby, skromnie ale bardzo przyzwoicie przystrojonéj w białe u okien firanki, wazoniki z kwiatami, między którémi fuksye i gieranium najliczniéj reprezentowane były; w politurowane jesionowe mebelki obite wzorzystym perkalem, których królową była kanapa o wcale dobrych sprężynach. Nad nią w orzechowych ramach wisiało zwierciadło, na ścianach kilka kolorowanych obrazków, przedstawiających historyą Mazepy. Malarz owych arcydzieł był obdarzony niepospolitą fantazyą i śmiałym w dobieraniu póz swoim bohaterom. Tu wojewoda mieczem olbrzymim przeszywa serce niewiernéj małżonki, która na jego ostrzu w powietrzu zawisła jak kurcze na rożnie kucharskim; tam znów Mazepa na rumaku buchającym promieniami iskier, leżał przywiązany głową do ogona, z nogami podniesionemi do góry, z miną tak spokojną jakby się bawił w odpoczynek po spożyciu dobrego śniadania — za nim pędziły zwierzęta, o których w Lineuszu nie patrz. Na rogach tych arcytworów amarantową farbą było wypisano:

Pinxit Bonifacius Piskało.

— Mąż pani jak widzę jest malarzem — rzekłem do gospodyni domu, zwracając od obrazów wzrok nasycony. . .

— A on ładne malowidła robi na płótnie—odpowiedziała znawczyni malowideł pana Bonifacego. Raz wymalował był Jonasza wyrzucanego przez wieloryba i hrabiemu Ornowskiemu na imieniny podarował— gdzieś go hrabia daleko musiał schować, bo Boniś mi mówił, że w pałacu swojego Jonasza nie widział.

To mówiąc, pani Bonifacowa podkręciła lampę stojącą na stole przykrytym białym obrusem, spojrzała na mnie, zaśmiała się i kazała usiąść koło siebie.

Przypatrywałem się jéj z zajęciem — była wcale ładną. Biała jak mleko, krew zdawało się że lada chwila tryśnie z pod delikatnéj skórki; ramię jak utoczone, rączki pulchne i inne piękności, choć przyciśnięte gorsecikiem, ładnym kształtem wabiły. Była jasną blondynką, z piwnemi, wcale pokaźnemi oczkami, które uporczywie śledziły. Uśmiech zalotny igrał na różanych ustach, w któ-

rych dwa rzędy perłowych ząbków śmiały się także kokieteryą widoczną.

Gosposia zaczęła rozmowę.

— Wypijesz pan ze mną herbatę?

— Jeżeli pani da.

— A czemuż nie dam?

Zaśmiała się i zawołała chłopaka, który mnie pierwszy w progu wyszczerzonémi zębami powitał.

— Florek! przynieś samowar i weź od Kasi masła i bułek— a żywo! bo dam ci w łapę!

Chłopak wyszedł—pani domu zwróciła się do mnie.

— Ja zwykle sama usługuję, ale teraz nie chcę porzucać pana.

Doprawdy, że szelmosko spojrzała mi w oczy.

— Gdzie pan poznałeś Bonisia?—spytała.

— U państwa Ornowskich—wczora wieczorem wyjechał.

— Wyjechał i nie przyjechał— z nim tak zawsze! ale mnie tak z nim jak bez niego, pociechy ni przyjemności żadnéj.

— Za stary dla pani—rzekłem z uśmiechem.

— Ni do tańca, ni do różańca — gdérze tylko ciągle i na tym koniec!

— A na coś pani za niego wyszła?

— Kazali to i wyszła. Byłam wtedy bardzo głupia; szesnaście lat miałam. Ale po czterech latach z nim pożycia nabrałam rozumu.

— Ja na miejscu pani uciekłbym.

— Z kim?.. dawno o tém myślałam i nakoniec nie wytrzymam i drapnę...

Przyniesiono herbatę; gosposia sama mi usługiwala, śmiała się, trzpiotała, zazierała w oczy, wyginała się dosyć wdzięczną kibicią i paplała bezustanku.

— Bardzo dobrze pan zrobił że przyjechał. Mój zawsze gdzieś się trynda a mnie samę ze strachem zostawia. Będzie weseléj i bezpieczniéj! ale nie w gabinecie Bonisia tylko koło mego pokoju pan spać będzie, bo się w nocy czasem straszę. Pokój Bonisia na prawo, mój na lewo a pana między temi dwoma.

— Czegóż się pani boi?

— Wszystkiego co straszy. Ja drzwi nawet od mego pokoju do pańskiego poodszczepiam, żeby jak w nocy, broń Boże! krzyknę—pan przybiegł do mnie...

— Ja bardzo mocno śpię...

— To ja pana zbudzę.

Nie umiałem nic odpowiedzieć. — Czy gąska? czy... ladaco? A szkoda! młode to jeszcze stworzenie. Nic mnie tak nie boli jak upadek człowieka.

Że byłem serdecznie znużony, oddawszy pani Piskałowéj dobranoc, odszedłem do wskazanego mi pokoju. Słyszałem jak pani Bonifacowa odczepiała i odsuwała zaszczepki i zasówki, jak szeleściała sukienką i włosy czesała. Gadała coś do siebie, tupała i śmiała się...

Ledwie ułożyłem się do snu, jak nagle szum gwałtowny, niby w pędzie sunących się sani, doleciał do mnie z nadworu — przycichł przed gankiem, w ślad za tém parę mocnych uderzeń w drzwi zadzwoniło szybami okien starego domu.

— Kto tam?—dał się słyszéć głos wybiegającéj gosposi.

— Otwieraj Magdusiu! — odezwał się ochrypłym basem pan Piskała.

I znowu palnął kułakiem.

— A żeby ciebie djabli wzięli — mruknęła pod noskiem Magdusia i drzwi otworzyła.

Piskała gniewny, zasapany wbiegł do izby....

— A co tam ciebie tak przypiekło?—spytała małżonka.

— Co? co? byłem u Ornowskiego... prosiłem o Dzierdziejówkę, żeby potwierdził źle sporządzoną tranzakcyą — sapał Piskała — ten tylko jak zwykle tumanił i tumanił, późniéj hep! w kark i za drzwi. Psia wiara!

— Ciebie? w kark?!—zawołała Magdusia — i wyleciałeś?...

— A jakże było nie wylecić? Porwał tędy za kołnierz — nogą tak — i fajst!...

— A co ja teraz zrobię nieszczęśliwa?—zawiodła niewiasta.

— Cicho! ty głupia gąsko! samaś winna! Mówiłem dróż się!.. pierwéj Dzierdziejówka a potém... A ty dziób otworzyłaś czy co? Wyleciałem jak wściekły z Mrugotyna prosto do miasta. Adwokat się przysięga, że nie wie nic, w juryzdykcyach sza! ale ja w powietrzu czuję szelmostwo!

Narzekał, przeklinał, groził, sapał—nareszcie kazawszy Magdusi iść spać, wszedł do swojego pokoju.

— Poczekaj! — mruczał — mam ja papierek, którym ciebie lepiéj niż rożnem Lucypera przypiekę....!

Zdjęty ciekawością podszedłem do drzwi. Szeroka szpara pozwalała widzieć wszystko, co robił posiadacz Dzierdziejówki.

Zbliżył się do stołu, otworzył szufladę, wysunął, dobył z niéj jakiś plik papierów, niby listów; przepatrzył, przerzucił, obwiązał i schował znowu.

— To gwóźdź tobie w samo serce!.. to obcęgi, któremi ci duszę wydrę!..

Zamknął szufladę, klucz schował pod poduszkę i do komina się zbliżył. Wziął do rąk maleńką lampeczkę palącą się na stole, postawił na ziemi, przysunął stołek i usiadł na nim. Nagle się zerwał, spojrzał w okna, pospuszczał sztory i zamykając cicho drzwi do saloniku, znowu na swoje miejsce przy kominie powrócił.

— To szczęście, że mam to, co mnie trzy takich Dzierdziejówek dać może — szepnął.

Nachylił się, przypatrywał się długo podłodze, potém przycisnął ją w jedném, drugiem i trzeciem miejscu—i jak na czarnoksiężnika zaklęcie—cicho, kawał kwadratowéj deski, jak wieko, podniosło się do góry.

Piskale wzrok się zapalił, zadrgały wargi, zatrzęsły się ręce. Lewą wsunął w głąb tajemniczego otworu... coś brzękło — i znowu ręką podrzucił i znowu coś brzękło raz, drugi i trzeci. . .

Piskała szyję wyciągnął, ucho nadstawił, przymrużył oczy—brząkał i słuchał . .

Dzwoniło złoto!

I wyjął sporą garść dukatów, rozłożył na lewéj dłoni, brząknął raz jeszcze, a późniéj wargi rozwarł lubieżnie i prawą ręką gładził świecący kruszec.

Wtém na dworze psy zaszczekały zajadle— dał się słyszéć głos nawoływający i lekkie, kilkakrotne u drzwi stuknięcie.

Piskała obejrzał się trwożnie, rzucił z rąk pieniądze, zasunął wieko i wyszedł.

Słyszałem jak drzwi do ganku otworzył.

— To pan! pan!—zasyczał ochrypłym, piszczącym głosem.

— Ja! — odpowiedział głos mi znajomy — przyjechałem ciebie przeprosić.

— A Dzier... Dzier... Dzierdziejówka?—jąkał Piskała.

— Zrobię ci siurpryzę na święty Bonifacy.

— Pewnikiem?

— Jakem Ornowski!

Weszli do saloniku.

Chwilę trwało milczenie. Ornowski przechadzał się wzdłuż pokoju, tarł i chuchał w dłonie. Piskała wszedł na palcach do sypialni Magdusi. . .

— Magdziu ! — szepnął.

Magdzia się nie poruszyła, maleńkim noskiem tylko fletowe wydawała dźwięki.

— Magdusiu!—powtórzył Piskała.

Magdusia serdecznie się przeciągnęła bo aż skrzypnęło łóżko.

— Kto to? — spytała prędko.

— Ja serce!

— No i czego ty do mnie przychodzisz?—prysnęła małżonka.

— Tssy!...

— Albo co?

— Ornowski przyjechał.

Magdzia skoczyła z łóżka.

— Dawaj spódnicę— prędzéj!.. Na krześle gorset, ale nie na tém! o tam! — Zasznuruj mnie teraz!..

Chwila milczenia.

— Prędzej-że!...

— Kiedy sznurków nie mogę połapać.

Magdzia zatupała nogami. . .

— A! jaka ty gorączka!..

— A złapałeś?

— Już jakoś.

— Ściskaj!

Piskała stęknął od natężenia.

— Mocniéj! jeszcze!.. jeszcze! — a to co?

— Sznurek się zerwał, Magdusiu!

— A żeby ciebie skręciło!

— Weź salopkę i chodź!

— Zwaryowałeś!.. w salopce do hrabiego!

— A cóż weźmiesz?—parsknął Piskała.

— Już wolę nic.

— Niiic?—przeciągnął pan Bonifacy—jakto nic?

— Głupi jesteś! batystowy wezmę kaftanik i koniec!

— Aha!

Widocznie Magdusia chciała wybiedz ale ją małżonek zatrzymał.

Poczekaj! poczekaj!.. tu chodzi o Dzierdzijówkę! Trzeba, żebyś mi się trzymała.

— Dobrze! dobrze!

— Obiecuj! obiecuj! aż póki wszystkich formalności nie porobi—rozumiesz? Ale dopóki nie— coś szepnął jéj na ucho — rozumiesz? znowu coś szepnął—nawet całusa—wytrzymasz tylko.

— Wytrzymam! wytrzymam!—powiedziała prędko. — Ani jednego! ani w powietrzu nawet!—powtórzyła.

— Dobrze duszeczko! ja pójdę niby obejść gospodarstwo.

Pan Piskała poszedł obchodzić niby gospodarstwo. Magdusia wybiegła do hrabiego i —dotrzymała przyrzeczenia—słyszałem dwadzieścia trzy pocałunków.

XI.

Obudziwszy się nazajutrz rano, rozmyślałem nad swojém głupiem położeniem. Co Ornowski pomyśli, gdy mnie u pana Piskały zastanie? i sam pan Bonifacy zdziwiony nie mało będzie zobaczywszy mnie u siebie, bo jak mi się zdaje gąska jego nic mu o gościu nie powiedziała.

Ledwo się przeciągnąłem parę razy i dźwignąłem z łoża gdy drzwi się otworzyły i pan Piskała wsunął się do pokoju.

— A! co za siurpryza! — zawołał — witać u siebie łaskawego pana dobrodzieja! Magdusia dziś mnie dopiero o panu powiedziała.

Roztworzył ręce i czułem, że mnie serdecznie chciał wycałować. Nie chcąc znowu téj dla siebie siurpryzy, porwałem szklankę z wodą i zacząłem usta płókać.

— Witam pana!—bąkałem— przepraszam, że o tak! bez ceremonii zajechałem.

— Ale ja ceremonii nie lubię, panie dobrodzieju! Gość w dom, Bóg w dom! Choć chata nie bogata ale jakoś dziury łata. Ale—nic panu spać nie przeszkadzało?

— Miałem sen kamienny.

— A słyszał pan jak ja przyjechałem?

— Jakże mogłem słyszéć kiedy spałem jak zabity?

— A wié pan, że jest Ornowski?

Udałem zdziwienie.

— Tutaj?..

— A! to pan nic nie słyszał — pocieszał się Piskała. — Proszę pana na herbatę; ja zaraz będę służył, pójdę tylko obejrzéć gospodarstwo, bo ono, panie—to grunt!

Wyszedł pokaszlując i zażywając tabaki, ja udałem się do saloniku.

Hrabia Tytus wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, widząc mnie wchodzącego. Siedział zasunięty w fotelu, kołysząc lewą nogę, w palcach plątał jakąś nitkę jedwabną. Magdusia rozlewała herbatę—wydała mi się dziś bardzo brzydką.

— Niespodziewanie spotykam tutaj pana—rzekł hrabia wyciągając niedbale rękę.

— Mgła była szalona, ledwie zdołałem do Dzierdziejówki się dobić. Widząc światło w domu pana Piskały, musiałem — przepraszając gosposię za natręctwo—wprosić się na nocleg.

— Ja zawsze z gości kontenta — odpowiedziała Magdusia, wychodząc do drugiego pokoju.

Hrabia spojrzał na nią z uśmiechem i zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— *Comment vous plait cette petite? n'est ce pas, qu'on peut l'aimer?*

— *Pour moi, c'est le genre de ces petites bêtes, que l'on peut caresser, sans se laisser entrainer à un autre sentiment.*

— *Elle me plait beaucoup!* jest w niéj to — *ce qu'on dit...* apetyczna!..

— *Ça dépend!..* dla mnie nawet wstrętna.

— *Mais donc!*—zaśmiał się hrabia— *vous êtes sans passion! vous n'avez pas...* tego!... *comment dire? vous comprenez...* tego...

Wejście pana Piskały a drugiemi drzwiami Magdusi przerwało *tegowanie* hrabiego.

Pan Piskała chciał zacząć rozmowę.

— A nie narzekają goście moi na jakąś niewygodę? chata szlachecka, w któréj grosz grosza goni, może tam czego i brakło.

— Wyspałem się po królewsku, panie Piskało—odezwałem się.

— A pan, panie hrabio?

— Wcale dobrze, choć było mi trochę twardo.

— Twardo?—spytała zdziwiona Magdusia.

Hrabia czegoś czmychnął nosem, Piskała zażył podwójną proporcyą tabaki—ja nic nie rozumiałem.

W czasie téj milczącéj sceny, stróże domu a raczéj skarbu ukrytego pod kominem, uderzyły zajadle w różnobrzmiący akord swych głosów.

Mimowoli rzuciliśmy się do okien.

Od bramy zmierzając prosto ku dworowi i sękatym kijem odpędzając szarpiącą go psią gromadę, szedł młody człowiek, słusznego wzrostu, smukłéj postawy, w kożuszku zapiętym na bok, butach palonych sięgających wyżéj kolan lecz kształtnie do nóg przystających, w małéj z czarnego barana czapeczce z fantazyą przekrzywionéj na głowie. Znać musiał tu być obcym zupełnie bo się oglądał do koła z ciekawością podróżnego, który do nieznajomych sobie miejsc przybywa. Wszedł na ganek, tupnął kilka razy o podłogę, otrząsając śnieg z butów i już dłonią brał za klamkę od drzwi wchodowych, ale spostrzegłszy idącego przez dziedziniec jedynego lokaja pana Piskały, zatrzymał się i kiwnął nań ręką.

— A pójdź-ta, mały! — zawołał.

Florek się zbliżył, stanął przed nieznajomym przybyszem i zakładając ręce w kieszenie brudnego łachmana, zęby wyszczerzył.

— Czy pan Bonifacy Piskała tu mieszka?

— Ehe!—odpowiedział obdartus.

— Odpowiadaj porządnie a gębę stul i zębów nie pokazuj.— Jest w domu?

— Ehe!—powtórzył Florek.

— A to cielę rudéj krowy! — uderzając go po nosie zawołał przybyły—zawołaj mi kamerdynera!

— Ja tu karmeldyner—wypiszczał Florek.

Przybyły wziął go za ramiona i okręcił parę razy.

— A porządną—dalibóg! masz liberyą.

Florek miał spodeńki zupełnie podarte, był bez żadnego obuwia, na sobie zaś, zamiast jakiejkolwiek przyzwoitéj kurty, miał długą, niemal do kolan sięgającą kamizelkę pikową — zapewne hojna darowizna pana Piskały — któréj już barwy z pod grubéj warstwy brudu i tłuszczu nie było można rozpoznać. Koszula rozchodziła mu się na piersi, kolorem do wierzchniego a całością do spodniego ubrania podobna.

— A dużo tobie płaci?—zapytał przybyły.

— Daje psyodziewek i *charc* (żywność).

— Fiu! fiu! nic bagatela!..

Otworzył drzwi i wszedł do sieni.

Florek zaczął przypatrywać się swojemu strojowi jakby sam nie wiedział, co o niém sądzić wypadało.

Słysząc tę rozmowę śmiałem się w duchu, a pan Piskała kręcił niechętnie głową i tabaką się zapychał.

Podróżny wszedł do pokoju.

Był to wcale ładny chłopak. Lat dwudziestu trzech, z wyrazem twarzy, w któréj malowała się przebiegłość i pewność siebie. Oko miał duże, czarne, wąsik podkręcony do góry, nos równy, malinowe usta uśmiechały się wesoło i figlarnie, a brwi jak wymalowane zdawały się do mrugania na ładne dziewczęta być stworzone.

Wszedł śmiało, zrzucając czapeczkę i skinieniem głowy witając obecnych.

Pan Piskała postąpił ku nieznajomemu.

— Kogo mam przyjemność? — zapytał.

Podróżny uśmiechnął się i milczał.

— Kogo mam przyjemność witać w moim domu? — powtórzył pan Bonifacy.

— Proszę poznawać, a dobrze znajomy!

Pan Piskała zaczął się bacznie przypatrywać.

— Fr... Fr... Fran....

— Tak! tak!—zawołał podróżny—Fr... Fr... Fran—a daléj!...

— Ciszek!—krzyknął pan Bonifacy— i porwawszy za głowę poznanego zaczął go nielitościwie pocałunkami ośliniać.

— Dosyć już! dosyć wujaszku! na co tak serdecznie? nie rozstaniemy się prędko.

Pan Piskała powstrzymał objaw radości.

— Jakto nie prędko?— zapytał długo niewidzianego siostrzeńca—czy ty u mnie parafię myślisz zasiedzić?

— Parafię nie parafię, ale żeby wujaszek kijem mnie wypędzał, to przed wiosną ztąd nie ruszę. Do Świętego Ducha nie daleko.

— Do Świętego Ducha!— powtórzył wujaszek— luty, marzec, kwiecień, maj—bagatela!

— A bagatela!

— Cóż się ze służbą zrobiło? Przecie byłeś rachmistrzem przy jakiejś gorzelni.

— Ba! niedoliczyli się tam czegoś, ztąd nieporozumienie, nosem zakręcenie i precz wypędzenie.

— No! ale dla czegoż się nie doliczyli?

— A dyabli ich tam wiedzą! rachowali za nadto uważnie.—Ale, kochany wujaszku! — zawołał patrząc na Magdusię— czy to czasami nie najukochańsza wujenka?

— Ona, ona sama!

Pan Franciszek już był koło wujenki i serdecznie obie rączki całował.

— A dalibóg! ładną macie kobietkę! Zazdroszczę wam wujaszku! ale wujence to wcale nie--szepnął na ucho.

— Prawda, że czupiradło?

— I jakie!

Szczęściem, że pan Piskała nie mógł słyszyć tych szeptów wujenki z siostrzeńcem, zajętą bowiem miał uwagę rachunkiem miesięcy do Świętego Ducha.

— A jakżeż ten twój krewniak nazywa się?—zapytał hrabia.

— Franciszek Świdruś.

— Jak?!

— Franciszek Świ—druś!.. To bardzo ładna familia, któryś nawet ze Świdrusiów był—tym... był... jenerałem. — Franku!—zawołał zwracając się do siostrzeńca—gdzie to on był jenerałem?

— U Filistynów!

— A prawda! u Filistynów—widzi hrabia!

Pan Franciszek zajęty całkiem rozmową ze śliczną wujeneczką nie zważał zupełnie na nas. Gadał jéj grzeczności, całował w ręce, z czego wcale niezadowoloną pani Magdusia nie była.

Hrabia szepnął Piskale na ucho:

— Nie trzymaj ty długo tego Świdrusia, bo on ci się tak wświdruje, że późniéj go i dymem nie wykurzysz—to frant!

— Ale chłopak z edukacyą i dużo świata widział. Skończył w Białéj-Cerkwi... trzy klasy tylko wprawdzie bo go wyparli, że pani profesorowéj, gdzie stanął na kwaterze, finfę w nos puścił; późniéj był w szkole handlowéj w Odessie ale dyrektor go obwinił o wysmarowanie mu dziegciem głowy — i fort! nakoniec wstąpił do kijowskiego uniwersytetu zkąd go na drugi dzień wypędzili. Kształcił się dosyć — to widać! ale, że mnie niepotrzebny, to jasne! Mnie samemu ledwo wystarcza.

Przebrzydły skąpiec żył rzeczywiście jak nędzarz. Magdusi tylko na zbytek w ubiorze i jedzeniu pozwalał, choć wątpiłem, żeby piękne turkusowe kolczyki i złota w kształcie wijącego się węża broszka z kilku dużemi brylantami, była darem małżonka.

Florek wniósł śniadanie; gosposia poprosiła nas do stołu.

— Ej! kochany wujaszeczku — odezwał się zbliżając do pana Piskały pan Świdruś — jak widzę to tutaj sobie żyjecie jak u Pana Boga za piecem i wygodnie i dostatnio— tylko, że w sieniach nieco śmierdząco i kamerdynerowi daćby lepszą wypadało liberyą.

— Aha! liberyą! —odburknął wujaszek—jaki mi pan! A czemu to sam piechoto przyszedłeś?

— Najwygodniejsza podróż! Furman mnie nie irytuje, o wygodę koni nie troszczę się wcale, a u kochanego wujaszka znajdę po trudach życia odpoczynek i posiłek jakiego udzielić jest w stanie człowiek podobnéj, co wuj, zamożności.

— Ale zkąd bo ci wlazło do głowy, że ja zamożny? Ja—ja nędzarz ostatni!

— O biedny mój wujaszku! — zawołał litośnie siostrzeniec i objąwszy go za głowę, pocałował z daleka w łysinę.

Pan Piskała wyrwał się z objęć zagniewany i oburzony.

— Z szacunkiem, z szacunkiem panie Franciszku!

— Na świadków biorę tych panów, że całowałem z szacunkiem.

— Bonisiu! Franeczku! śniadanie wystygnie — zapraszała pani Magdusia.

Pan Franciszek podał rękę wujowi i poprowadził go do stołu.

Po posiłku składającym się z faszerowanych kartofli i pasternaku, którego hrabia nie mógł przełknąć, pożegnałem szanowne towarzystwo, spiesząc do mojego rodzinnego dworku, gdzie miałem stanąć jeszcze przed słońca zachodem.

XII.

Dwór Dzierdzijowiecki wraz z życiem jego mieszkańców był dla dmnie jednym z tych obrazów, który przedstawiając nie tylko

już ujemne strony ludzi, lecz zbrodnie ich niekrwawe, przygniatająco oddziaływał na duszę. Człowiek, najdoskonalszy twór przyrody, stanął na granicy dwóch światów. Wszystko co ziemskie, do najdrobniejszych odcieni, zawarł w jestestwie swojém. Natura, każdemu ze swoich stworzeń dając pewną ilość zła, zamknęła je w pewnych, nieprzekraczalnych granicach. Krwiożerczy tygrys, wstrzemięźliwym choć równie krwiożerczym lwem być nie może; gołąb niema złodziejskich usposobień sroki; czysty łabędź nie zna rozpusty—inna skala żarłoczności wilka, inna hyeny odgrzebującéj trupy.

Jeden tylko człowiek jest posiadaczem niepodzielnego zła.

Będąc ostatnim wyrazem stworzenia, na téj ziemi przynajmniéj, rozproszone nici złych darów przyrody zwinął w jeden splot wielki i w dłoń swoję ujął. Krwiożerczość pantery, lubieżność małpy, podłe instynkta płazów i kruczą miłość świecideł, ma to wszystko, z nadmiarem jeszcze prawa przenoszenia słupów granicznych.

Świat ciała w nim się uzupełnił.

Ale ma on i świat drugi: świat dobra, piękna i prawdy. Dwie przeciwności się zetknęły—ztąd walka! a walki się kończą dwojako: przegraną lub tryumfem. I dla tego człowiek największą jest zagadką i tajemnicą stworzenia. Tarza się w błocie a radby utulić błękity, przykuty do młota wyrobniczéj pracy a chciałby posiąść światy, ciałem skończony, myślą nieskończoność ogarnia; krew go upaja i dreszczem zgrozy przejmuje, zabija i goi rany, morduje tysiące i za tysiące ginie. Tchórz i bohatyr, łupieżca i ofiarnik, anioł i szatan! Syn ziemi, jéj mlekiem się karmi, jéj powietrzem oddycha, jéj piękność go upaja a marzy o innéj ojczyźnie.

Nie spodziewał się z pewnością pan Piskała, że jego małpia figura podobne nasunie mi uwagi... Niezgorszym bądźcobądź był przedstawicielem nie zwierzęcia-człowieka ale człowieka-zwierzęcia.

Gdy otwierał tajemniczą kryjówkę swoich skarbów, był podobnym do psa, który zagrzebał kość w ziemię, by potém, niewidziany oku swych współtowarzyszy, dobyć ją na niepodzielną ucztę; gdy ręką poruszył drogi kruszec i jego dźwięk posłyszał, twarz przybrała wyraz zachwytu, uśmiechał się po ludzku jakby łowił uchem czarowne dźwięki Bethovena sonaty; gdy złoto błysnęło, wzrok się zapalił krwiożerczą chucią tygrysa, drżał, wydął nozdrza, szpony wyprężył do łupu — a późniéj, gładząc rozesłane na dłoni dukaty, miał wyraz małpy, która oddała ciało wyuzdanéj chuci ozpusty.

Człowiekiem, tygrysem, psem i małpą był zarazem.

A cóż powiedzieć o podłym targu z panem Tytusem Ornowkim? o oddaniu na łup hańby téj, któréj powinien być puklerzem

obrony? Tutaj był tylko człowiekiem, bo padł w przepaść sromoty niedostępnéj już żadnemu zwierzęciu.

Wzniesieniom się i upadkom ludzkim niema granicy!

Przy téj podwójnéj duszy i ciała karykaturze, hrabia Tytus Ornowski przynajmniéj powierzchownością przedstawiał uszlachetniony typ zwierzęcia. Miał dumę lwa, chytrość lisa i bezczelność człowieka.

Na tle tych ciemnych charakterów jakże świetnym blaskiem rysowały się postacie Anny i jéj nauczyciela! Nie były to jednak duchy z mgły i galarety—czerwona, gorąca krew w ich żyłach płynęła. Anna nie należała do tych istot, które przyjąwszy na siebie dobrowolnie czy bezwolnie ofiarę, roztapiają się w modlitwach i ascetycznych rozmyślaniach, przybierają wyraz pokory i jagnięcego poddania się. Pamiętam jak jéj brwi się ściągnęły, zacięły usta, jakim ogniem zapaliły się oczy, jaki dźwięk gniewu zabrzmiał w głosie gdy mówiła: nienawidzę go! całem życiem, które on złamał i zdruzgotał!.. Była to lwica, któréj pierś zadyszała wściekłością na widok pomordowanych dzieci. Lecz zemsta ani rozpacz nie miały do jéj czystéj duszy przystępu. Mocą woli, tłumiąc wzburzonego serca porywy, oddała się nauce i cichéj nauczycielki pracy—pierwsza karmiła jéj umysł, druga serce i młode umysły dziatwy wioskowéj. To téż widziano ją nieraz, niby Zosię Mickiewicza, w rannym szlafroczku, otoczoną złotemi główkami dzieci wyciągających do niéj dłonie, patrzących z uśmiechem w piękną twarz *dobréj pani*, albo pochylającą głowę w drzwiach niskich lepianki, przynoszącą biednym słowo pociechy, ubranie i chleb. Hrabia ruszał ramionami ale nie wzbraniał jéj tego „chłopienia się“ jak się wyrażał. Ksiądz Atanazy był jéj prawą ręką i podporą.

Kapłan ten nie należał do zbyt pospolitych ludzi, owszem jako ksiądz wyjątkowym był może człowiekiem. Gorącéj wiary, bez najmniejszéj odrobiny fanatyzmu; za prawdę Ewangelii stanąłby na arenie cyrków Nerona, lecz nie potępiał prądów nowych wiar i przekonań.

— A czego wy chcecie od tych ludzi? — powiadał gorszącym się z niego — nie zabiją oni prawdy, bo ona jest duszą Boga, miejcież wy lepsze o Panu Bogu pojęcie! Dusza ludzka nie na poziewanie stworzona, ciekawy to ptaszek! musi zajrzéć i w dziuplę spróchniałéj wierzby i trzepnąć w błękity jeżeli się niema ześlimaczyć.

A gdy został zapytany przez władze kościelne, dla czego nie gromi i nie straszy potępieniem wieczném heretyckich myślicieli naszego wieku? odpowiedział: że nikt jeszcze nie wlazł od razu na słup posmarowany mydłem.

Te i tym podobne oznaki wolnomyślności były przyczyną, że mimo ogromnéj nauki jaką posiadał, ominęły go wszelkie godności w hierarchii kościelnéj, ledwie mógł się w charakterze proboszcza utrzymać, dzięki zbiorowemu wstawieniu się parafian. Zamożni go czcili i słuchali—ubodzy kochali. Nie było jednéj rodziny, któréjby nie wydźwignął z nędzy i poniżenia; nie było jednéj strzechy gdzieby czystego ziarna nauki Chrystusowéj nie zasiał. Gmin ciemny miał w nim nauczyciela i ojca. Przekonywał słowami miłości i dobrze zastosowanemi przykładami, ale i kawałkiem rzemienia za długo przysiadających w szynku wypędzał. Był popędliwym nad miarę. Gdy go ze snu budzono wstawał natychmiast ale się nigdy bez łajań nie obeszło.

— A ruszaj sobie na cztery wiatry — krzyczał — ni w dzień, ni w nocy spokoju! won! precz!...

Ale niechże się tylko wypędzany ku drzwiom obróci, inną wyśpiewywać zaczynał piosenkę.

— Czego idziesz? widzisz że jestem gotów ci służyć! No! co tam, dziecko moje? do chorego po pomoc duchowną czy po doktorską poradę?...

Bo ksiądz Atanazy miał apteczkę u siebie i umyślnie uczęszczał niegdyś na kursa medycyny, żeby być pomocą ubogim. Dla siebie surowy do ascetyzmu, dla innych pobłażliwy i przebaczający.

Nie podobny do nich, całkiem odrębny typ przedstawiał Stanisław Starża. Pan staréj daty, ze wszystkiemi wadami i zaletami, był ostatnim reprezentantem zaginionego już typu dyablów Stadnickich. Awanturnik, nie liczący się z czasem, żył tylko chwilą obecną, wierząc, że jutro będzie mu dane. W młodzieńczych latach był postrachem niewiast, ulubieńcem młodzieży. Należał do partyi patryotów, którzy mierzyli siły na zamiary i w dobréj sprawie ogólnych interesów pół świata wyzwałby na rękę. Patrząc na codzienne życie młodego Stanisława, w głowie którego nie trwała „myśl nawet godziny;“ patrząc na jego wyuzdane wybryki, nikt by nie mógł przypuścić, że miękka dłoń miłości w karby żelazne weźmie to serce.

Zakochał się z całym szałem krwi wulkanicznéj.

Czy piękna Marya, gdyby z nim została dozgonnemi złączona węzły, trwałyby wywierała wpływ na nielubiący się niczém okiełznać charakter Starży, o tém wątpić można,—ale straciwszy ją podstępem, w chwili gdy miłość jego w saméj pełni rozwoju była; dawszy się zwyciężyć człowiekowi, w którego żyłach nie płynęła krew setki pokoleń—to za silna rana, za mocny policzek był dumnemu magnatowi zadany! Mścił się, a gdy zemsta jego stępiała przy mar-

murowym pomniku Maryi, dla niéj zachował miłość nienaruszoną żadnemi przewrotami losu, dla wydziercy swojego szczęścia—nienawiść! I lata upłynęły szerokim czasu korytem, włos mu zrzedniał i zbielał na głowie — on pamiętał, kochał— i nienawidził.

Nic już mu zastąpić nie mogło pierwszego, starganego uczucia. Wszedł w śluby z księżniczką Rawską bo chciał spadkobiercy dla fortuny i rodu—los mu dał córkę. Kobieta niegodną była jego starań. A gdy wspomnienia nie milkły lecz sercem dzwonu uderzały mu w duszy coraz potężniéj, powrócił szał dawnych zabaw, upijał się hałasem biesiadników i szumiącym win płynem i dłonią zimną, dla podtrzymania lecącéj w gruzy fortuny, sprzedał córkę, bo cóż mu znaczyły łzy głupiéj dziewczyny? Lecz dziecię macoszego losu miało hardą krew Starżów. Bezsilną była wola jego przeciwko woli dziewczęcia. Więc przeniósł śmierć nad upadek rodowego blasku— i to mu wróciło życie, łamiąc bohaterski opór córki.

Nie miał on miedzianego czoła Piskały, niepomiernéj dumy przy nizkich namiętnościach Ornowskiego, — w nim się łamały wyraźnie, nie pokryte żadną maską obłudy, światła wielkie i cienie wielkie!..

Zestawiłem sobie w myśli te pięć postaci, tych pięć duchów odrębnych i rozszerzyło mi się pole widzenia, na którém stanęły sfinksowe posągi z napisami: człowiek — wartość jego — życie i cel ostateczny!

Pogrążony w dumaniach nie zauważyłem jak czerwone słońce zniżyło się ku zachodowi, jak obszar stepowy okryty białą szatą śniegu oblała różowa łuna promieni, świecąc miliardami iskier i tęcz, jak hen! daleko gdzieś na skłonie nieba, zarysowały się białe dachy chat wieśniaczych, a wyżéj nad niemi zapanował dwór dziedzica otoczony gąszczą drzew różnorodnych, które dźwigając na sobie zamarzłe igły śronu, powyginały się w fantastyczne słupy i arkady, tajemnicze między niemi tworząc kurytarze i wejścia, spinając się w łuki dziwacznych a pięknych form architektonicznych; a górą nad niemi rzędem długim stały równe, z kapitelami koron rozdartych od ciężaru zwieszających się brył lodu, wysmukłe topole, oblane jedną masą lśniącego śronu, niby kolumny czy obelisk z kryształu.

Była to moja rodzinna wioska.

XIII.

Ile razy zobaczyłem zdaléka dach ojcowskiego domu, stary, duży, ociemniony stuletniemi konarami lip i kasztanów; ile razy posły-

szałem znajome psów szczekanie, radośne ich skomlenie na widok wracającego pana—serce uderzało dziwnym spokojem, wszelkie troski znikały z czoła, uśmiech zadowolenia na ustach siadał: jestem nakoniec *u siebie*.

Jakaś cisza, jakiś spokój świąteczny z tych krótkich wyrazów powiewa. Zdaje ci się, że wędrowiec po długich latach tułaczki, w któréj nie raz stopy o kamień obraził i pierś rozkrwawił—otarł znój z czoła, doszedł do kresu wędrówki i szeroko piersią całą, pełną piersią odetchnął. Przytulił go dach, słomiany może, ale własny—nie wprosił się w gościnę, którą mu dać mogą niechętnie, nie lęka się z czyjéjkolwiek twarzy wyczytać wyrazów: ustąp! zawadzasz nam! Nie! szczęśliwy jest, spokojny bo—*u siebie*!

To *moje* jest tak w nim silne jak ja *drugie*. Nie wyrobił on tego pojęcia własności z postępem wieków—jest już ono z pierwszym rozświtem myśli w człowieku niemowlęciu. Sukienka, którą mu dano, przykrycie, którém go w czasie snu otulano—stają się już jego niezaprzeczoną własnością. Krzykiem zaprotestuje przeciwko nadużyciu swojego prawa. Póżniéj rozum może wypracować ideje znoszące to prawo, ukażą się ich apostołowie i męczennicy; mogą oni zapanować na czas pewien, bo rozum jest silny—ale jako gwałt zadany przyrodzonemu porządkowi rzeczy, królestwo ich jest bez marzeń o jutrze. Nawet wróbel nie puszcza szczygła do gniazda swojego.

Nie z uczuciem dziś jednak radości i spokoju do swojego zbliżałem się domu. Do ścian cichych nie przykuję już myśli ulatującéj tam... do niéj! Szmery drzew ukochanych nie ukołyszą serca, którego część najzacniejsza w białéj została sali. Przeciwnie—jakaś niepojęta trwoga mnie opanowała—lękałem się widma strasznego: nudy i zniechęcenia.

Zapomniéć jéj nie będę mógł nigdy, miéć—nigdy!

Będęż miał siłę przewalczyć omdlenie ducha i wierną zachowując pamięć o niéj—samotnie żyć i pracować?

Na myśl téj słabości płomień wstydu twarz mi oblał...

A ona?..

Tak!... Ona być musi dla mnie wzorem — niedoścignionym może...

Z postanowieniem tém walki i poświęcenia wjechałem w dziedziniec. Poczciwe psiska zdaleka już rozpoznały dźwięk moich dzwoneczków. Czekały mnie u bramy, niewymowną swą radość objawiając przeciągłem skomleniem i ruszaniem puszystych ogonów. W dzikich skokach i piskach uniesienia pod sam zaprowadziły ganek i gdym wysiadł z sani, rzuciły się w ramiona, podskakując, liżąc rę-

ce, a piękny mój Hulaj miał chęć nie umiarkowaną ucałowania mnie w policzki.

W całém podwórku zawrzało jak w kotle. Z kuchni wyleciał kucharz z rądlem w jednym a nożem w drugim ręku; z bocznego ganku poczciwa Walentyna Trulkowska, zapychając pośpiesznie za fartuch ogromny pęk kluczów i przechylając się z boku na bok, do czego ją zmuszała niezmierna tusza, śpieszyła do mnie zasapana, śmiejąca się, dająca jakieś znaki, rozmachanemi rękoma; w piekarnianym ganku kilka osób pokazało się z czeladzi, nakoniec wysunął się z domu poczciwy Wojciech, z młodzieńczych lat jeszcze ojca dobry sługa, chudy, słuszny, witając radośnym uśmiechem, który mnie jakoś dziwnie dwóznacznym się wydał. Cała ta gromadka ludzi zacnych całowała ręce, ściskała, zarzucała pytaniami, śmiejąc się ciągle i ukośne rzucając na siebie spojrzenia. Te ruchy, śmiechy i spojrzenia były tego rodzaju, że musiały nasuwać myśl o jakimś niezwykłym wypadku, który tu, w czasie mojéj nieobecności się wydarzył.

Wypadek musiał być radosny, bo poczciwcom usta i oczy szczerem weselem się śmiały.

Po uściskach i całusach zwróciłem się do Wojciecha.

— A jakże się ma pan stary?

— Zdrów, chwalić pana Boga! o paniczu nie zapomniał...

I zaśmiał się w kułak.

— Co ci stary?

— A—nic! to z rajdości!..

Wojciech nie wyrażał się inaczéj.

— Sarnina jest, panie! huknął mi nad uchem mistrz sztuki kulinarnéj. Jakbym przeczuwał, że pan dziś powróci, schowałem kawałek czombra... No! i ot!.. dodał stary Marcinek i zaśmiał się...

— A! jakoś, nakoniec, podówczas! wołała Trulkowska, antyk w swoim rodzaju, rozpychając łokciami otaczających i chwyciwszy mnie bez ceremonii za szyję w oba ucałowała policzki.

— Zdrów! świeży! rumiany! a ja namarynowałam szczupaka sercu mojemu—salcesony własne zrobiłam i uwędziłam swoję polędwicę podówczas! Kręciłam głową i wszystkim podówczas ale salcesony i polędwica według mojego konceptu spreperowane. Smakowitość do nieśmiertelności i podówczas!..

Poczciwa pani Walentyna Trulkowska, wdowa od lat czterdziestu, czego się zresztą nie zapierała, sięgała pewnie sześćdziesiątki lecz przyznawała się do pięćdziesiątéj tylko wiosny życia.

— Miałam lat dwadzieścia—mawiała—jak wyszłam za mąż, od lat czterdziestu jestem wdową ale, dziwném zrządzeniem bożem, nie mam więcéj nad pięćdziesiąt.

Wierzyła w cuda, w duchy, znała się na zamawianiu zębów bolących i wypisywaniu febry, preparowała lekarstwo przeciwko miłości, od czego raz mój Piotruś mało co na piwo do Abrahama nie pomaszerował—rządna, przywiązana do swych panów i swojemu obowiązkowi oddająca się z zamiłowaniem artysty. Całe kobiece gospodarstwo było w jéj ręku; robiła w niém ciągłe ulepszenia, pracowała do znużenia, nie raz niejedną noc przesiedziawszy nad rozmyślaniem o nowym sposobie robienia kiełbasy lub salcesonów. Gdy wpadła w zapał oratorski, plotła jak na mękach, dodając za każdém niemal słowem ulubione swoje *podówczas.*

— Czekaliśmy wszyscy, czekali ale i doczekali—sapała baba— i niespodziankę sprawili sercu mojemu podówczas.

Tu urwała, posłuszna jakiemuś gestowi Wojciecha, który w kułak się zaśmiał. I znów te śmiechy przeleciały po twarzach wszystkich.

— Ja także nie próżnowałem, panie dobrodzieju, zagrzmiał Marcinek — wykomponowałem sos jakiego nawet Napoleon nie jadał...

Marcinek upewniał, że Napoleonowi Pierwszemu gotował obiad w Warszawie.

— Ale co tam sos i marynata—dokończył—tutajśmy panu spreperowali taką siurpryzę...

Znowu mrugnięcie Wojciecha, parsknięcie w kułak i uśmiech ogólny.

— Co im się stało? pomyślałem—

I z towarzyszącym mi Wojciechem, który był nieodstępnym stróżem kaleki, pośpieszyłem z powitaniem do ojca.

W drugim pokoju od sieni już zobaczyłem pana Feliksa, jak go pospolicie zwano, wychodzącego z gabinetu na moje spotkanie. Mój ojciec, gdy mu prawą nogę odjęto, chodził o kuli, ale poruszał się szybko, strome schody nawet nie przedstawiały mu wielkiéj trudności. Przypadłem do kolan, ucałowałem ręce i podnosząc się w rozwarte jego rzuciłem się ramiona...

— A przecie—a przecie Bóg ciebie nam sprowadził, panie Adamie! Hulałeś miesiąc z górą, bałamuciłeś dziewczęta—ha? a o starym zapomniałeś!..

Objął mnie raz jeszcze, ucałował i wziąwszy za rekę do swojego zwrócił się gabinetu.

— No! siadaj waćpan—rzekł zasuwając się w głęboki fotel stojący przed biurkiem, na którém leżały nie odczytane jeszcze gazety.

Siadłem na przeciw—Wojciech w drzwiach stanął.

— Więc zapomniałeś waść o nas!.. a my tam o tobie pamiętali—i dobrze!

Pokręcił wąsa wesoło patrząc na mnie—Wojciech zaśmiał się w kułak.

— Nie łatwym ja ojcze do zapomnienia, o tobie przynajmniéj!..

Nachyliłem się i pocałowałem go w kolana.

— Tak! tak! wiem—wyrosłeś poczciwie, odezwał się pan Feliks—chlubą mi jesteś i prawą ręką, którą już słabo władam i prawą nogą, któréj nie mam.

Przycisnął mnie do serca—Wojciech poruszył się niecierpliwie.

— A niech już jaśnie pan gada... o tém—tam—o!..

Pan Feliks zaśmiał się.

— A ha! ha! nie możesz już ustać spokojnie—co?

— Kiedy ja by chciał już prędzéj zobaczyć jak pan Adasiek w ręce z wesołości zaklaśnie.

— Przyznam się kochanemu ojcu, że już i ja jestem ciekawy dowiedzenia się o przyczynie tych uśmiechów, jakiemi mnie wszyscy powitali, dwuznacznych a radośnych.

— Bo co rajdość to rajdość! zadecydował Wojciech.

— No! pamiętałem o tobie—rzekł pan Feliks.

— O tém nie wątpię—cóż daléj?

— Sprawiłem ci niespodziankę miłą.

— Innéj byś nie mógł sprawić—

— Podziękuj mnie!

Pocałowałem go w rękę.

— Myślałem, że czy pierwéj czy póżniéj musisz zaś waćpan o swoim losie pomyślić. Nadarzyła się zręczność i ja za waćpana pomyślałem.

— Myśleliśmy obydwa, taj wymyślili—wtrącił Wojciech.

— Nie rozumiem ciebie, kochany ojcze! odpowiedziałem niespokojnie i coś mi w serce ukłuło.

— Oświadczyłem się w imieniu waćpana pannie Agnieszce Hoholównéj...

Porwałem się z miejsca.—

Czułem, że krew mi wszystka z twarzy do serca się wparła, które zadrżało, stanęło chwilę i z podwójną uderzyło mocą.

— W imieniu mojem? rzekłem drżącemi usty—i opierając się o poręcz fotela ledwie zdołałem usiąść.

Pan Feliks spojrzał mi w oczy.

— A to co, panie Adamie? tak zbladłeś jak ściana! czy nie zostawiłeś gdzieś serca po drodze?.. No! to byłoby źle!

— Bo rajdość by nasza jak dymek z lulki precz poszła, zakonkludował Wojciech.

— No—a co? czy zgadłem panie Adamie? zapytał ojciec.

— Nie—nie, ojcze! rzekłem przychodząc do siebie—nie znalazłem żadnéj kobiety, z którąbym mógł wiecznemi śluby się połączyć—ale... i panna Hoholówna nią—nie będzie.

Ten wyraz ostatni powiedziany z niezłomną stanowczością, brwi ściągnął ojca—Wojciecha przeraził.

— Dla czego? spytał po chwili pan Feliks, gniewnemi mierząc mnie oczyma.

— Bo panna Hoholówna nie jest zdolną przynieść mi szczęścia a ono przecie ma pewną wartość dla mnie i dla ciebie.

— Panie Adamie! nie zrobiłem tego zupełnie samowolnie. O Jagusi mówiłem ci nie raz—odpowiadałeś mi: pomyślę może o tém! A gdym ci mówił raz ostatni przed wyjazdem twoim na Podole—rzekłeś: możeby i dobrą była żoną! i to było moich oświadczyn zasadą.

— Na tém to i sama zasadzała się zasada, odezwał się Wojciech...

— Ale nie bladłeś—kończył pan Feliks—usta ci nie drżały. Ty coś kłamiesz, panie Adamie!

— Mówiłem ci ojcze, że nie spotkałem żadnéj kobiéty, z którą bym mógł stanąć przed ołtarzem...

Pan Feliks powstał——

— Nią być musi Jagusia Hoholówna! rzekł powoli—

— Musi!! potwierdził Wojciech uderzając dłonią w kolano.

— Nie będzie—ojcze! Na to masz moje męzkie słowo.

— Słuchaj Adasiu! rzekł nagle zwracając się do mnie ojciec. Nie uczyniłbym tego nigdy, gdybym wiedział, że to cię gromem porazi. Dziś bym cofnął—ale czy mogę? Szczęście twoje coś warte, powiadasz—prawda! ale i honor panny. Oświadczyłem się w twojém imieniu—dziś co zrobisz? Powiesz jéj: że ojciec kłamał—a waćpanna jesteś dla mnie hetką pętelką—co?

— Dobrze powiedziano! mruknął Wojciech—hetką, pętelką!

I wskazujący palec przyłożył sobie do czoła—

— Hetką pętelką—ślicznie!

Pozycya była bez wyjścia.

Nie wiedziałem sam co mam robić, jak się wywinąć z tego zaczarowanego koła? Nie byłem zdolny zebrać myśli—plan postępowania wypracować w swobodniejszéj tylko mogłem chwili.

— Musimy, ojcze—rzekłem—zostawić to czasowi. Ty nie nalegaj na mnie, bo nie wiesz co się ze mną dzieje. Późniéj! póź-

niéj!.. Teraz mi opowiedz, jak do tych nieszczęsnych oświadczyn przyszło.

— Bardzo prosto! Pojechałem do Kurnéj odwiedzić pana Eustachego. Nie zastałem go w domu, puściłem się tedy z panią w gawędkę. Rozmawialiśmy sobie to o tém to o owém—tak z godzinę.

— A gdzie panna Agnieszka? zapytuję—

— Marynatę robi—odpowiada mama.

— Posunę się do niéj by te pracowite rączki wycałować—powiadam.

— A idź pan, tylko nie bałamuć mi dziewczyny, odrzekła matka.

Pokulałem na dziedziniec.

Pannę Agnieszkę znalazłem w kuchni jak podkasawszy spódniczkę i obnażywszy ręce po łokcie, marynatę robiła.

Bardzo mi się podobała!

W gawędę z nią tedy—

— A komu to marynatka? spytałem całując pulchną rączkę.

— Temu kto będzie jeść—odpowiedziała filutka.

— A kto będzie jeść? spytałem znowu—

— Ktoś! odpowiedziała sprytna dziewczyna.

— A jeżeli zechce mój Adaś skosztować? zapytałem niby niechcący, patrząc na nią zezem.

— To szkosztuje!

Uważasz! Odpowiedziała: skosztuje! Dała niby początek—dowcipnisia! Musiałem iść daléj!

— A jeżeli by zechciał i rączki razem z marynatą?

Spąsowiała jak alkiermas i odwróciła się do mnie plecyma.

Obejrzałem ją od stóp do głowy.—

Bardzo mi się podobała!

— Panno Agnieszko! rzekłem po chwilce—

— A co tam jeszcze będzie?

— Ja od Adasia przyjechałem—

— Po co?

— Po to!

I chap za obie dłonie.

W téj chwili nadjechał pan Eustachy—opowiedziałem mu wszystko. Stuknęliśmy w kielichy a na drugi dzień—(bo tego dnia zebrało się na zawieję)—pani Eustachowa pojechała z wizytami i o szczęśliwym wypadku całą powiadomiła okolicę. Głośna to już sprawa, panie Adamie! bez skandalu i kompromitacyi zerwać jéj nie można.

— Nie można! wtrącił Wojciech—bez szka... szkandeli i kuprymitacyi!..

— Mój ojcze! odezwałem się—dziś tylko o jedno ciebie proszę. Zostaw mi zupełnie swobodę działania—sam się do niczego nie mięszaj. Może Bóg da iż rzecz się załatwi uczciwie i z dobrém dla obojga.

— Szkoda mi Jagusi, panie Adamie! mruknął ojciec.—

I mając myśl roztargnioną, szeptał:

— Żona to w sam raz dla waćpana!.. marynatę z filozofii zrobi, ciebie ukwasi i w kark tobie dla rygoru dać potrafi! Szkoda mi Jagusi, panie Adamie! żona to w sam raz dla ciebie!

Spuścił głowę, nastrzępił wąsa, brwi gniewnie ściągnął i mruczał niezrozumiale:

— Nie! nie!... to coś jest! waćpan kłamiesz! Jagusię musisz wziąść!..

I prawą pięść zacisnął wzrok utopiwszy w ziemię.

Milczeliśmy długo...

Ojciec twarz podniósł, spojrzał wzrokiem łagodnym i uderzając mnie po kolanach, rzekł:

— Waćpan mnie wstydu nie zrobisz—i do Kurnéj pojedziesz co?

Wahałem się z odpowiedzią—ojciec i Wojciech trwożnie mnie patrzyli w twarz.

— Pojadę! rzekłem po chwili.

— Ot! i będzie rajdość!.. zawołał uszczęśliwiony Wojciech.

— Nie dziś—nie jutro! mówiłem—późniéj! późniéj! Niech tylko ochłonę. Wplątałeś mnie papciu—wplątałeś! ale ja ten węzeł rozetnę...

Ojciec brwi ściągnął—Wojciech pokręcił głową i westchnął straszliwie jakby nie był zupełnie pewnym swojéj rajdości.

— Co to jest? tonem gniewu i niepokoju zawołał pan Feliks.

Mnie już nie było w gabinecie—wybiegłem jak oszalały, słysząc tylko jak Wojciech powiedział:

— Kiepsko!

A późniéj nie mile brzmiący głos ojca:

— Bał—wan!!..

XIV.

Wpadłem czy wszedłem do swojego pokoju—nie wiem. Czułem tylko, że myśli mi się plątały w węzeł chaotyczny, że serce targała rozpacz jak noc czarna, jak przestwór bezdenna i darmo całym wysiłkiem woli wzywałem spokoju, darmo rozumem chciałem wywołać choć fantazyjny obraz nadziei. Wyobraźnia podsuwała mi różne sposoby połączenia się z Anną... Porwanie—ucieczka—roz-

wód! na wszystko bym się zgodził—ale ona przyjętéj na siebie ofiary, ślubu poświęcenia, nie złamała by nigdy! a mogłem że o czém innéni marzyć? Istoty do niéj podobne umrzéć mogą—upaść nie umieją.

I gdzieś na dnie mojéj duszy zarysowała się idealna postać Anny. Jéj oczy, jak dwa szafiry duże, spojrzały na mnie, cudowną głowę otoczył piękny splot warkoczów, usta zadrzały, srebrny głos jęknął w powietrzu i zdało mi się, że miękkie jéj ramiona otaczały mnie, że oddech jéj owiał twarz moję i jakiś płomień ust mych dotknął. Czułem dotknięcie to palące, długie, niezapomniane!.. I ściany białéj sali olśnił krwawy promień zachodu, jakaś pieśń aniołów zakołysała duszą, do serca wpadła hymnem potężnym, mówiąc o szczęściu bez granic, miłości nieskończonéj. Szczęście! miłość!—to sen! życie barw takich niéma!

Po chwili wzburzenia powrócił jakiś spokój smutny, jakaś rezygnacya rozpaczna człowieka, który daremno do gwiazd wyciągał ramiona—piękne one lecz nie obejmiesz ich nigdy! I doprawdy! wspomnienia dni kilku wydały mi się widmem wywołaném gwałtowną gorączką mózgu. Był to sen rajski, widziałem w nim marę niezwykłą, któréj na imię było Anna!..

Odetchnąłem ciężko, wróciła równowaga umysłu i twarda dłoń przeznaczenia pokazała prawdziwą stronę życia.

Widziałem przy boku swoim Jagusię, krzątającą się jak szara gąska po mojém gospodarstwie; była dobra dla mnie, całowała, pieściła i karmiła. A gdy wspomnienia o raju utraconym gnębiącym smutkiem pochylały mi czoło; gdy duch wylatywał w krainy marzonego szczęścia—ona—dobra, śmiejąc się z chwilowych kaprysów małżonka, przynosiła mi marynatę, mówiąc o dobrze niosących się dziś kurach i przyjściu na świat rudego byczka.

Precz z marzeniami, którym nie można dać ciała!..

Po chwili—nicości, że się tak wyrażę, bo nic nie czułem i nic nie myślałem—zobaczyłem jakiś gmach duży, rozsunął się rząd popokojów w nieskończoność prawie, błysnęły drżące światła w alabastrowych zapalone lamp kielichach i na karmazynowych ścian obiciach zawisł długi szereg portretów...

Sen wrócił, wróciło widmo urocze.

I znów ją widziałem.

Na ręku moim oparta, pochyliwszy głowę w tył nieco, patrzyła na mnie gwiazdami swoich oczów i—nagle—słyszałem wyraźnie! nagle, powietrze zadrzało szelestem jedwabnéj sukni, głos cichy zadzwonił: Ty dobry jesteś! ty nie porzucisz mnie na zawsze, nie zabijesz serca biednéj kobiéty! Przyjdzie wiosna i ja odżyję! z powrotem

jaskółek powrotu twojego będę czekała—zobaczysz jaka ja piękna będę—dla ciebie chcę być młodą i piękną!...

Piekło! ona pamiętać będzie, kochać będzie!—a ja?..

Nigdy! nigdy! krzyknąłem w duchu, nie odtrącę snu tego! Choćbym zapłacił życiem, na moje usta gdzie pocałunek jéj spoczął, drugiego pocałunku innéj kobiety nie przyjmę!..

Zdjąłem krzyżyk wiszący nad mojém łóżkiem i wykonałem przed nim przysięgę ślubu.

Lżéj mi było, choć czoło paliło się ogniem i pierś moję dławiło powietrze ciasnéj izdebki. Wyszedłem na ogród—powietrze mroźne ochładzając krwi pożar, wróciło energią i spokój.

Noc zapadła, księżyc bladem światłem oblewał ziemię. Chodziłem między drzewami, rozdzielając co chwila nachylone gałęzie pod ciężarem kryształków ludu, w których jak brylanty świeciły blaski księżycowe. Mróz skrzypiał pod nogami, szelest kroków wśród ciszy nocnéj trwożył uśpione ptaki—zrywały się, łopocąc skrzydły i sypiąc pyłkiem błyszczącym strąconych igieł śronu.

Po parogodzinnéj przechadzce skierowałem kroki do stodół i obór w celu obejrzenia, niewidzianego od dwóch prawie miesięcy, gospodarstwa.

Ojciec mój zamknął się u siebie. Widziałem go przez okno siedzącego koło kominka, na którym czerwony płonął ogień. Był sam, smutny czy gniewny—nie wiem. Palił fajkę na długim osadzoną cybuchu, otaczając się chmurą dymu, czasem brwi ściągał gwałtownie i kręcił niemiłosiernie siwego wąsa!

Wieczór był cichy—wieś tylko grała szczekaniem psów to krzykiem nawoływania; czasem w powietrzu rozeszło się długie wycie stróżów wieśniaczych chat—pewnie wilk przyciśniony mrozem i głodem zbliżył się do niegościnnego sioła. W kuchni duże błysnęło ognisko, w chatach parobków i piekarni zapaliły się światła i gwar zawrzał ucztującéj czeladzi. Z pomiędzy rozmaitych głosów rozpoznałem perorującego Wojciecha.

Koło jednéj ze ścian izby czeladnéj, przy dużym stole, siedziało liczne towarzystwo z parobków i furmanów złożone. Po środku stał Wojciech, na przeciw niego, zdala nieco od czeledzi, nie chcąc sie profanować, siedziała tłusta pani Walentyna z pękiem kluczów za pasem, patrząc w twarz opowiadającego, to zwracając się czasami do Marcina, który kręceniem głowy jéj tajemniczym zapytaniom odpowiadał.

— Niech mnie ręka boska zabije!.. prawił Wojciech—ale rajdość nasza i mar-żenie przepadły! Pan Adam o Jagusi tak myśli jak ja o pani Walentynie. I żeby się gdzieś po drodze zakochał—to jesz-

cze! ale tego się tak *wypira* jak Sawko skradzionego od sań fartucha.

— A co teraz będzie? zapytała Walentyna.

— Szkandel i kuprymitacya! jak powiedział nasz pan.

— Pssy! zasykali parobczaki i pokręcili głowami.

— A co to znaczy coście powiedzieli? odezwał się Marcinek.

Wojciech pomyślał.

— Ba! ba! spytajcie starego pana, bo mnie tego nie można rozpowiadać.

Milczenie i kręcenie głowami.

— A cóż nasz pan na to? spytała pani Walentyna.

— Nasz pan? tłómaczył mu, gadał i mówił. Ale panicz nie odpowiadał nic tylko zbladł sobie i wzdychał. Pan dalej mówił, że z panny zrobił *hydką* (1) *pętelkę*, że nie może swojego ojca kuprymitować i dla tego musi do Kurnéj pojechać. Panicz się nakoniec na to zgodził ale powiedział, że jeżeli tylko panna Agnieszka węzełek zrobi to on go scyzorykiem rozetnie.

— Pssy! zasykano do koła—

— A cóż to znowu za węzełek? spytał mistrz sztuki kulinarnéj...

— Tego mnie nie można powiedziéć!

— A ja powiem! odezwała się pani Walentyna, biorąc się w boki.

Wojciech nadstawił ucha.

— Panna pewnie robi węzełki na zamysł—rozumiecie?

— Aha! odpowiedziały głosy.

Wojciech tylko pokręcił głową jakby nic nie zrozumiał.

W tém drzwi się otwarły i wszedł mój Piotruś.

— O ten—to musi coś wiedziéć! rzekł Wojciech.

Piotruś zasiadł za stołem i wziął się do jedzenia klusek z sérem.

— Ej! gdyby pani Walentyna dała mi więcéj okrasy?

Trulkowska ruszyła się z miejsca i wziąwszy się w boki podeszła do Piotrusia.

— No! słuchaj! dam ci drugie tyle skwarek ale musisz nam powiedzieć gdzieście ze swoim panem byli i jakie panny widzieli? No—dam! a będziesz gadał podówczas?

Piotruś poskrobał się w głowę.

— Kiedy to ja kawalerski sługa, to nic o moim panu mówić nie mogę. Pan ostro zakazał: Słuchaj Piotruś! mówił gdzieśmy byli—ani

(1) hydkij—po rusińku brzydki, obrzydliwy.

słówka! i cośmy widzieli—pst! Nie pozwolił mi gadać nawet, żeśmy do domu nie tą wracali drogą, co zawsze—choć to przypadunek!

— To wy inną wracali drogą? zapytała Walentyna i zapomniawszy o profanacyi swojéj osoby, siadła koło Piotrusia.

— Ba! ba! i do pałaców zajeżdżali.

Trulkoska wlała parę łyżek słoniny do klusek aż Piotruś się oblizał.

— A co to za pałace? kto w nich mieszka?

— Nie mogę mówić—pan mnie ostro zabronił!

— Co tam go pani Trulkowska rozpytuje—odezwał się przebiegły Wojciech—on tak widział pałace jak ja brodawkę na łopatce u pani Walentyny.

— Kiedy widział to widział, rzekł Piotruś—i to grafskie!

— Grafskie! zawołało kilka głosów.

— Co wy tam jego słuchacie! ciągnął Wojciech—durzy wam głowy i koniec! Jakie pałace? gdzie te pałace?

— A w Mrugotynie? zawołał zniecierpliwiony Piotruś.

— A graf że tam mieszka?

— A mieszka—i grafini razem.

— Jaka?

— A grafini Ornowska?

Trulkowska poruszyła się żywo aż zatrzeszczała ława i dodała łyżkę słoniny Piotrusiowi—Wojciech mrugnął a potém machnął ręką:

— Et! stare babsko!

— Aha! stare!.. Jak pan mój ją zobaczył z rana u księdza to zaraz do niéj na obiad pojechał i był do póżnéj nocy—a gdyśmy późniéj wyjeżdżali od pana Starży z Maliniec, to pan mi powiedział: Piotruś, ani słowa o tém gdzieśmy byli, szczególnie Wojciechowi i pani Walentynie—i powiedział: zapamiętaj drogę—do Mrugotyna pojedziemy jeszcze i nie raz.

Piotruś dokończył jedzenia i ocierając rękawem szeroko zamazane słoniną usta, pocałował w rękę panią Walentynę, która w dowód szczególniejszéj łaski, dała mu wyjętego z kieszeni placka z makiem. Wojciech zaś, będąc pewnym, że otrzymane wiadomości na coś się przydać mogą, posiedziawszy chwilę, powlókł się do gabinetu mojego ojca.

Nie chodziło mi wcale o zachowanie tajemnicy mojéj podróży, lecz dając rozkazy milczenia, chciałem Piotrusia przyuczać do trzymania języka za zębami. Inną razą wymierzyłbym mu sprawiedliwość za nieposłuszeństwo ale teraz nie czułem się w usposobieniu karania gadatliwego chłopca.

Obszedłszy gospodarstwo, zajrzawszy do stajen i obór czy służba naznaczona jest na swych miejscach, rzuciwszy okiem na wieś, która niżéj szerokiem rozbiegła się kołem, spała już białą szatą śniegu okryta w głębokiéj ciszy, przerywanéj czasami psów szczekaniem lub pianiem koguta, powróciłem do domu gdzie czekała na mnie wieczerza.

Ojciec mój już siedział koło stołu nad kielichem węgrzyna, prowadząc jakąś z Wojciechem rozmowę, którą przerwał zobaczywszy mnie wchodzącego.

Usiadłem smutny i zgryziony—Wojciech roznosił przynoszone przez posługacza półmiski.

— Napijesz się waćpan ze mną kieliszek wina? zapytał pan Feliks.

— I dziesięć, ojcze! chciałbym się upić—odpowiedziałem.

— Jeżeli waćpan nie jesteś już i tak upojony, rzekł pan Feliks z przyciskiem.

— Nie panną Agnieszką tylko—odpowiedziałem.

Wojciech zaczął kręcić głową, ojciec udając, że nie słyszy odezwał się pochwili:

— A jak to tam waćpanu podróż wypadła? Słyszałem, że do Ordynki na Madryt jechałeś—hę?

— Takiego koła nie zrobiłem. Zawieja zapędziła mnie do Mrugotyna, gdzie miałem zręczność poznać Ornowskich.

— A słyszałem, że tam jakaś grafini mieszka—rzekł ojciec patrząc mi w oczy.

— Żona hrabiego, Starżówna z domu.

Nie mogłem wymówić jéj imienia bo byłem zdolny do łez—i tak ledwie mogłem zapanować nad sobą i zimną krew zachować. Chcąc co prędzéj od lubego odstąpić przedmiotu, dodałem:

— Byłem także w Malińcach.

Pan Feliks brwi zmarszczył i rzucił przez zęby:

— I widziałeś tam Karmeluka!

— Widziałem, ojcze!

— Jakże się waćpanu podobał? zapytał ojciec.

— Duży pies! odpowiedziałem.

Pan Feliks wpatrzył się we mnie—

— Jakto pies?

Byłem tak roztargniony, że nic prawie nie rozumiałem.

— Ojciec pyta o psa pana Stanisława?

Pan Feliks stuknął pięścią kułakiem.

— Tfu! do krocset!.. Trzydzieści lat Starży nie widziałem a ten chce żebym psa jego pamiętał! waćpan oszalałeś czy co?

Stuknięcie o stół przywróciło mi przytomność. Zaśmiałem się mimo woli z omyłki i wytłómaczyłem ją ojcu. Starża jak wiadomo psa swojego Karmelukiem nazywał, ojciec zaś tak samo Starżę nazwał.

Pan Feliks pociągnął wina i mówił:

— No—nie! waćpan nie mogłeś się domyślić, dla czegom nazwał go imieniem tego rozbójnika. Nie, nigdy nie opowiadałem o tém. Chciałem tobie i sobie oszczędzić przykrości—ale teraz... jeżeli chcesz...

— Ojcze mój! rzekłem—nie rozraniaj smutnemi wspomnieniami, może nie zagajonych jeszcze ran serca. Historyą tę opowiadano mi—znam ją—okropna!

Pan Feliks mrugał powiekami, rozpędzając łzy nabiegające mu do oczów.

— Kto ci ją mówił? czy Starża?

— On dokończył—i tak samo jak ty łzy połykał.

— O! gdyby nie ta kula u nogi, dawno by robactwo gryzło to ścierwo!

Zacisnął pięście—późniéj, pohamowawszy nieco gniew wywołany przypomnieniem boleśnéj chwili życia, zapytał:

— A jak tam... on? nienawidzi mnie tak silnie jak i ja jego—co?

Opowiedziałem całą moję bytność u Starży, rad będąc że rozmowa została odwróconą od przedmiotu, którego dotykać bym nie mógł bez zdradzenia się z tém, co wieczną mojego serca tajemnicą być miało. Ojciec słuchał uważnie, popijając wino—gdym skończył opowiadanie, pokręcił wąsa i mruknął:

— Dobrze, że losy nie pozwoliły nam spotkać się... Nie mógłbym spokojnie patrzéć na tego zbója. Ale—to dziwno! że on waćpana tak przyjął—a nawet, jak mówiłeś, pokochał! Pan Starża, jak widzę, jest lepszy odemnie, bo jabym jego szczenię z zimną krwią zadławił.

Nie wiedział pan Feliks jaki kolec w bił w moje serce. Pochyliłem czoło i podpierając je obiema dłońmi wpatrzyłem się w kielich stojący przedemną złotém nalany winem.

Po krótkiem milczeniu ojciec zapytał:

— Słyszałem, że Starża miał córkę, którą przed laty za Ornowskiego wydał—ma być ładne to psiątko—hę?..

Jakby kto wrzątkiem zlał mnie niespodziewanie, rzuciłem się i spojrzałem w twarz ojca z wyrazem wymówki, może tłumionego gniewu nawet. Pan Feliks musiał bo zauważyć to długo wpatrywał się we mnie, w końcu rzekł, zaciskając zęby:

— I jakie tam szydło ukłuło waćpana?

— Czy można tak się odezwać, ojcze, o kobiecie, któréj się nie zna?

— A ty ją znasz?

— O tyle, że mogę o niéj powiedziéć, że jest to osoba, o któréj tylko z szacunkiem mówić można.

— Aha! mruknął pan Feliks.

To—aha! było wymówione z takim przyciskiem, z taką pewnością w domysł jakiś, żem uczuł w sobie niepokój i trwogę niewytłómaczoną. Pan Feliks nie pytał więcéj o nic, starał się być wesołym, zaczął rozmawiać o gospodarstwie, o sąsiadach—w końcu przeszedł do polityki, która była ulubionym gawęd jego przedmiotem. Przedstawiwszy czarno na białém, że książę B. jest łotrem z pod ciemnéj gwiazdy, któremuby dwóch złotych bez formalnego kwitu nie pożyczył, przeprowadzony przezemnie, udał się do swojego gabinetu na spoczynek, gdzie wraz z Wojciechem pozostał.

Wychodząc z pokoju ojcowskiego, zatrzymałem się chwilę pod drzwiami, będąc ciekawym rozmowy, któréj przedmiotem, prawdopodobnie, być by musiał domysł o przyczynie mojego smutku i zgryzoty.

— A co, jaśnie pan, wyrozumował? zapytał Wojciech.

— Dotąd nic—ale trzeba się miéć na baczności.

— Czy to czasami grafini nie urzekła młodego pana?

Pan Feliks splunął.

— Idź spać!... wytrzeszczaj tylko oczy.

— I uszy wydłużaj! dokończył stary sługa.

Wojciech wyszedł—ojciec zaczął po łacinie głośno odmawiać Pater noster—ja do swojego udałem się pokoju.

(*d. c. n.*) *Kazimierz Gliński.*

STANISŁAW LESZCZYŃSKI PO PUŁTAWIE.

(Dokończenie).

Jak wiadomo, schronił się Karol XII do Benderu w kilkaset zaledwie ludzi, których liczba wzrastała póżniéj, dzięki wychodźtwu żywiołów co wojenniejszych z Polski, Węgier i Kozaczyzny. Dość przypomnieć, jak dalece całe staranie króla szwedzkiego z owego schronienia Benderskiego zwracało się, z jednéj strony ku spowodowaniu Dywanu do wypowiedzenia wojny Rosyi, z drugiéj do utrzymania z podobnego oddalenia w posłuszeństwie Szwecyi i wymuszenia na jéj wstrętach, niechęci i nędzy, odsiecznéj wyprawy na pomorskie brzegi, wyprawy, któraby zabrawszy z sobą króla Stanisława wtargnęła do Polski, podała jemu, Karolowi, wkraczającemu w 100,000 Turków i Tatarów ze strony mołdawskiéj rękę i odegrała w ten sposób, jednym szczęśliwym rzutem wojennych kości, grubą przegraną Pułtawską. Karol nie mógł się zrezygnować na myśl, że Pułtawa jest początkiem końca jego zawodu; uważał ją za przemijający kaprys fortuny, który szybko i świetnie naprawić będzie można, byle tylko nie zawiodły żywioły, na które mniemał mieć prawo liczyć. Otoczony siecią Augustowych i Piotrowych agentów, którzy pod najrozmaitszemi postaciami do Benderu zaglądali, zawiązał przez Stanisława Poniatowskiego, Neugebauera, Fabrice'a z Dywanem stosunki, które, barwnością i obfitością swych szczegółów, starczyłyby same do zapełnienia obszernych tomów. Tutaj ograniczamy się na zapisaniu jako ogólnego tych toczących się przez ostatnie miesiące roku 1709, przez cały rok 1710 niemal układów charakteru i rezultatu, iż jak celem ich było usunienie wpływu Piotra W. z Polski, a restauracya Stanisława jako naturalnego Porty i Szwecyi sprzymierzeńca, tak głównym argumentem ręczącym za niezawodne powodzenie tureckiego oręża, była ze strony Karola i jego agentów wyprawa pomorska i dywersya polska.

Turcy opierali głównie na *tém* przyrzeczeniu ze strony Karola zamierzaną swą z końcem roku 1710 akcyą. Mniéj znanym dotąd, a ciekawym szczegółem, że w tych podziemnych około pozyskania Dywanu robotach, spotykali się wrogo polscy agenci Karola z polskimi agentami co dopiero restaurowanego Augusta, Stanisław Poniatowski z Jakóbem Zygmuntem Rybińskim. Że wpływ pierwszego przeważył, rzeczą wiadomą. Dziwna, że szczęśliwy u obcych, na widowni Stambulskiéj, Karol mimo uroku, jaki jego osoba wywierała, mimo posłuszeństwa jakie zwykle u swoich znajdował, mimo tradycyi i ustawy państwa zaręczających królom Szwecyi absolutną władzę, był przecież mniéj szczęśliwym wobec Szwedów samych, mianowicie wobec zarządzającéj w jego nieobecności krajem składającéj się z siedmiu członków rady, na któréj czele widzimy sędziwego Wredego i znanego z dziejów elękcyi Leszczyńskiego Arweda Horna. Pomijając inne, podrzędniejsze téj regencyi żywioły, należy się jeszcze z naszéj strony wzmianka równie nielubionéj przez Karola, jak ważnej i zasłużonéj około czci i dobra Szwecyi w owéj chwili osobistości generała Magnusa-Stenbocka. Stenbocka zasługą, że podjęta pod wrażeniem klęski Pułtawskiéj przez Duńczyków w listopadzie 1709 inwazya znalazła świetne dla oręża szwedzkiego rozwiązanie w bitwie pod Helsingborgiem, w lutym roku 1710.

Dżuma, głód, nędza, brak ludzi zdolnych do noszenia broni, obawa coraz to cięższych klęsk dla Szwecyi, wszystko to stawało się dla regencyi powodem spoglądania bardzo niechętném okiem na olbrzymie, polityczno-wojenne plany Karola; mianowicie zaś na najbliżéj kraj obchodzącą wyprawę pomorską. Istniejące do dziś dnia w archiwum państwa szedzkiego w najdokładniejszym komplecie protokóły rady z owéj epoki, dają wyobrażenie, jaka się to w łonie jéj staczała walka między obowiązkiem posłuszeństwa dla przebywającego w dalekiéj obczyznie króla a obowiązkiem dla zagrożonéj sprawy ojczystéj. Walka ta trwa przez całe trzy lata niemal a odbija się, zobaczymy niżéj, bezpośrednio na losach i postanowieniach Stanisława. Już pod koniec roku 1709 nadchodzą od Karola z Benderu do rady szwedzkiéj rozkazy, aby zaopatrywała potrzeby dworu polskiego, mianowicie małżonki Stanisława w Szczecinie w odpowiedni godności jéj sposób. Rada szwedzka przyjęła ten rozkaz z nietajoném rozdrażnieniem i ironią. Skarb szwedzki był wyczerpany; dwór królewski sztokholmski w nędzy. Sędziwa babka Karola XII, wdowa po Karolu Gustawie, żyjąca naówczas jeszcze; siostra jego Ulryka Eleonora zastawiały swe klejnoty, ofiarowały swe srebra w darze, by przyjść w pomoc publicznemu skarbowi.

„Nie mamy— odpowiadała gniewnie rada szwedzka— żywić z czego własnych królowych, cóż zaś dopiero obcych.“ Stanisław Leszczyński i tak już zadłużony, między innemi np. u lipskiego bankiera Berenda Lehmanna na przeszło 100,000 talarów, znajdował się w rzeczywistym kłopocie, wyglądając ze Szczecińskiego schronienia w pierwszych miesiącach swéj emigracyi, co losy, co mianowicie negocyacye Stambulskie wielkiego jego protektora, dlań przyniosą. Nie zakłócała jednakże, przynajmniéj jak na teraz, jego spokoju, zawierucha wojenna. Bezpośrednią tego zasługę mieli, rzecz uwagi godna, nie sprzymierzeńcy może, ale przeciwnie nieprzyjaciele Szwecyi i Stanisławowéj królewskości, mianowicie sam August i cesarz niemiecki. Z *ich* inicyatywy, w zamiarze ustrzeżenia Saksonii, i Polski od wszelkich zamachów szwedzkich ze strony Pomorza; w podobnym-że zamiarze ustrzeżenia Niemiec od pożaru wojennego, rozpoczęły się negocyacye między Holandyą, Anglią i cesarzem niemieckim, które pod dniem 28 marca 1710 doprowadziły nareszcie w Hadze do tak zwanego traktatu neutralizacyi. Kontynent europejski jakibądź, a więc i polska czy Saksonia, miały być bezpiecznemi od zaczepki szwedzkiéj z Pomorza; równocześnie jednakże miała Szwecya wraz z Pomorzem, być bezpieczną od zaczepek, wychodzących z terytoryów i portów Rzeszy niemieckiéj. Mocarstwa podpisujące ten traktat wezwały do przystępu radę szwedzką, która nie mając w swém położeniu nic do stracenia, pragnąc dla kraju wytchnienia, a widząc traktatem takim zabezpieczone od zaczepki i napaści najdrażliwsze swe strony, skwapliwie wezwania usłuchała. Od miesiąca marca 1710 tedy widzimy zabezpieczone chwilowo Pomorze, widzimy zasłonionego również i zabezpieczonego traktatem neutralności w Szczecinie Stanisława, na tak długo naturalnie, dopóki „żelaznéj głowie“ w Benderze, jak Turcy nazywali Karola XII, spodoba się traktat ten uznawać lub przyzwolenia swego mu nie odmawiać. Jak zobaczymy, stało się tak późniéj: ale *nim* się stało, cieszyło się Pomorze wraz ze swym gościem Stanisławem, przez cały rok 1710 stanem wypoczynku i pokoju.

Przypatrzmy się teraz *drugiemu* z kolei ognisku wielkiéj polityki— *Warszawie.*

Kiedy Karol XII w Benderze przygotowywał dzieło odwetu w nadziei pomocy tureckiéj, kiedy Stanisław korzystał w stanie bezczynności z wypoczynku Szczecińskiego, zabierał się August w pierwszych miesiącach po powrocie swym do Polski raźnie i zabiegle do restauracyi swego panowania. Główną rzeczą naturalnie pod tym względem było zabezpieczenie sobie zagranicznych aliansów, co nastąpiło już, jak nam wiadomo, z samą niemal chwilą roz-

poczynającéj się w roku 1709 akcyi. Alians duński, carski, wreszcie pruski był Augustowi zapewniony. Co się tyczy *kraju*, rozpoczął król August rzecz w praktyczny sposób od zajęcia i utwierdzenia dwóch miast na przeciwległych Rzeczypospolitéj krańcach, ku ubezpieczeniu, jak mówiono wówczas „ściany pomorskiéj" i „ściany wołoskiéj," Poznania i Kamieńca. W pierwszym osadził jako plackomendanta generała Zajdlica, w drugim generała Lagnasco. Dobra Stanisławowe wziął król August w sekwestr fiskalny; generalnym administratorem ich ze swego ramienia zamianował wspomnianego wyżéj generała Zajdlica. Zwołana pod węzłem konfederacyi sandomierskiéj i laską jéj marszałka Denhoffa w lutym 1710 do Warszawy rada, uczyniła sobie zadanie zrestaurowania organizmu Rzeczypospolitéj i jéj dygnitarstwa w sensie i interesie Augustowym. Przywracała urzędy i godności stronnikom królewskim, wysełała poselstwa do zagranicznych mocarstw na rzecz Augustową; ale, co jéj poczytać należy za zasługę, otwierała równocześnie furtę powrotu do ojczyzny przeciwnikom Augusta, nie wyjmując samegoż Stanisława Leszczyńskiego, jeżeli uczynią submisyą, wyprawiała nadto do Cara Piotra, Wołłowicza referenderza litewskiego i Dunina regenta kancelaryi koronnéj z upomnieniem się o zwrot zdobyczy nadbaltyckiéj i zamków ukraińskich, tudzież o wypuszczenie na wolność wziętych przezeń do niewoli Polaków, jak np. Sienickiego i Michała Wiśniowieckiego. August i jego stronnicy nie czuli się jeszcze pewnymi. Dla tego téż bardzo przezornie i politycznie wznosili przeciwnikom złote mosty i nie chcieli ich widocznie zbyt surowém postępowaniem doprowadzać do ostateczności. Tuż po ukończeniu pamiętnéj w dziejach owéj epoki rady warszawskiéj, wyjechał August do Drezna i tutaj to, uczynił, jak widzimy, krok wielce polityczny, zgodny zresztą najzupełniéj z duchem i polityką odbytéj co dopiero rady. Abdykacya jego wymuszona traktatem Altransztadzkim, publiczne i upokarzające uznanie królewskości Leszczyńskiego pozostawało ciągle w oczach mocarstw europejskich i Rzeczypospolitéj przeszkodą, którą jakimbądź sposobem uprzątnąć należało. Za powrotem tedy z Warszawy do Drezna, w marcu 1710, wziął się, jak nas przekonywają akta drezdeńskiego archiwum, bardzo na seryo do załatwienia swego obrachunku ze Stanisławem. Nasamprzód wydobył z rąk bankiera Berenda Lehmana w Lipsku wystawiony pod dniem 12 czerwca 1707 przez Stanisława, kontrasygnowany przez królewskiego sekretarza Adama Radońskiego rewers na 104,533 talarów, które, zawsze znajdujący się w kłopotach pieniężnych Leszczyński, wziął sposobem pożyczki i zastawił dobra swe Leszno z przyległościami. Postanowił sobie August widocznie zrobić

z tego rewersu środek praktycznego przymusu w układach z protegowanym Karola XII. Następnie wystawił pod dniem 20 marca 1780 jak najobszerniejsze pełnomocnictwo „Jakóbowi Henrykowi Flemmingowi," koniuszemu W. Księstwa Litewskiego i feldmarszałkowi wojsk saskich, ku podjęciu negocyacyi z „wojewodą poznańskim," Stanisławem Leszczyńskim w celu zyskania jego sumbisyi.

Warunki nie były w owéj plenipotencyi oznaczone bliżéj, miały właśnie być przedmiotem układów. Zdawało się jednakże, iż byle tylko Leszczyński uczynił akt rezygnacyi własnéj i uznał Augusta „jedynie prawym królem polskim," August nie będzie skąpił w ustępstwach i wróci, co najmniéj swemu przeciwnikowi dawne dygnitarstwa, starostwa, doda nowe a naturalnie przedrze także twardy rewers Berenda Lehmanna. Leszczyński miał, w razie przyjęcia Augustowych warunków, wystawić i ogłosić akt submisyi, którego formularz znajdował się dołączony do Flemingowéj plenipotencyi. Po wystawieniu i ogłoszeniu tegoż aktu ze strony Leszczyńskiego, zobowiązywał się znów August do wystawienia i ogłoszenia dokumentu zupełnéj amnestyi i rehabilitacyi, dokumentu, którego formularz znalazł się dołączonym również do pełnomocnictwa Fleminga. Stanisław bawił przecież, jak nam wiadomo, w czasie wystawienia tego aktu na neutralnym gruncie pomorskim a dokument upoważniający Fleminga do układów, pozostał na tymczasem martwą literą mającą odżyć dopiero i nabrać znaczenia wśród późniejszych okoliczności. Trwa stan podobnéj stagnacyi przez cały niemal rok 1710. Stanisław przesiaduje bezczynnie wśród otaczającéj go rodziny i emigracyi w Szczecinie; August utrwala i odbudowuje swe skołatane rządy w Polsce; Karol pracuje w Konstantynopolu przez Poniatowskiego, Neugebauera i Fabrice'a nad poruszeniem Dywanu do wojny. Skuteczność *tej* to roboty właśnie ma się stać hasłem wprowadzenia rzeczy w nowe stadyum, mianowicie przerwania spokoju Stanisławowi Leszczyńskiemu. Jak mieliśmy już sposobność zauważyć, było warunkiem rozpoczęcia akcyi ze strony Porty Ottomańskiéj na rzecz Karola i Stanisława przeciw Piotrowi, rozpoczęcie równoczesne dywersyjnego działania ze strony Szwecyi na Pomorzu. Rzeczą naturalną, że wobec *takiego* warunku ze strony Porty i wobec zobowiązań, które Karol XII względem Turków podjął, nie mogło być z jego strony mowy o uznaniu traktatu angielsko-holendersko-niemieckiego z dnia 28 marca 1710, który zaręczał neutralność Pomorza a do którego przystąpiła bez pytania króla rada sztokholmska. Wybuchło a tego powodu gwałtowne, pełne wzajemnych drażliwości nieporozumienie między dyktującym wielką politykę, absolutnym królem z biorącymi rzeczy zimno i praktycznie regentami Szwecyi. Wrede,

Posse, Gylenstierna, Arwed Horn, nawet Magnus Stenbock, dopiero co pogromca Duńczyków pod Helsingborgiem, opierali się zerwaniu traktatu neutralności. Karol tymczasem gromił w licznych z Benderu listach ich małoduszność, nakazywał posłuszeństwo dla rozkazów, które im mieli komunikować Leszczyński i liczni inni wyprawiani z Benderu agenci, jak np. niejaki major Delavalle domagał się koniecznie, bez względu na niedostatek ludzi i pieniędzy wyprawy do Polski w celu restauracyi Stanisława, w celu podania jemu samemu ręki.

Pod dniem 30 listopada roku 1710 wreszcie nadesłał kategoryczne z Benderu oświadczenie, że zrywa traktat neutralności, że nie pozwala sobie nakładać żadnych więzów, że zastrzega sobie prawo zaczepienia swych nieprzyjaciół, gdzie kiedy i skąd mu się będzie podobało; równocześnie zaś wyprawił z podobnemi przedstawieniami do Szczecina, ku podnieceniu energii Stanisława Tarłę, kuchmistrza koronnego, wypróbowanego zwolennika swéj sprawy. Starczyło to *nie* koniecznie jeszcze do bezzwłocznego popchnięcia regencyi sztokholmskiéj w nakazane tory, ale starczyło aż nadto, aby od jednego razu jednego i tego samego dnia na rozmaitych punktach wprawić w ruch „adherentów szwedzkich“ w Polsce, a nadewszystko przerwać stan wypoczynku Stanisławowi w Szczecinie. Nowy rok 1711 właśnie zapisuje liczne i ciekawe pod tym względem objawy. Rozpoczyna przed wszystkimi akcyą wojenno-dyplomatyczną król szwedzki. Pod dniem 20 grudnia 1710 wyséła z Benderu, do sprzyjającego sobie hana Tatarów krymskich, podpułkownika Lagerberga w celu umówienia szczegółów mającéj się rozpocząć z nastaniem lepszéj pory w kraje polskie wyprawy. Równocześnie niemal, ulegając przedstawieniom agentów Karolowych, mianowicie Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego i Stanisława Poniatowskiego, zrzucił sułtan z urzędu dotychczasowego wielkiego wezyra Nuumana Kuprulego i zamianował na to stanowisko Mehemeda Baltadżi, Baszę Syryi, renegata włoskiego, którego właściwe imię było Giulio Mariani. Baltadżi wyprawił tuż po swém zamianowaniu do Karola list z komplementami dla wojewody kijowskiego i Polaków, z zapewnieniami przyjaźni i obietnicami szybkiéj akcyi wraz z hanem tatarskim. Za odebraniem tego listu, uważał Karol za rzecz stosowną nie zwlekać dłużéj rzeczy i rozpoczął działanie sam i przez swych sprzymierzeńców na najrozmaitszych punktach swéj rozległéj widowni.

Pod dniem 7 lutego 1711 ogłosił z Benderu manifest przeciw królowi Augustowi. Sensem moralnym długiego tego aktu było ogłoszenie rozpoczynającéj się w przymierzu z Portą Ottomańską

i hanem Tatarskim akcyi przeciw królowi Augustowi i jego sprzymierzeńcom „ku oswodzeniu narodu polskiego z pod ich jarzma i osadzeniu na tronie jedynie prawowitego króla Stanisława I.“ Jako wierne echo manifestu Karolowego odezwał się uniwersał do stanu rycerskiego i senatorów Rzeczypospolitéj Władysława Ponińskiego referendarza koronnego z ramienia Stanisławowego. Władysław Poniński wraz ze swym bratem Franciszkiem, starostą kopanickim, należeli do szczupłéj już wśród ówczesnych okoliczności liczby szlachty wielkopolskiéj, która wytrwała wiernie przy Stanisławie. Piotr Bronisz, starosta pyzdrski, marszałek generalnéj konfederacyi warszawskiéj, jeden z głównych twórców królewskości Leszczyńskiego, zwrócił się za powrotem Augusta do nowo-wschodzącéj gwiazdy i zaparł się uroczyście Stanisława. Podniósł rzuconą przezeń laskę marszałkowską konfederacyi Władysław Poniński, a idąc za hasłem danem z Benderu przez króla szwedzkiego, wydał pod dniem 26 lutego 1711 z Wrocławia wspomniany dopiero co uniwersał. Referendarz koronny powtarzał mniéj więcéj zarzuty Karolowego manifestu przeciw Augustowi i jego sprzymierzeńcom upominał do wytrwania przy sprawie Stanisława, zapowiadał jego i króla szwedzkiego zwycięzki do Polski powrót. Naturalnie nie mogło się stać inaczéj, jak że rozpoczynająca się w Benderze akcya wyrwała nareszcie Stanisława samego ze stanu bierności, w jakiéj w Szczecinie pozostawał. Wpłynęły naturalnie na to manifesty Karola, Władysława Ponińskiego, nadzieje odsieczy turecko-tatarskiéj, przyczynił się niewątpliwie do tego wpływ osobisty przybywającego z Benderu do Szczecina Tarły, i niecierpliwa czynu wojowniczość wyczekującego bez zatrudnienia na Pomorzu Adama Śmigielskiego. Krassau wzmocnił tymczasem stan obrony oddanego swéj pieczy kraju, zgromadził około 12,000 żołnierza, powierzył ważny punkt Sztralzundzki generałowi Duckert, obsadził Wismar, Szczecin i Bremen, sam zajął stanowisko o kilka mil od Szczecina nad brzegami Odry, ponieważ wypowiedzenie traktatu neutralności wzbudzało bardzo naturalną obawę, że prędzéj czy późniéj koalicya rzuci się na Pomorze.

Wśród takich okoliczności rozszedł się po Polsce i doszedł naturalnie na Pomorze manifest wojewody kijowskiego i syna hańskiego Mehemeda Geraja, poprzedzający wyprawę ich obu na Podole. Oba manifesty ogłaszały nierozerwalną ligę między Polską, Szwecyą a Portą, zapowiadały restauracyą króla Stanisława na tron polski, zaręczały uroczyście, że Porta czy Tatarzy nie myślą sobie płacić swéj pomocy ani „zabieraniem ludzi w jassyr,“ ani „odebraniem Kamieńca, ani jakiemi bądź innemi *avulsami* od ciała Rzeczy-

pospolitéj polskiéj. Wobec tego wszystkiego, przemówił też nareszcie sam król Stanisław w uniwersale do Rzeczypospolitéj datowanym ze Szczecina dnia 18 kwietnia 1711, podpisanym przezeń, kontrasygnowanym przez Józefata Michała Karpia, jako „sekretarza J. K. Mości.“ W manifeście tym protestował nasamprzód król Stanisław z pewném uczuciem żalu przeciw odstępstwu Piotra Bronisza i upominał Polskę do wytrwania w węźle generalnéj konfederacyi warszawskiéj; zapowiadał rychły swój do kraju powrót, ukazywał zdala niewątpliwą skuteczność i zwycięstwo aliansu szwedzkiego i otomańskiego. *Słowa* Stanisławowego manifestu wznosiły się niekiedy do wysokości położenia rzeczy. O ile więcéj przecież byłby tu mógł zdziałać *czyn* osoby królewskiéj! Na nieszczęście zastępowali go pod tym względem *inni*, kiedy on sam jak przed ogłoszeniem swego manifestu tak i po nim, spoglądał bezczynnie ze schronienia Szczecińskiego na dalszy bieg rzeczy. Z wiosną roku 1711 ukazał się wojewoda kijowski, na czele swéj polskiéj i zaporożskiéj Orlika drużyny, wraz z Mehemetem Gerajem na Podolu, zapowiadając walną wyprawę króla szwedzkiego i całéj siły ottomańskiéj. W czerwcu tegoż samego roku widzimy na przeciwległym krańcu Rzeczypospolitéj zwiastującego swą obecność Śmigielskiego. Jak już wyżéj powiedzieliśmy, zamianował go król Stanisław „stolnikiem koronnym.“ Przejęte przy późniejszém uwięzieniu wuja Stanisławowego, Jana Jabłonowskiego papiery, znajdujące się w zbiorach archiwum drezdeńskiego, zawierają częste listy z owéj epoki Stanisława do „pana stolnika koronnego Adama Śmigielskiego,“ z upomnieniem powtarzającém się kilkakrotnie „by kończył rozpoczęte dzieło.“ *„Pan stolnik“* usłuchał; zaopatrzony przez Krassaua w potrzebną broń i konie, wypadł w kilka tysięcy towarzyszów ze schronienia pomorskiego, przebiegł szybko skrawek brandeburski i wtargnął w miesiącu czerwcu (1711) pod Wieleniem w granice Wielkopolski. Posunął się pod Nakło, posunął się następnie wzdłuż Noteci pod Toruń, znosząc po partyzancku małe komendy wojska rosyjskiego, zabierając wozy z żywnością i amunicyą. Wiele więcéj jednakże prócz trochę hałasu i postrachu rzuconego na nieprzyjaciela i rozłożone w Wielkopolsce „od ściany pomorskiéj“ chorągwie wojska koronnego, nie mógł zdziałać starosta gnieznieński. O jakiém bądź poruszeniu kraju na rzecz Stanisława, mimo wielkiéj nienawiści i rozdrażnienia przeciw obcemu żołnierzowi, nie było mowy. Toruń trzymała załoga rosyjska; w Poznaniu dobrze utwierdzonym i opalisadowanym stał generał Zajdlic. Dżuma trapiła i dziesiątkowała ludność, nie dopuszczala myśli nawet jakiegobądź poważniejszego ruchu.

Po kilku dniach partyzanckiéj wojaczki, powrócił tedy znów „pan stolnik koronny“ do boku Stanisława na Pomorze. Hasło jednakże boju było dane, neutralność Pomorza przekreślona; lada moment należało się obawiać inwazyi nieprzyjacielskiéj i to wśród najniekorzystniejszych jakie tylko być mogły okoliczności. Tutaj to dopiero i w téj fatalnéj chwili miały się odbić na losach Szwecyi i Stanisława Leszczyńskiego następstwa wspomnianych wyżéj przez nas nieporozumień między królem szwedzkim a regencyą Sztokholmską.

W interesie głównego przedmiotu naszego opowiadania, wypada nam zwrócić uwagę na *Sztokholm* jako na *trzecie* ognisko rozstrzygających się naówczas losów północnéj Europy.

Dwie krzyżujące się z sobą ciągle wole i postanowienia, jedne w Benderze drugie w Sztokholmie, mogły—jak inaczéj w takim razie nigdy być nie może—wydać tylko dla kraju zgubne następstwa. Karol nalegał już od ostatnich dni roku 1709, przez cały rok 1710, w mniéj lub więcéj natarczywy, często brutalny sposób na regencyą sztokholmską o uorganizowanie co najprędsze wyprawy, któraby lądując w Pomorzu obróciła swe kroki do Polski i podała rękę jemu, wkraczającemu w kraje Rzeczypospolitéj od strony mołdawskiéj na czele armii ottomańskiéj. Duszą administracyi cywilnéj Szwecyi był naówczas członek regencyi Fabian Wrede; człowiekiem opatrznościowym, bohatérem wojennym Szwecyi Magnus Stenbock zwycięzca Duńczyków pod Helsingborgiem, znakomity wódz, niezrównany, nie pytający nigdy o środki organizator. Może być rzeczą wątpliwą, czyby ślepe posłuszeństwo rady sztokholmskiéj dla rozkazów Karola nie było sprowadziło pożądanego rezultatu. Śpieszna, energiczna akcya na Pomorzu, następnie w Polsce ze strony Szwecyi byłaby zdziałała niewątpliwie nader pożądaną dywersyą na rzecz akcyi Turków, którzy w wyraźném jéj dopiero oczekiwaniu ***własne*** działanie rozpocząć zapowiadali. Być może, iż dokładna, trafiająca w jednę i tę samę chwilę obu stron akcya, byłaby rozstrzygnęła o sukcesie olbrzymiego przesięwzięcia Karola. Regencya sztokholmska tymczasem stawiała jego żądaniom i wyraźnym rozkazom nie tyle stanowczy, ile raczéj skryty, maskujący się coraz to nowemi pozorami opór. Protokóły posiedzeń regencyjnych, korespondencya jéj z Karolem zachowane dotąd w całości, co więcéj wydane w znacznéj części do dziejów epoki, którą opowiadamy, przez dziejopisa Karola XII Andrzeja Fryxella i przez dzisiejszego króla szwedzkiego Oskara w zbiorze *Historiska Handlingar*. Nie ***brak*** więc, ale *zbytek* materyału do historyi owego zatargu między przesiadującym za granicą królem a radzącą o losach kraju w domu

regencyą, zatargu, który się odbija na naszych i Leszczyńskiego losach. Jedyna tu trudność, *nie* uledz właśnie w opowiadaniu z natury rzeczy ścieśnionych rozmiarów, nawałowi materyału i streścić zeń to tylko, co nam dla naszego przedmiotu potrzebne.

Zastanawiając się nad postępowaniem i racyą działalności sztokholmskiéj regencyi, pozostanie znów nie dającą się zaprzeczyć prawdą, że rezygnacya Karola z jego daleko sięgających, górnolotnych zamiarów, że proste podpisanie programu regencyjnego zaręczało Szwecyi bezpieczeństwo, wytchnienie a niezadługo zaszczytny i trwały pokój. Chciało jednakże nieszczęsne przeznaczenie, że dwie, jak powiedziano, wole krzyżowały się, że żadna stanowczo niezwyciężyła, że Karol przeszkadzał radzie, rada Karolowi, a że grube koszta téj zwady zapłaciła Szwecya, razem z nią Polska, z Polską osoba Leszczyńskiego. Możnaby teraz zapytać, czy *rada* sztokholmska była w stanie zadosyć uczynić w danéj chwili żądaniu Karola, czy mogła postawić na nogi korpus ekspedycyjny w dostatecznéj sile i przerzucić go na Pomorze? Na pytanie to odpowiedziéć tém trudniéj, im niewątpliwszy był wstręt rady w słuchaniu rozkazów Karola, im częściéj w korespondencyi swéj z królem składała się cyframi i datami dowodzącemi finansową i wojenną niemoc Szwecyi, im ogólniéj opinia całego kraju oświadczała się *za* radą sztokholmską *przeciw* polityce królewskiéj w Benderze. Cokolwiek bądź przecież, spada w znacznéj części wina na radę, jeżeli rozpoczęta nareszcie w miesiącu czerwcu 1711 akcya wojenna Porty przeciw Rosyi skończyła się tak prędko, a bez żadnéj dla króla szwedzkiego korzyści, pamiętnym traktatem pokoju nad Prutem. Nie przeczymy, że w. wezyr Baltadżi mógł być przekupionym, ale co pewniejsza, to że nieobecność zapowiedzianéj dywersyi szwedzkiéj na Pomorzu i w Polsce, wpłynęła silniéj na jego postanowienia. Ograniczył się na wyjednaniu korzystnych warunków pokoju dla Turcyi; nieobecna na widowni przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi Szwecya nie znalazła się przezeń uwzględnioną.

Podobny obrót rzeczy rozdrażnił do najwyższego stopnia Karola, który ciągle w nadziei pomocy tureckiéj układając nowe wyprawy do Polski, zarzucał regencyą sztokholmską kategorycznémi rozkazami rozpoczynania kroków wojennych, nadto zaopatrzył Stanisława i Tarłę w upoważnienie zmuszenia, w razie potrzeby, rady do posłuszeństwa. Teraz było już może lepiéj dla dobra Szwecyi *nie* słuchać Karolowych rozkazów i wytrwać w dotychczasowym oporze. Zobaczymy tymczasem, jak po niewczasie właśnie opór jéj ustąpił, jak się znalazło posłuszeństwo dla rozkazów królewskich, kiedy pora korzystna minęła. Zobaczymy również, jaka rola Stanisławowi

w tém dziele przypadła, jak się z niéj wywiązał i jak na późniejsze losy jego wpłynęła. Przedewszystkiém stały się wyżéj wspomniane manifesty Karola, wojewody kijowskiego, hana Tatarów, Stanisławowego referendarza koronnego Ponińskiego, Leszczyńskiego samego, napad Józefa Potockiego i Tatarów na Podole, wycieczka Śmigielskiego pod Nakło i Toruń dla koalicyi północno-europejskiéj hasłem zerwania neutralności Pomorza i inwazyi do téj spokojnéj i bezpiecznéj dotąd krainy. W lipcu 1711 wkroczyli tu naprzód Duńczycy; pod dniem 30 sierpnia ogłosił August długi manifest, tłumaczący wystąpieniem Karola i wycieczką Śmigielskiego zerwanie neutralności pomorskiéj ze swéj strony i wkroczył również do Pomorza. W połowie września znalazły się połączone siły Duńczyków, Sasów i Rosyan pod Sztralzundem; cały kraj, z wyjątkiem twierdz, był zalany wojskami nieprzyjacielskiemi. — Cóż— zapytajmy— robił wobec téj inwazyi Stanisław? W Szczecinie nie czuł się bezpiecznym, miał nawet podejrzenie, iż August wyprawił znanego ze sprawy porwania Sobieskich Wrangla na Pomorze, w celu wykonania nań podobnego zamachu. Przenosi się tedy w miesiącu wrześniu r. 1711 wraz z małżonką i dziećmi do Sztralzundu. Niepewny i tutaj, wsiadł razem z nieodstępnym Tarłą na okręt i przeprawił się do Szwecyi. Pierwszy raz może w życiu Stanisława łączył się tu z bezpieczeństwem jego osobistém wzgląd na dobro i powodzenie powierzonéj mu sprawy. Karol dał mu istotnie polecenie udania się wraz z Tarłą do Szwecyi, reprezentowania tamże jego woli wobec Szwedów, wobec sztokholmskiéj rady i opinii publicznéj kraju.

Przypatrzmy się szczegółom jego pobytu i działalności w Szwecyi, męczeńskiéj i upokorzającéj na przemian roli, jaka mu się dostała. Nasamprzód wylądował w Karlskronie, ztąd udał się lądem do Sztokholmu, dokąd przybywszy, stanął w prywatném mieszkaniu. Było to w miesiącu październiku 1711 roku. Przybycie króla polskiego nie szło bynajmniéj w smak ani radzie sztokholmskiéj, ani obecnemu w części na miejscu dworowi. Uważano go za jedną z głównych przyczyn nieszczęśliwéj, nienawistnéj wojny, co nie było prawdą, gdyż brano skutek za przyczynę. Większą natomiast było prawdą, że Leszczyński już w Pomorzu, późniéj więcéj jeszcze w Szwecyi, był Szwedom ciężarem pieniężnym, wśród kłopotów kraju trudnym do zniesienia. Łatwo pojąć tedy, że Stanisław wraz z Tarłą nie byli w Sztokholmie pożądanymi gośćmi, co przecież nie przeszkadzało, że dnia następnego po przybyciu jego stawiło się w jego mieszkaniu dwóch członków rady, dawny znajomy Arwed Horn wraz z Fersenem i zawieźli go w karecie staréj królowéj do królewskiego zamku, gdzie dlań przygotowano stosowne pomiesz-

czenie. Tutaj zresztą dopełniły się szczegóły ceremoniału zwykłego wśród przyjmowania głów koronowanych. Wszyscy senatorowie szwedzcy wyszli naprzeciw Sanisława i zaprowadzili go do starej królowéj—babki i do siostry Karola Ulryki Eleonory. Następnie zwiedzał Stanisław arsenał, magazyny, park artyleryi, zamek Drottningholm, występując wszędzie w roli niechętnie przez Szwedów widzianego reprezentanta Karolowéj woli. Pobyt jego w Sztokholmie trwał niedługo, miał jednakże bardzo ważne następstwa. Przedewszystkiém wpłynął Stanisław na usposobienie i postanowienia regencyi, biorąc z polecenia Karola udział w jéj obradach. Ważną pod tym względem podporą dla niego było przymierze Magnusa Stenbocka, najpopularniejszego w owéj chwili człowieka Szwecyi. Stenbock nie był przez długi czas ani ulubieńcem, ani człowiekiem zaufania Karola. Osobiście podzielał najzupełniéj zapatrywania regencyi sztokholmskiéj i odradzał królowi wyprawę pomorską. Tryumf jego jednakże Helsingborski zmienił tak usposobienie jego, jak usposobienie króla. Król zamianował go z Benderu członkiem rady, okazywał mu listownie i przez Stanisława najwyższe swe zadowolnienie. Stenbock był uszczęśliwiony, wyrażał w dziecinny niemal sposób radość swą z odzyskania królewskiéj łaski, uznał się zupełnie nawróconym na rzecz śmiałéj polityki Karola, oświadczył gotowość wspierania Leszczyńskiego w jego usiłowaniach. Udział Leszczyńskiego w obradach regencyi Sztokholmskiéj datuje się od połowy miesiąca października 1711. Znajdował on się widocznie pod wrażeniem poleceń odebranych z Benderu a wystąpienie łagodnego i dobrotliwego tyle zkądinąd Stanisława, nie było bez pewnéj szorstkości. Komunikując regencyi swe polecenia, zauważył, że wiadomość o rychłym powrocie króla „*zbudzi ją zapewnie z dotychczasowéj drzymki.*"

Odpowiedź regencyi na podobny zarzut była nacechowana naturalném rozdrażnieniem, jakie interwencya cudzoziemskiego, niepewnego swéj władzy, podtrzymywanego ramieniem Szwecyi króla wywołać tylko mogła. „Jeżeli *inni* drzymali," brzmiała odpowiedź, „nie drzymała z pewnością królewska rada a źle informuje J. K. Mość szwedzką, kto Jéj powiada, że kraj nie cierpi, że kraj znajduje się w korzystném położeniu, że może podołać wymaganym przez króla ciężarom, że jest zdolnym podjąć wyprawę do Pomorza i Polski, wymagającą ludzi i pieniędzy." „W rzeczywistości," mówiło doręczone następnie Stanisławowi, urzędowe pismo regencyi szwedzkiéj, „jeżeli się rozważy, jak długo już trwa wojna, ileśmy już ludzi i kraju stracili, jak wielkie sumy z kraju powychodziły, jakie ciosy przy nieurodzaju głód i dżuma narodowi zadały, przyjdzie się bez trudu do przekonania, że nasze relacye o biedzie i wycieńczeniu kraju nie

są wymysłami. Prosimy więc,“ kończyła rad a, „J. K. Mość Polską, aby to w obec króla (szwedzkiego) poświadczyć raczyła i skłoniła go do posłuchania naszych przedstawień i uwag w interesie ocalenia ojczyzny.“ Przedstawienia te rady, przegląd jéj rozporządzeń i rachunków nie pozostał bez wrażenia na umyśle Stanisława, jakkolwiek i to rzeczą pewną, że nacisk, jaki reprezentując osobiście wolę Karola XII na radę wywarł, nie pozostał bez skutku i wywołał z jéj strony oscyllacyą w stronę polityki królewskiéj. Stanisław uważał tedy misyą swą za zwycięzko spełnioną a opuściwszy po krótkim pobycie Sztokholm, napisał w rachubie na współdziałanie i pomoc Stenbocka, następny list do niego z miasteczka Christianstädt pod dniem 30 października 1711: „Kochany hrabio! Otrzymałem list twój wzbudzający jak najlepsze widoki i nadzieje. Z méj strony nie mam tu nic do dodania. Skoro rzecz oddana w twoje ręce, wiem, że nie będzie zaniedbana. Proszę tylko Boga, aby wszystko nie było *post festum*. Drżę na tę myśl, ale pocieszam się, skoro pomyślę, że Bóg ciebie przeznaczył do tego dzieła. Szwecya i Polska będą ci wdzięczne za swe ocalenie. Ja odpowiadam za Polski wdzięczność; równie mogę i powinienem za Szwecyi. Szwecya nie wyprze się ciebie, choć przypadek chciał, że ci długo nie wymierzono sprawiedliwości i nie uznawano twych wielkich zasług. Spiesz się tylko, z podniesieniem kotwicy, zaklinam cię o to.“ List ten świadczy, że Stanisław opuszczał w końcu października 1711 Sztokholm pod wrażeniem jeszcze Karolowych upomnień i w intencyi zadosyć uczynienia takowym, jakkolwiek przedstawienia regencyi nie pozostały może na jego wrażliwym umyśle i nerwowém usposobieniu bez pewnego wpływu. Zobaczymy późniéj, jakim przemianom uległ a teraz przypatrzmy się pokrótce jego pobytowi w Szwecyi, stanowisku, jakie zajął w obec opinii publicznéj kraju, dworu i regencyi. Powiedzmy nasamprzód, że opuściwszy Sztokholm i spełniwszy powierzoną sobie przez Karola misyą, Stanisław w oczekiwaniu ekspedycyi pomorskiéj, powrócił do Skanii, w któréj nadbrzeżném miasteczku Swaneholm zastał przewiezioną ze Stralzundu w smutnym stanie, we łzach, biedzie i zakłopotaniu matkę Annę, małżonkę Katarzynę z Opalińskich i dwie córeczki, z których starsza Anna późniéj umarła, z których młodsza Marya, mająca zostać królową francuzką, wtedy właśnie ośm lat liczyła. Dwór i rada byli początkowo w wątpliwości, gdzie króla polskiego pomieści. Sztokholmu i pobliża sztokholmskiego unikał Leszczyński, więcéj może jeszcze jego małżonka, nie chcąc roztaczać widoku własnéj nędzy przed obcemi oczyma. Po krótkim pobycie w Swaneholm, zdecydowała się królewska rodzina polska osiąść w małém, smutném, nadbrzeżném miasteczku Skanij-

skiem, Christianstädt. I dzisiaj jeszcze, kiedy cywilizacya, postęp czasu, środki komunikacyjne zmieniły postać Szwecyi, nie jest Skania najpowabniejszą jéj częścią. Uderzają w niéj owe rozległe, nie przedstawiające żadnéj rozmaitości dla oka płaszczyzny, pośród których, pominąwszy portowe miasteczka, czyste o czerwono pomalowanych domach wsie nie często się pojawiają. O ileż więcéj przedstawiał taki ponury, osamotniony pobyt przykrości w pierwszych latach przeszłego wieku, wśród dżumy, głodu, wojny, niechęci okolicznych mieszkańców dla rodziny zamożnéj w ojczyznie, otoczonéj zwykle rojem dworaków i szlachty, mającéj monarsze koligacye i stosunki, posiadającéj wspaniałe dworce i zamki, jak w Rydzynie, Lesznie, Raszkowie, Gołuchowie! W Christianstädt przebywał Leszczyński rok przeszło, rodzina jego blisko trzy lata, ztąd przejeżdżali się niekiedy na dłuższy lub krótszy pobyt, pośród obcéj niezrozumiałéj mowy i niechętnego usposobienia ludności do Carlskrony, do wód w Medevi, wreszcie do samotnie i melancholijnie, ale pięknie nad jeziorem Wetternu położonéj Wadstäny. Zauważyć przy téj wzmiance o szwedzkim pobycie Stanisława i jego rodziny należy,— co nawiasowo powiedziawszy, rzecz wcale nie obojętna dla polityki jego,—iż jeżeli już od dawna usposobienie kraju a nadewszystko regencyi sztokholmskiéj było mu niechętne, niechęć ta podwoiła się, odkąd Stanisław stanął w obec Szwedów jako egzekutor Karolowéj woli. Wspomnieliśmy już wyżéj, że go nienawidzili jako domniemana przyczynę przedłużającéj się wojny. Zapewnieniom jego, iż mu korona obojętna, nie chcieli wierzyć, rozumując bardzo logicznie, że w takim razie najprostszą rzeczą było zrzec się stanowczo polskiego tronu i uznać Augusta. Nie dość na tém, uważali Szwedzi Leszczyńskiego i rodzinę jego od czasu przeniesienia się na Pomorze za tém dokuczliwszy ciężar pieniężny, im kategoryczniejsze były rozkazy Karola XII z Benderu czy to do Krassaua, czy do regencyi sztokholmskiéj czy pomorskiéj, aby Stanisława i dwór jego utrzymywać nie tylko, ale utrzymywać świetnie, jak każdego innego przybywającego w gościnę monarchę. Oburzenie regencyi sztokholmskiéj z tego powodu nie znało granic, a nie uważało nawet za rzecz potrzebną osłaniać się jakiemiś frazesami zwyczajnéj grzeczności. Według rachunków regencyi wynosiły koszta Szwecyi na osobiste utrzymanie Stanisława wraz z rodziną do roku 1709 włącznie 694,539 talarów. W obec ponawiających się ciągle rozkazów Karola, aby dworowi polskiemu na niczém nie zbywało, wpadali Wrede, stara królowa—wdowa, siostra Karola Ulryka Eleonora w stan prawdziwego oburzenia. „Nie mamy dostatecznych pieniędzy dla własnego dworu, cóż zaś dopiero dla jakiegoś tam obcego,“ mówili Wrede i je-

go towarzysze. Protokół rady sztokholmskiéj z dnia 29 grudnia 1709 zawiera na wniosek Wredego uchwałę następnéj odpowiedzi Karolowi XII: „Odpowiemy, że tu nie ma ani jednego szeląga zbytecznego na utrzymanie dworu jakiéjś królowéj polskiéj. Niechaj mieszkańcy Pomorza wezmą na siebie koszta jej utrzymania. W Szwecyi z wyjątkiem dwóch lat, nie dostają już urzędnicy oddawna więcéj, niż połowę pensyi. Niechaj więc teraz urzędnicy pomorscy poświęcą swoją połowę, aby z niéj utrzymywać Polaków.“

Po przeprawie dworu polskiego do Szwecyi, wyznaczył dlań Karol XII rocznéj pensyi 104,000 talarów; prócz tego mnóstwo naturalnych dostaw w bydle, zwierzynie, drzewie, furmankach, wreszcie użytkowanie dwóch zamków na lato. Przy ówczesném, niesłychaném wycieńczeniu kraju, łatwo pojąć rozdrażnienie i niezadowolnienie, jakie podobne ciężary wywoływały. Znosiła je z niechęcią regencya sztokholmska, znosiły zmuszone do sprzedawania i zastawiania własnych klejnotów i sreber królowa—wdowa i Ulryka Eleonora; szemrali urzędnicy skanijscy mający smutny obowiązek ściągania naturalnych dostaw na rzecz dworu polskiego; szemrała zobowiązana je dawać ludność; szemrało przyciśnione ciężarem inkwaterunku mieszczaństwo miasteczka Christianstedu. Tymczasem dochodziły ciągle i ciągle, nieprzerwanie rozkazy z Benderu, aby dwór polski nie cierpiał w niczém niedostatku i aby pozostawieniem go w nędzy nie wystawiać honoru narodu szwedzkiego na hańbę! Rok przeszło, trzeba było Stanisławowi przepędzić wśród stosunków podobnie przykrych, podobnie upokarzających, stosunków, które, powiedzmy z góry, miały dla rodziny jego trwać jeszcze wśród podwójnych upokorzeń przeszło trzy lata. Przekonamy się zaraz, jak taki stan domu, sypialni i kuchni nieledwie Stanisławowéj, oddziałał siłą swego „*momentu psychologicznego*“ na bieg wielkiéj, reprezentowanéj przezeń polityki...

Natarczywe przedstawienia Stanisława, nawrócenie się na politykę Karolową Stenbocka, nadchodzące coraz częściéj i coraz groźniéj z Benderu rozkazy, zniewoliły nareszcie i regencyą sztokholmską do energiczniejszéj akcyi w sensie odbieranych rozkazów. Sprawę króla można było uważać za wygraną, odkąd się bohater dnia, zwycięzca z pod Helsingborgu, odkąd się Magnus Stenbock rzecznikiem jéj uczynił. Kiedy Stanisław siedzi na swém uboczu Skanijskiém, wyczekując rezultatu wysiłków szwedzkich, zwraca się cała czynność Stenbocka przez ostatnie miesiące roku 1711, pierwsze 1712, ku rozbudzeniu czynności regencyi, ku wywołaniu patriotycznego zapału i ofiarności kraju. Działalność podobna odnosi pożądany skutek. Zimny początkowo kraj rozgrzewa się powoli, poczyna się nastrajać

na wysokość Karolowéj myśli zdobywa się na heroiczną decyzyą postawienia ostatniego żołnierza i ostatniego grosza na wątpliwą kartę wyprawy pomorsko-polskiéj. Akta i protokóły rady Sztokholmskiéj dają swemi zimnemi i suchemi cyframi rozrzewniający i szczytny na przemian obraz z jednéj strony ofiarności kraju, z drugiéj niezmordowanéj czynności i wynalazczości tak Stenbocka, jak regencyi. Główną rzeczą było naturalnie postarać się jakimbądź sposobem o pieniądze potrzebne na uekwipowanie żołnierza i floty. Gorące wystąpienie Stenbocka w łonie rady (w lipcu r. 1712), uroczyste inwokacye cieniów dawnych bohaterów Szwecyi, wymowny obraz niedoli bohatérskiego w obczyznie króla, któremu przez honor i miłość ojczyzny należy śpieszyć z odsieczą, zapewnienie, że za ukazaniem się żołnierza szwedzkiego w Polsce, cały kraj rzuci się do broni za Stanisławem, wszystko to porwało zapałem regencyą i kraj, ale nie zdołało wszakże usunąć z drogi rozmaitych trudności i przeszkód finansowéj mianowicie natury, jakie każde tego rodzaju przedsięwzięcie wywołuje. Stenbock postanowił naruszyć na pokrycie kosztów swéj wyprawy część funduszów państwa, których sam Karol tykać kiedykolwiek zabronił. Rada opierała się temu, Stanisław uważał za rzecz obowiązku wystąpić z interwencyą, do któréj go zresztą pełnomocnictwo króla szwedzkiego upoważniało i oświadczyć się za Stenbockiem. W konieczności dopełnienia podobnego kroku, udał się z Christianstedt do Sztokholmu i stanął ponownie pośród zgromadzonéj regencyi. Przyszło do gwałtownéj sceny. Stanisław nalegał z pewną natarczywością, aby depozyt, o którym mowa, naruszono na rzecz zamierzonéj ekspedycyi i oświadczył, że weźmie na siebie odpowiedzialność za ten krok w obec Karola. Na to wybuchnął członek regencyi Fersen w tak gwałtowne, w tak obrażające nawet króla polskiego słowa, iż tenże komnatę rady opuścił i dnia następnego do Christianstedt wyjechał. Wśród tego nadeszły nowe rozkazy z Benderu, aby wyprawę przyśpieszać a pieniądze na ten cel ściągać drogą pożyczki bez względu na wysokość procentów. Stanisław jednakże wzbraniał się jezdzić po raz drugi do Sztokholmu i wystawiać się na obelgi Szwedów, przeciwnie domagał się, aby ci i owi z pomiędzy członków regencyi, jak np. Arwed Horn, Niels Gyllenstierna lub Gustaw Cronhielm przybyli doń na konferencyą do Wadstäny lub Medevi. Regencya nie chciała się poddać wezwaniu obcego monarchy, uzurpującego sobie według niéj bezprawną władzę w kraju a tak był zatarg gotowym. Żywiołem godzącym poniekąd obie strony był Stenbock trzymający ze Stanisławem a tém skuteczniejszą dlań podporą, że do współki z admirałem Wachtmeistrem odebrał naówczas upoważnienie od Karola dzia-

łać bez względu na wstręty i opór rady. Taki stan rzeczy zapisuje kronika miesiąca lipca roku 1712. Położenie Leszczyńskiego było przykre i upokorzające. Nie mógł nie czuć i nie widzieć, z jak pogardliwą niechęcią Szwedzi rzucają jałmużnę jego utrzymania; jak się na ciężar jéj skarżą; jak go czynią kozłem ofiarnym przedłużającéj się wojny; jak kraj rzeczywiście wyniszczony i wycieńczony zdobywa się na ostatni wysiłek, i to w nie najmniejszéj części za sprawę jego korony. Być nadto może, iż wtedy już doszły Stanisława wiadomości, że stan rzeczy w Polsce nie jest wcale dlań świetny, że kraj mimo głębokiéj nienawiści, jaką pałał dla obcego żołnierstwa z powodu niesłychanych zdzierstw i ciężarów wojennych, nie jest przecież zdolnym i chętnym wziąść się do oręża a że podjęta właśnie na rozkaz Karola z pod Benderu do Polski wyprawa starosty Rawskiego Grudzińskiego, nie będzie miała spodziewanego powodzenia. W dodatku przyszła zwada z regencyą Sztokholmską. Nie trudno pojąć, jak wszystkie te czynniki razem wpłynęły z jednéj strony na wrażliwość, z drugiéj na dobre serce króla Stanisława, jak go usposobiały pokojowo i kapitulacyjnie, jak studziły jego zapał w przededniu samym niemal zamierzonéj do Pomorza i Polski wyprawy. Z usposobieniem podobném nie tail się Stanisław. Uderzało Szwedów, że król polski, który dotąd był głównym rzecznikiem energicznych postanowień, teraz, kiedy wyprawa przychodzi nareszcie do skutku, mówi o pokoju i porozumieniu z Augustem. W taki to „*psychologiczny moment*“ trafiła w głębokiéj tajemnicy trzymana misya dworu berlińskiego do niego.

Znamy zażyły, tradycyjny stosunek między dworem berlińskim a rodziną Leszczyńskich. Król pruski Fryderyk wziął na siebie, właśnie w tymże miesiącu lipcu 1712 roku, zadanie zwrócenia zaawanturowanego w Szwecyi Stanisława na pokojowe tory. O ile August sam na plan podobny wpłynął, niewiadomo. Co tylko pewna, to że jak nas przekonywa znajdujący się w archiwum drezdeńskiém memoriał, król pruski Fryderyk I kazał zawezwać do siebie do Charlottenburga pod dniem 8 lipca 1712 a więc tuż pod wrażeniem klęski Grudzińskiego w Polsce, nieoznaczonego bliżéj z nazwiska, przebywającego chwilowo w Berlinie, figurującego pod cyfrą *N.* Polaka. Polak ten miał być rodem z dóbr Stanisława Leszczyńskiego, a przez niejaki czas ich zarządzcą. Prawdopodobnie nie mógł to być pospolity człowiek i zajmował niewątpliwie w zaufaniu Stanisława pewne stanowisko, skoro jeden król podobną misyą mu powierzał, drugi przyjmował. Polecenie, jakie nienazwany bliżéj agent Stanisławowi od króla pruskiego zawoził, było, aby się zrzekł wszelkich pretensyj do tronu polskiego, dopóki August przy życiu. Spotkanie między

agentem króla pruskiego a Stanisławem nastąpiło w drodze, właśnie kiedy król polski wracał ze Skanii do Carlskrony. Podróż odbywali razem „W Carlskronie,“ gdzie jak powiada sprawozdanie agenta. Stanisław był sam. „nie mając przy sobie matki i żony“ (ohne seine Gemahlin und Mama bei sich zu haben), nastąpiła poważniejsza i wyczerpująca konferencya. Było to, jak nam wiadomo, po doznaniu wszystkich ze strony Szwedów upokorzeń. było to nadewszystko po gwałtownéj scenie w łonie rady z Fersenem, być może, iż po odebraniu niedobrych wiadomości z Polski. Przyznać należy, że składało się mnóstwo przyczyn, aby wpłynąć na nerwy Stanisława, aby mu odebrać wiarę i otuchę w skuteczność przygotowującéj się wyprawy. Czyż jednakże po wszystkiém, co się stało, po roli mianowicie, jaką z polecenia Karola wziął na siebie w obec kraju i regencyi szwedzkiéj *wolno* mu się było cofać, kazać brać górę względom dobrego serca, nad względami polityki i wojny? Lepiéj było w takim razie zrzucić wszelką maskę i wystąpić otwarcie z rezygnacyą na tron polski w obec swoich i Szwedów. Na nieszczęście obiera Leszczyński zwykłą wszystkim poczciwym może, ale chwiejnym naturom drogę. W gruncie rzeczy nie ma wiary w podjętą przez się sprawę, podaje ucho podszeptom przychodzącym mu z Berlina. Z obawy narażenia sobie jednakże Karola XII i skompromitowania się w obec Szwedów i Stenbocka, daje wprawdzie do poznania upadek ducha, ale nie ma odwagi powziąć stanowczą decyzyą. W kilkodniowych konferencyach z agentem króla pruskiego wyspowiadał się najzupełniéj ze swych kapitulacyjnych intencyi. Oświadczył mu, nie dając wszakże niczego na piśmie, że nie tylko za życia króla Augusta, ale nigdy nawet nie chce nadal myśléć o koronie polskiéj i że zamierza w tym celu wpłynąć na Karola XII. Gdy mu zaś agent berliński oświadczył, iż po powrocie ze Szwecyi ma polecenie udać się do Benderu, by skłonić króla szwedzkiego do podobnego ustępstwa, odparł Stanisław z żywością: „Co? Chcesz jechać do Benderu, odwieść króla szwedzkiego od jego przedsięwzięcia i skłonić do pokoju? Wiesz przecież, co to za twarda głowa. Nic u niego nie zrobisz, ale ja sam, choćby się z djabłem sprzysiągł, pojadę do Benderu. Nie chcę już nic wiedzieć o Polsce, ani pozwolić na to, aby z mojéj przyczyny Polska lub Saksonia zapłonęły nową pożogą wojenną lub z mojéj winy choć jeden człowiek życie utracił.“ Po kilkodniowych konferencyach w Carlskronie, powrócił Stanisław na zwykłe swe miejsce pobytu w Skanii do Christianstedt. Agent króla pruskiego towarzyszył mu tamże. Stanisław nie zmieniał oświadczonych mu w Carlskronie usposobień; oświadczał kilkakrotnie, że chce odstąpić pretensyi do korony polskiéj, porozumiéć się z Augustem i skłonić

króla szwedzkiego do zgody na podobną rezygnacyą a że jedyna rzecz, jakiéj w zamian od Augusta żąda, jest, by mu dano odpowiednie jego godności utrzymanie wraz z prawem pobytu w którembądź z księstw szląskich, w Lignicy, Brzegu lub Głogowie, zkąd, nie mieszkając w Polsce, mógłby przecież bezprzeszkodnie zarządzać swemi wielkopolskiemi dobrami.

Agent króla pruskiego powrócił z takiemi oświadczeniami Stanisława do Berlina i zakomunikował je Flemingowi, który, jak wiadomo, posiadał od dwóch lat przeszło pełnomocnictwo swego pana do traktowania ze Stanisławem. Chwilowo jednakże nie pociągnęła za sobą owa niewiadomego z nazwiska agenta misya żadnych bezpośrednich, dalszych między interesowanemi stronami negocyacyj. Mogłoby się teraz bardzo naturalnie narzucać pytanie, o ile relacya bezimienna, agenta obcego dworu, znajdująca się w posiadaniu nieprzyjaznego Stanisławowi państwa, zasługuje na wiarę? Sprawdza ją przecież, zajdująca się w archiwum państwa szwedzkiego, wręcz kapitulacyjną cechę nosząca korespondencya Stanisława z Hornem, Müllnenem, Wellingkiem w maju r. 1712; sprawdzają dosłownie niemal, późniejsze okoliczności, sprawdzają, co najważniejsza, własne niezaprzeczonéj autentyczności listy Stanisława. Rzecz zbyt wielkiéj w Stanisławowym żywocie i zawodzie wagi, abyśmy jéj nie mieli dać miejsca w naszém opowiadaniu. List Stanisława, późniejszy od wypadków, które właśnie opowiadamy, datowany z Benderu 19 listopada 1713, znajdujący się w oryginale w archiwum drezdeńskiém, adresowany do niewiadomego z nazwiska, zażyłego z Flemmingiem korespondenta w Berlinie, brzmi następnie: „Wiesz najlepiéj, że bynajmniéj *nie* w skutek jakiejś rozpaczy, powziąłem me postanowienie. Pan hrabia Stenbock nie kapitulował jeszcze; twierdze króla szwedzkiego na Pomorzu były bardzo dobrze bronione; Rosyanie nie byli jeszcze we Finlandyi. Szwecya czyniąc nie wielki wysiłek, byłaby mogła urządzić wcale inaczéj przeprawę, nie marnując jéj, dzięki środkom tak źle przygotowanym. Najlepszym dowodem spotkanie pod Gadebuschem, gdyby je się było wyzyskało. Porta Ottomańska wypowiedziała wojnę Rosyi. Nie mówię już o moich własnych środkach, jakiemi rozporządzałem w łonie królestwa Polskiego, o usposobieniu narodu, wystarczających do méj restauracyi. Tymczasem, zastanowiwszy się nad tém, co jestem winien mojéj ojczyznie, spokojowi Szwecyi, wdzięczności jéj królowi, spokojności tylu monarchów interesowanych w téj sprawie, *starałem się usposobić króla szwedzkiego przez moich kuryerów jeszcze przed przeprawą morską, aby wspierał me dobre intencye. Wiesz dobrze, jak daleće późniéj wytrwałem w tem postanowieniu.*“ Przez całe lato r. 1712 wresz-

cie widzimy króla pruskiego najgorliwszym rzecznikiem pokoju między Leszczyńskim a Augustem, najgorętszym doradzcą rezygnacyi koronnéj Leszczyńskiego. Otóż przekonywające dowody jak dalece Leszczyński w przededniu wyprawy Stenbocka, któréj poprzednio głównym był rzecznikiem a która w niemałéj części odbywała się na rzecz jego interesu, upadł na duchu, wśród jakich usposobień opuszczał Szwecyą i zabierał się wsiadać na okręty. Fakt niezaprzeczony, powtarzający się częstokroć w ciągu dziejów, będący żywém stwierdzeniem prawdy, jak ciężkim grzechem wśród krytycznych wypadków jest słabość, choćby nawet była wypływem dobroduszności i poczciwego serca, jak się ciężko daje we znaki złożonéj w nieudolne ręce sprawie.

Gotowała się tymczasem przyprowadzona nareszcie do skutku energią Stenbocka, krwią, energią i niezrównaną ofiarnością narodu szwedzkiego wyprawa Stenbocka na Pomorze. On sam, całe społeczeństwo znajdowali się w dziwnie uroczystym nastroju ducha. Wszyscy wiedzieli, że to najwyższy, ale i ostatni wysiłek, na jaki się Szwecya zdobyć może, że od jego powodzenia zależy ocalenie, ale że téż i od jego klęski zależy ruina Szwecyi. Po zniszczeniu wyprawy nie pozostawało Szwecyi ani grosza, ani żołnierza; czekała ją niechybna klęska, konieczność zdania się na łaskę, rzecz wątpliwa, czy wspaniałomyślnych nieprzyjaciół. Miał jéj towarzyszyć, wiadomo nam już wśród jakich usposobień Stanisław Leszczyński, wraz z nielicznem, nie odznaczającem się żadną znakomitością otoczeniem polskiem. Naczelne dowództwo armii liczącéj około 10.000 ludzi miał Magnus Stenbock, floty stary 71 lat liczący admirał Wachtmeister. Bogate pod tym względem niezmiernie archiwa szwedzkie, zawierają z niesłychaną szczegółowością wszystkie cyfry i liczby żołnierza różnych broni, statków wszelkiego rodzaju, wojennych i przewozowych, pieniędzy i źródła ich dochodów, przeznaczonych na Stenbeckową wyprawę. Suche te liczby i cyfry interesują słusznie dziejopisów Szwecyi. Są one wymowną, rozrzewniającą powiedzielibyśmy, miarą ówczesnéj ofiarności narodu. Co do nas, pomijamy je, jako rzecz zdolną tylko przedłużyć nasz wykład a obojętną dla przedmiotu, który opowiadanie nasze zatrudnia. Dnia 3 września 1712 pożegnał się Stanisław ze swą rodziną, która, jak powiada szwedzki historyk Tryxell, miała pozostać jeszcze dwa lata w Christianstedt, spędzając czas smutnie w ubóstwie, przykrościach, na modlitwie, pobożnych praktykach,—i wsiadł wraz z Stenbockiem na okręt. Cała wyprawa żegnana na brzegu przez tłumy zebranéj ludności, wsiadła na statki w porcie Carlskrony i znikła powoli na morzu z przed oczu ziomków, kierując się ku wyspie Rugii. Pomorze

z wyjątkiem twierdz, było w téj chwili zalane obcemi wojskami; mianowicie ściskało Stralsund 12,000 Sasów, Duńczyków i Rosyan. Generał szwedzki Ducker stawiał waleczny opór, ale obrona była trudna. Wśród takich okoliczności zawinęła wyprawa Stenbockowa szczęśliwie dnia 24 września na półwyspie rugijskim Wittowie a Stanisław udał się dnia następnego do oblężonego Stralzundu, gdzie go przyjmowano uroczyście wśród bicia dzwonów i salw artyleryi szwedzkiéj. Sam początek już wyprawy nie wróżył przecież dobrze o jéj powodzeniu. Nasamprzód zaczynała pora być słotna i nie sprzyjała działaniom wojennym. Nie dość na tém, spotkała ekspedycyą na samym wstępie stanowiąca niemal o całym jéj dalszym losie klęska. Admirał Wachtmeister mający przewieźć dla armii ze Szwecyi znaczne zasoby żywności i amunicyi, pozwolił się zachwycić na morzu Duńczykom i poniósł najzupełniejszą porażkę. Szczupła część zaledwie przeznaczonych dla armii pomorskiéj zapasów zdołała się dostać na Rugią i do Stralzundu. Położenie Stenbocka i jego wyprawy stawało się wskutek tego krytycznem. Jego i generała Duckera siły dochodziły do 18,000 ludzi razem, kiedy liczba wojsk sprzymierzonych na Pomorzu w połączeniu z siłą oblegającą Stralzund, była dwa razy większą. Pozostać na miejscu nie pozwalał niedostatek żywności, walka z przemagającym nieprzyjacielem nie przedstawiała żadnych widoków zwycięztwa. O przedarciu się do Polski, nie można było myśléć. Nasamprzód broniły przeważające siły nieprzyjacielskie i posypane szańce przeprawy przez Odrę. Nie dość zaś i na tém jeszcze, przyszła nareszcie teraz pewna już wiadomość, że Karol mimo wyraźnych przyrzeczeń z Benderu się nie ruszył, że wyprawiony przezeń w kraje Rzeczypospolitéj Jan Grudziński starosta Rawski został zwyciężony przez wojska rosyjskie i nie zdołał wywołać w kraju żadnego poruszenia na rzecz Stanisława. Prócz tego nie wzbudzała smutna, upadek zupełny ducha znamionująca postawa Stanisława nadziei, aby nawet w razie wkroczenia do Polski można było liczyć na jakiś szczęśliwszy obrót rzeczy. W tak rozpaczliwém położeniu zwołał Stenbock dnia 20 października w Stralsundzie radę wojenną, w któréj wzięli udział Stanisław, wszyscy generałowie i pułkownicy szwedzcy. Rezultatem téj rady wojennéj było, iż postanowiono przeprowadzić całą armią szwedzką z wyspy Rugii do Stralsundu, następnie do Meklenburgii, jako neutralnego kraju. Wykonywając to poruszenie stosownie do powziętéj przez radę wojenną uchwały, znalazła się armia szwedzka wśród słót jesiennych, dnia 30 października, zgromadzoną w murach Stralsundu. Data ta stanowi zarazem epokę w postanowieniach Stanisławowych. Aby je opowiedzieć, wypadnie nam sięgnąć w kilkodniową tylko téj

daty przeszłość. Dnia 22 października, jeszcze kiedy armia szwedzka była rozłożona częścią na wyspie Rugii, częścią pod Sztralsundem i w mieście, przybył od armii oblężniczéj saskiéj, mianowicie od zaprzyjaźnionego osobiście z dawnych czasów ze Stenbockiem Flemminga, do przednich straży szwedzkich trębacz z listem. W liście tym proponował feldmarszałek saski rozpoczęcie negocyacyj pokojowych, ponieważ jego pan niczego goręcéj nie pragnie od zgody z królem szwedzkim. Równocześnie prosił o utrzymanie rzeczy w najgłębszéj tajemnicy. Jakkolwiek generał szwedzki nieszczególnie ufał dobréj wierze Flemminga, nie odrzucił przecież jego propozycyi i kazał mu oświadczyć, że się znajdzie na oznaczoném do konferencyi miejscu w Brandshagen. Nadto wyprawił Stenbock innego posłańca do Flemminga z zapytaniem, coby mu miał do zaproponowania? Była to, powiedzmy krótko, chwila niezadowolnienia trzech dworów północnych, Danii, Prus i Saksonii z przymierza rosyjskiego, którego się obawiały, czem się tłómaczy owa skłonność z ich strony porozumienia się ze Szwecyą jakimbądź kosztem, choćby nawet kosztem częściowego uznania pretensyj szwedzkich. Nie ma daléj wątpliwości, że w odpowiedzi, jaką dał Flemming na zapytanie Stenbocka, była wzmianka o pełnomocnictwie wystawioném mu przez Augusta do traktowania ze Stanisławem w marcu roku 1710 i o warunkach pod jakiemi by król August gotów zawrzeć z nim zgodę. Stenbock zakomunikował odpowiedź Flemminga Stanisławowi. Wiadome nam już usposobienie, z jakiem Stanisław pod wpływem wspomnianych wyżéj, rozmaitych, wpływających przygnębiająco czynników przybył na brzegi pomorskie. Okoliczności, z jakiemi się tutaj spotkał, nie były również potemu, aby ducha jego podnieść.

Naturalnie więc bardzo stało się, że król Stanisław przyjął propozycyą Flemminga jako deskę ocalenia z toni i że tuż po odebraniu odpowiedniéj komunikacyi ze strony Stenbocka, a po porozumieniu się z towarzyszącym sobie bardzo wątpliwego charakteru, nawiasowo powiedziawszy, sekretarzem Bieberem, zwołał tegoż samego dnia jeszcze radę wojenną, na któréj się znaleźli wszyscy generałowie szwedzcy, mianowicie Stenbock, Taube, Aschenberg, Marschalck, Schommer, Mevius, Duckert, Reinhold Patkul, Ekeblad i Mellin. Mowa, z jaką Stanisław w gronie ich wystąpił, była najzupełniéj dążności kapitulacyjnéj, wyrażała nareszcie w sposób otwarty to, co się w nim oddawna gotowało; skreślała rozpaczliwe położenie Szwecyi i Polski. Protokularnie w języku francuzkim spisana ta mowa, kończyła się następnemi, odpowiadającemi pośrednio na propozycyą Flemmingową słowy: „Co się mnie tyczy, służyłem do tego czasu za

narzędzie sławy broni szwedzkiéj: nie chcę być teraz fatalną przyczyną jéj zguby. Oświadczam gotowość poświęcenia méj korony i mych własnych interesów zachowaniu osoby królewskiéj (Karola XII), nie widząc innego ludzkiego sposobu, by go z obecnego miejsca jego pobytu wyciągnąć!“ Łatwo pojąć, do jakiego stopnia wystąpienie podobne odpowiadało skrytym życzeniom i skłonnościom generalicyi szwedzkiéj, jak było właściwie wynikiem tego tylko, czego od dawna pragnęła. Sama przyzwoitość przecież, w połączeniu z ważniejszym powodem, obawy Karolowego gniewu, wymagała odegrania pewnéj komedyi, oświadczeń wierności, gotowości przelania ostatniéj kropli krwi i innych podobnych rzeczy. Szczerość i prawda wszystkich tych oświadczeń streszczały się w końcowéj prośbie, „abyś W. Królewska Mość Polska wraz poświęceniem, jakie czynisz ze swéj własnéj osoby, raczyła także i u J. K. Mości Szwedzkiéj bronić postanowienia powziętego i zdania, jakie z tego powodu objawili jéj generałowie.“

Podbity podobną wspaniałomyślnością generałów szwedzkich, oświadczył Stanisław wobec tego stanowczo, że zamyśla stanowczo korzystać z dobrych dla siebie usposobień króla Augusta, że poświęca swą koronę, że nadto bierze na siebie dzieło przekonania osobiście króla szwedzkiego o konieczności podobnéj ofiary. Generałowie szwedzcy czując po za sobą i po za swemi postanowieniami ciągle groźny i niepokojący cień swego króla, byli tyle ostrożnymi, iż wszystkie oświadczenia własne i Stanislawa, nie tylko spisali protokularnie, ale nadto spowodowali króla polskiego do stwierdzenia tego aktu własnym jego, kontrasygnowanym przez sekretarza Biebera podpisem i pieczęcią królewską. Sami dopiero podpisali protokół, składając się z nieustającą ostrożnością, że im wyraźnie objawiona wola króla polskiego postąpić sobie inaczéj nie dozwoliła. Uchwała ta ważna w losach Stanislawa, zapadła w dniu 22 października 1712, we dwa dni po powziętém w Sztralzundzie postanowieniu wymaszerowania do Meklenburgii. Dnia 29 października skoncentrowała się w tym celu cała, 18,000 ludzi licząca armia Stenbocka w mieście. W saméj chwili wymarszu, który nastąpił dnia 30 października, wyprawił zabierający się towarzyszyć mu Stanisław następny list do Flemminga, znajdujący się w oryginale francuskim w archiwum drezdeńskiém:

„*Ze Stralsundu, dnia 30 października 1712.* Przekonywam się, że zamiar mój mający na celu przywrócenie spokoju méj ojczyźnie, może być spelnionym, zwłaszcza, że znam charakter Pański, jako uczciwego człowieka, od tak dawnego czasu. Dla tego téż, aby nie przedłużać rzeczy po nad potrzebę jęczącego ludu, pomijam wszel-

kie formalności. Okroiłem pretensye moje do tego stopnia, że Twój Pan znajdzie w nich tylko własną korzyść. Spodziewam się, że będziesz naśladował mój przykład i dasz we wszystkiem wiarę pułkownikowi Bassewitz. Nie będziesz traktował sprawy jako minister przeciągający rzecz umyślnie, lecz umiejący się zastosować do okoliczności nie cierpiących zwłoki i położysz koniec wszystkiemu."

List ten odszedł do Flemminga w chwili samego prawie wymarszu do Meklemburgii przez zręcznego równie w sztuce dyplomatycznéj, jak dzielnego żołnierza, pułkownika von Bassewitz, meklemburczyka rodem. Jaki skutek ten list odniósł, zobaczymy zaraz a tymczasem tylko zapisać należy, iż Stanisław wyruszył ze Sztralsundu razem z armią Stembocka i towarzyszył jéj przechodowi aż do 10 listopada na terytoryum meklemburskie. Armia szwedzka cierpiała niewiele od nieprzyjaciela, zwyciężała z łatwością wszelkie przeszkody, opanowała mianowicie bez trudu miasto Rostok. Za to była wystawioną na przykrość nieustającéj jesiennéj słoty, która drogi często w nieprzebyte moczary zamieniała. Stenbock uradowany, o ile to być wśród podobnych okoliczności mogło, z rezygnacyi Stanisława oczekującego rezultatu swego listu do Flemminga, natrząsał się z niéj w gruncie rzeczy i pisał do Karola, że król polski objawia usposobienia godne raczéj „braciszka klasztornego lub nadziemskiego filozofa, aniżeli monarchy."

Wśród podobnych okoliczności zatrzymała się armia szwedzka w miasteczku meklemburskiém Schwan nad rzeczką Warną. Tu dotąd—jak się zdaje—nadeszły z obozu saskiego od Flemminga zaspokajające doniesienia, gdyż dnia 10 listopada wyjechał po raz drugi pułkownik Bassewitz z polecenia Stanisława do obozu saskiego. Flemming znajdował się naówczas w mieście meklemburskiém Rybnicach, był w posiadaniu pełnomocnictwa Augustowego. Główną pobudką i sprężyną podjętych układów była obawa przewagi rosyjskiego wpływu; negocyacya sama tedy nie przedstawiała w pierwszéj swéj fazie przynajmniéj zbyt wielkich trudności. Największą mogły chyba tylko stanowić wygórowane nieco pretensye, jakie Bassewitz w imieniu Stanisława zawoził Flemmingowi. Bassewitz zgadzając się na rezygnacyą Stanisława i na uznanie królem polskim Augusta, domagał się. aby tenże zwrócił się bezzwłocznie ze Szwedami przeciw Rosyi, aby ogłosił Stanisława następcą po zgonie swoim, aby mu powrócił wszystkie godności i dobra, aby obdarzył zupełną amnestyą jego samego i wszystkich jego stronników, aby go pozostawił przy tytule króla polskiego, aby mu wyznaczył 200,000 talarów rocznéj pensyi, zamienił wreszcie starostwa Odolanowskie, Ostrzeszowskie, Międzyrzeckie, Ujskie, Nowodworskie na dobra

dziedziczne w rodzinie Stanisława. Jakiego przyjęcia propozycye te doznały ze strony Flemminga nie mamy wyraźnych dowodów. Tyle rzeczą pewną, że nie napotkały bynajmniéj na grunt opoczysty, że były uznane za przedmiot, o którym warto pomówić, że nadewszystko dały początek do jak najprzyjaźniejszych między Stenbockiem a Flemmingiem negocyacyj, które, jaki ostatecznie obrót wzięły, zobaczymy wkrótce.

Generałowie szwedzcy bywali częstymi gośćmi w obozie saskim. Stał się nim, co dziwniejsza, sam król Stanisław i odbył, jak własne listy jego nie pozostawiają najmniejszéj wątpliwości, osobiście konferencyą w Rybnicach z Flemmingiem. Przypatrzy się, jaki w skutek niéj kształt ostateczny przybrały nareszcie toczące się w przedmiocie nieszczęsnéj królewskości Stanisława układy.

Obustronne propozycye i tymczasowa ugoda, jaka między obu stronami zapadła, znajdują się w archiwum drezdeńskiém. Jak się przekonywamy, nie był pełnomocnik króla Augusta zbyt skąpym w koncesyach, w zamian rezygnacyi Stanisława, przypuściwszy naturalnie jéj szczerość. Pośrednikiem w podjętych konferencyach i świadkiem ich przy spotkaniu Rybnickiém był Stenbock, który, jakkolwiek bezskutecznie, zadawał sobie wiele pracy, by Stanisławowi wyrobić u Flemminga uznanie królewskiego tytułu. Flemming, jeżeli wierzyć nader kategorycznym i powtarzającym się kilkakrotnie pod tym względem zapewnieniom jego, był przecież w *tym* właśnie punkcie nieugiętym od początku do końca i traktował mimo wszelkich przedstawień Stenbocka, króla Stanisława jako „hrabiego Leszczyńskiego." Stanisław i jego stronnicy nie mieli późniéj powodu rozpisać się i mówić zbyt szeroko o szczegółach Rybnickiego spotkania. Tak dla *praw* jak dla *osoby* Stanisława nie stanowi ono dodatniéj karty. Wszystko co o niém wiemy, polega na relacyi Flemminga, do tyla przecież wiarogodnéj, że powtarzanéj niezmiennie w najrozmaitszych okolicznościach wobec hrabiego Lagnasco, wobec posła francuskiego barona Besenval, wobec podkanclerzego dworu wiedeńskiego hr. Schönborna, wreszcie wobec Biebera sekretarza i pełnomocnika samegoż Stanisława, relacyi niezaprzeczonéj nigdy i przez nikogo. Według opowiadania Flemminga odbyła się konferencya Rybnicka w sposób bardzo przyjacielski, ale czy zaszczytny dla Stanisława, czy odpowiadający mianowicie jego królewskiéj godności a nadewszystko pretensyom Karola XII, pozostanie rzeczą więcéj niż wątpliwą. Z samego początku mianowicie zauważył Augustowy pełnomocnik, potrącając o kwestyą tytułu królewskiego, czyby też Stanisławowi nie było lepiéj pozostać wojewodą poznańskim, aniżeli być *takim* królem, jakim jest obecnie? Stanisław miał

na to zapytanie nic nie odpowiedzieć; wzdrygnąć tylko ramionami, przyznając feldmarszałkowi saskiemu podobnym gestem racyą. Następnie zaczął Flemming tłómaczyć Stanisławowi zbyteczność tytułu królewskiego a nareszcie — jak powiada — zdołał go przekonać, że tytuł taki najniepotrzebniéj by mu tylko ciężył. Essencyonalniejszym przedmiotem konferencyi były dwie inne kwestye, *po pierwsze* sprawa osobistego bezpieczeństwa, w którą wchodziła rzecz najzupełniejszéj amnestyi dla Stanisława samego i wszystkich jego bez wyjątku stronników, tudzież zwrotu dóbr wielkopolskich; *po drugie* sprawa indemnizacyi i przyzwoitego utrzymania.

W tych dwóch innych punktach okazał się pełnomocnik Augustowy skłonnym do ustępstw, a po niejakich korowodach zgodziły się obie strony na następne warunki: Stanisław miał się zrzec uroczyście osobnym aktem za siebie i swych następców wszelkich pretensyi do tronu polskiego, nadto doręczyć Augustowi wystawiony przezeń oryginalnie w roku 1707 akt zrzeczenia się korony polskiéj. W zamian téj rezygnacyi obowiązywał się August również osobnym aktem obdarzyć Stanisława i wszystkich jego bez wyjątku stronników zupełną amnestyą; nadto zwołać osobną radę senatu i postarać się swoim wpływem u Rzeczypospolitéj, aby po odpowiedniém wynagrodzeniu osób obecnie dygnitarstwa i starostwa Stanisławowe dzierżących, powrócić Stanisławowi województwo Poznańskie, starostwo Nowodworskie, Ostrzeszowskie, Odolanowskie, Ujskie i Międzyrzeckie, a nie dość i na tém jeszcze, wyjednać u Rzeczypospolitéj zamianę tychże starostw na dobra dziedziczne w rodzinie Leszczyńskich. Prócz tego obowiązywał się pełnomocnik Augustowy w imieniu swego pana wypłacić Stanisławowi na restauracyą zniszczonych wojną dóbr jednorazowo 100,000 dukatów i dawać mu roczną pensyą wynoszącą 150,000 talarów. W razie śmierci Stanisława miała połowę téj pensyi pobierać dożywotnie pozostała po nim wdowa. W razie śmierci obojga rodziców każda z pozostałych dwóch córek, Anna i Marya po 30,000 talarów również dożywotnie.

Taki to układ stanął między Flemmingiem a Stanisławem, warunkowo jednakże tylko i tymczasowo, bo Stanisław czynił swą rezygnacyą zależną od przyzwolenia króla szwedzkiego, jakkolwiek brał na siebie uroczyste zobowiązanie starać go się wszelkiemi siłami do podobnego zezwolenia skłonić. W gruncie rzeczy nie ufały sobie obie strony! Flemming sam, zdając Augustowi sprawę z odbytéj konferencyi, pytał, jak i czemby sobie zaręczyć wykonanie podjętych przez Stanisława zobowiązań. Podobne niezaufanie, jak się przekonamy niżéj, objawiał dla przyrzeczeń Augustowych i Ka-

rol XII. Jak się zdaje jednakże, była na ten raz ze strony saskiéj istotnie dobra wiara, zwłaszcza, że Flemming zgodził się na dwutygodniowe, późniéj przedłużone, zawieszenie broni, do którego Stanisław jako reprezentujący w stanowczych razach wolę Karola. generała Stenbocka wyraźnie upoważnił. Zawieszenie broni Rybnickie nastąpiło dnia 5 grudnia 1712. Dwór berliński przyłożył poprzednio do układów zbyt czynnie i zabiegle ręki, aby nie był miał być zawiadomionym o zawartéj ugodzie, o rozpoczętych negocyacyach pokojowych, o rezygnacyi Stanisława z pretensyi do tronu polskiego, o zamierzonéj podróży jego do króla szwedzkiego. Dnia następnego po podpisaniu zawieszenia broni, 6 grudnia wyjechał z wiadomością o niém do Berlina generał szwedzki Taube. Równocześnie puścił się inną stroną, w drogę ku Benderowi Stanisław, któremu akt jego rezygnacyi, któremu oświadczona gotowość wykołatania na uporze króla szwedzkiego zezwolenia na czyn abdykacyi, otworzył wskróś nieprzyjacielskich armii i krajów wolny i bezprzeszkodny przejazd.

Akt spełniony przez Stanisława w Rybnicach, na dniu 5 grudnia 1712 stanowi poniekąd epokę w dziejach jego niedobrowolnéj królewskości. Wyniesiony zbiegiem nadzwyczajnych okoliczności, niepewny sam początkowo czy wierzyć w swe królewskie prawo, *urosł* w przekonaniu własném, *wyrósł* na rzeczywistego przez chwilę króla, gdy zwycięztwa króla szwedzkiego zaprowadziły go do Saksonii, gdy zmusiły Augusta do abdykacyi, gdy spowodowały większą część mocarstw europejskich do uznania monarszego prawa klienta Karola XII. Odtąd czuł się istotnie i uznawał sam królem Leszczyński, zapominając o rewersie na rzecz Sobieskich, zapominając o źródle i początku swéj królewskości. Mimo Pultawy, mimo wędrówki w taborze generała Krassaua na Pomorze, mimo emigranckiego pobytu z Szczecinie, mimo przeprawy do Szwecyi i mimo upokorzeń tamże doznawanych, pozostawał wobec Szwedów reprezentantem woli Karola XII, pozostawał wobec Polski, zbrojny w akt abdykacyi Augusta, w dobréj wierze jéj królem. Żyła jeszcze, jakkolwiek pozbawiona możności pobytu swego reprezentanta w kraju, jakkolwiek zwyciężona chwilowo, królewskość Leszczyńskiego siłą własnego prawa i wiarą w siebie. Leszczyński czy to na Pomorzu, czy w Szwecyi, czy na okrętach i w obozie Stenbocka ma jeszcze prawo nazywać się królem polskim, odzywać się bez popełnienia nieprawdy do uczuć i ofiarności narodu. Inaczéj od chwili ugody, jakkolwiek warunkowéj Rybnickiéj. Leszczyński abdykował sam i wobec swego współzawodnika z wszelkich praw do korony polskiéj, składał akt swéj rezygnacyi na piśmie w ręce

przeciwnika, oświadczał gotowość popierania kroku swego wobec upartego protektora. Aktem podobnym, którego mu w okolicznościach, wśród jakich nastąpił, za złe brać nie myślimy, który przeciwnie, wierzymy chętnie, mógł być nawet w pewnéj mierze wypływem dobrego i życzliwego dla doli krajowéj serca, zdetronizował się Leszczyński *sam* w owych dniach grudniowych roku 1712, stracił aż do dnia ponownéj swéj elekcyi przeszło dwadzieścia lat później, prawo występowania w królewskim charakterze wobec narodu i mocarstw europejskich. Tem smutniejsza, jeżli dzieje jego po spełnieniu aktu Rybnickiego przedstawiają epilog, któregobyśmy w interesie jego czci i imienia chętnie widzieć *nie* chcieli.

Po akcie owéj cichéj i warunkowéj adbykacyi, udaje się Stanisław wraz z Tarłą, Śmigielskim, sekretarzem Bieberem, wskróś krajów brandeburskich, austryackich, polskich pod przybranem nazwiskiem do Benderu, aby wykołatać na uporze Karola XII przyznanie aktu swéj rezygnacyi. Zadanie smutne, bolesne, nie świadczące co najmniéj o sile, energii i stanowczości biednego Stanisława. Podróż ta odbywająca się zimową porą, wśród rozlicznych przygód i niebezpieczeństw przedstawiałaby obfity materyał dla powieściopisarza. Dla naszego historycznego, dążącego do swego kresu opowiadania wystarczy powiedzieć, że gdy w pierwszych dniach lutego 1713 Stanisław przybył do Jass, protektor jego, pogniewany gruntownie z Turkami, był już ich więźniem po stoczeniu słynnéj owéj awanturniczo-bohaterskiéj walki w okopach Warnicy. Stanisław, poznany przez władze mołdawskie, traktowany sam początkowo jako honorowy więzień przez zaznajomionego jeszcze z ojcem jego Rafałem hospodara Dymitra Kantemira, nie miał sposobności, ani możności spotkać się osobiście z królem szwedzkim i skłonić go do ustępstw przyrzeczonych w umowie Rybnickiéj.

Zwykły błąd Stanisława, brak decyzyi w stanowczych razach, cechuje i tutaj jego postawę. Nie może się zdecydować ani na samodzielne potwierdzenie aktu swéj abdykacyi, ani na przekreślenie jéj i przybranie na nowo postawy króla polskiego. Zdawać by się mogło, że wahającą się jego postanowień szala przechyli się na tę drugą stronę. Dywan i władze mołdawskie miękną w swym początkowym gniewie, pozwalają Stanisławowi z Jass przenieść się na zgliszcza Karolowego domu w Benderze, otoczyć się swymi stronnikami polskimi, ściągnąć nawet do Benderu jaką taką siłę zbrojną, składającą się ze Szwedów i Polaków. Porta bierze późniéj w opiekę prawa i interes Stanisławowy, wyséła w jesieni roku 1713 posłów do Rzeczypospolitéj w celu podniesienia głosu na rzecz jego. Poprzednio już, pod dniem 5 marca 1713 pisze do niego Karol XII

z Karnabadu, ze stacyi przymusowéj swéj pod strażą turecką podróży do Demitoki list, który przytaczamy ze względu, iż był aktem protestu przeciw abdykacyi Rybnickiéj i nie dopuszczał spełnienia rezygnacyjnych intencyj Stanisława.

„Nie omieszkuję N. Panie— pisał Karol — donieść Ci, że sprawy moje i Twoja u Porty Ottomańskiéj powrócą niezadługo na dobrą stopę wbrew gwałtownym wybrykom przeciw mojéj osobie w Benderze; trzeba mieć tylko trochę cierpliwości i nie dać się zastraszyć wszystkiém tém, coby osoby źle usposobione mogły wymyślić ku zachwianiu naszéj stałości. Mam to silne zaufanie do rozsądku W. K. Mości, że nie przestaniesz podtrzymywać naszych wspólnych interesów z tą samą odwagą i z tą samą wytrwałością, jakiéj dowody dawałeś dotąd a że swym pełnym chwały przykładem dodasz odwagi Polakom dobréj strony, aby uczynili to samo. Przybył do mnie generał Poniatowski a ponieważ sam ma zaszczyt pisania do W. K. Mości, proszę, niechaj mi będzie wolno odnieść się do jego listu.“

List ten Karola w połączeniu z niewątpliwemi dalszemi upomnieniami przekreślił warunki umowy Rybnickiéj, uczynił abdykowaną wobec siebie saméj, wobec Polski, wobec swych przeciwników królewskość Stanisława, już tylko prostym środkiem politycznym i narzędziem w ręku króla szwedzkiego, wprawił rzecz w stan zgubnego dla wszystkich interesowanych w niéj czynników zawieszenia. Stanisław siedząc przez rok 1713 w Benderze, utrzymuje stosunki z Dywanem i stronnikami swymi w Polsce, dzięki czemu wuj jego Jan Jabłonowski uwięziony w Warszawie i zaprowadzony na Königstein; gromadzi nadto około siebie zbrojny zastęp drabantów pod dowództwem pułkownika Koskula, będący groźbą dla Augusta, przedmiotem jego żalów i upomnień dyplomatycznych wobec Porty Ottomańskiéj. Gdybyż przynajmniéj w téj nowéj roli była wytrwałość i konsekwencya ze strony Stanisława! Tak jednakże nie było. August niecierpliwi się i rozdraźnia, że Stanisław nie dotrzymuje warunków Rybnickich, że nie ogłasza stosownie do umowy aktu swéj rezygnacyi. Wyséła doń do Benderu z natarczywemi upomnieniami sekretarza swéj kancelaryi Hahna, który go przypiera do muru i pyta kategorycznie, czy bez względu na przyzwolenie Karola zamierza zrzec się korony polskiéj i ogłosić akt podobnéj rezygnacyi? Stanisław daje wobec podobnéj somacyi wymijające odpowiedzi a tymczasem każe przez swych korespondentów berlińskich, we własnoręcznie zachowanych listach oświadczać Flemmingowi, iż w gruncie rzeczy pozostaje wiernym owym stypulacyom a że jedyną przyczyną, dla czego ich dotąd nie spełnił, jest okolicz-

ność, że przybywając do Benderu, nie zastał już Karola na miejscu, nadto że król szwedzki nie może się w podanych przez Augusta warunkach dopatrzéć potrzebnych im gwarancyi.

Nie przestawał tedy, targany w sprzeczne strony Stanisław, być na zewnątrz niby to jeszcze królem polskim z ramienia szwedzkiego i dzięki abdykacyi altransztadzkiéj, kiedy wobec wysłańca Augustowego Hahna i w listach przeznaczonych dla wiadomości Flemminga tłómaczył się, dla czego, mimo najlepszéj woli, ciężaru królewskości pozbyć się nie może! Toż samo usposobienie objawia się w liście jego z Benderu dnia 29 sierpnia 1713 do przebywającego właśnie w Kamieńcu generała saskiego hr. Lagnasco. Poséła doń Szweda Adlerfelda, ofiaruje się ponowić układy, powiada dosłownie: „Jeżeli się wahasz w tytułowaniu méj osoby, daj mi nazwę, jaka Ci się podoba.“ Trwa pobyt jego w Benderze aż do końca roku 1713, kiedy równocześnie Porta Ottomańska wyséła w jego interesie dwóch posłów do Warszawy i podejmuje sprawę jego zgody z Austem, kiedy on sam trzymany ciągle na uwięzi przez Karola XII, targa się przeciw jego przykazom i rozpoczyna za pośrednictwem Lagnaski przez swego sekretarza Biebera we Wrocławiu w wielkiéj tajemnicy prowadzone negocyacye z Flemmingiem. Z początkiem roku 1714 przenosi się z Mołdawii na Siedmiogród do Kronsztadtu, zkąd pod dniem 29 maja 1714 pisze następny list, który się dostał następnie w posiadanie Flemminga: „Ponieważ mnie przecież Bóg od tych przeklętych Turków oswobodził, nie opuszczajmy się przecież. Mam tylko jedną myśl, dotyczącą *salutem universi.*“ Odpowiednio do podobnych usposobień toczą się tedy z jednéj strony układy między Flemmingiem, Lagnaską a Bieberem, kiedy z drugiéj Karol trzyma swego klienta ciągle w posiadaniu królewskiego tytułu i przeznacza mu, wraz ze sprowadzoną ze Szwecyi rodziną, dziedziczne swe księstwo Zweibrücken na miejsce pobytu.

Najlepszym barometrem względności saskiéj dla propozycyj Stanisławowych jest naturalnie stan potęgi i interesów Karola XII. W ciągu roku 1714 podają jeszcze August i Flemming ucho propozycyom reprezentującego interes Stanisława we Wrocławiu Biebera, ofiarują jego panu w zamian publicznie ogłoszonéj rezygnacyi bezpieczeństwo osobiste, zwrot majątku i godności. W rok późniéj, w r. 1715, kiedy Karol zamknięty w Stralsundzie a Stanisław wygnańcem w Zweibrücken, robi się Ludwik XIV w ostatnich dniach nieledwie swego życia, rzecznikiem jego sprawy i daje posłowi swemu w Warszawie, baronowi Besenval polecenie wystąpienia w obronie jego tytułu królewskiego i jego powrotu do kraju.

Odbyta w tym celu między posłem francuskim a reprezentantem Augusta hr. Wertherem w Warszawie konferencya pozostaje jednakże tylko dowodem powściągliwości saskiéj od wdawania się w jakie bądź już ustępstwa na rzecz dalekiego pobytem, pozbawionego gruntu w samym kraju Stanisława. Wymowniejszém może jeszcze podobnego spostrzeżenia stwierdzeniem jest konferencya odbyta w cztery lata późniéj w Wiedniu, już po śmierci Karola XII między posłem saskim a podkanclerzym cesarskim hr. Schönbornem. Dwór austryacki uczynił się wtedy na wyraźną prośbę Stanisława rzecznikiem niektórych jego pretensyi wobec Augusta. Poseł saski wymówił się przecież w imieniu swego pana od przyznania jakichbądź ustępstw, wskazując na fakt ugody Rybnickiéj i chybioną jéj, dzięki chwiejności Stanisława, próbę. Na nieszczęście nie przeszkadzało poprzednio, tuż po opuszczeniu Mołdawii i Siedmiogrodu, podobne lekceważenie mało to już niby niebezpiecznego Stanisława, skrytobójczym zamachom na jego osobę, zamachom, po za któremi wiwidzimy ukrytych w półcieniu mniéj lub więcéj wysokich dygnitarzy króla Augusta i jego samego.

Taki to smutny w swych rozmaitych szczegółach epilog, który prawdzie historycznéj po układach Rybnickich zapisać przychodzi. Negocyacya podjęta wówczas nie doprowadza do stanowczego rezultatu; cokolwiekbądź przecież zapisuje fakt dobrowolnéj abdykacyi Leszczyńskiego. Królewskość jego *pierwsza* znajduje tu właściwie koniec; *druga* datuje się dopiero od dokonanéj dnia 25 sierpnia 1733 na polu pod Wolą elekcyi.

Dobiegliśmy w ten sposób kresu naszego opowiadania. Pozostaje nam jeszcze tylko kilka słów rehabilitacyi i ogólnego rzutu oka na przebieżoną naszym wykładem przestrzeń.

Zadaniem naszém nie było przedstawienie szanownym naszym czytelnikom wypadku nadającego się swą treścią i przebiegiem do artystycznie zaokrąglonego opowiadania, ale raczéj *pasma* wypadków, których znów nie wypełnia swą osobą nadając barwę, życie i charakter całości, mąż czynu, inicyatywy i energii, ale których smutnym wyrazem, jak całéj téj epoki, jest „*moment psychologiczny*,“ jest „*rezygnacya*“ najwybitniejszéj osobistości, na jaką się owe czasy zdobyć u nas mogły. Wpatrzywszy się w oblicze epoki, nad którą się specyalnie zastanawiamy, spostrzegamy pośród jéj chaosu i świadomości materyalnéj niemocy, *dwa* głównie powodujące nią czynniki: *rezygnacyą* i *satyrę* na przemian. Krwawa, ponura, pojawiająca się w pierwszym lepszym rękopiśmiennym zbiorze, w pierwszéj lepszéj *silva rerum* z owéj epoki *satyra*, naigrawa się gorzko z pełnych ckliwego namaszczenia, oświadczeń rzekomych przyjaciół Polski,

chłoszcze nadużywających pokaźne godła sprzymierzeńców ich i zwolenników, poświęca skrycie łzę ironii i gniewu, nędzy i zniszczeniu „*biednego ludu.*“ Z drugiéj strony smutna, bierna *rezygnacya* paraliżująca myśl i czyn równocześnie, *tam* nawet, gdzieby myśl i czyn ocalić jeszcze mogły. *Pierwsza*, datująca się z *téj* epoki właśnie królewskość Leszczyńskiego jest takiéj *rezygnacyi* najcharakterystyczniejszym wyrazem. Myśl polityczna Karola XII nie była pozbawiona przymiotów wielkości i trafności, sięgała swém jasnowidzeniem w daleką przyszłość. Czego jéj jednakże było trzeba, to bohatera czynu, nie bohatera rezygnacyi, choćby nawet ową rezygnacyą najszlachetniejsze rządziły pobudki. Nieszczęściem, fatalnością wielkiéj myśli Karola XII było, iż za wykonawcę jéj w Polsce wybrał sobie człowieka tak mało podobnego sobie samemu, kiedy właśnie tylko człowiek, jak on sam, zapowiadał sprostać wielkiemu zadaniu. Jakież pole otwierało się mimo wszelkich trudności, mimo wszelkich niebezpieczeństw Leszczyńskiemu, gdyby w nim była przemieszkiwała choć odrobina ducha jego przyjaciela i protektora. Są chwile w jego popułtawskim zawodzie, ktore przedstawiały widoki powodzenia, które, co najmniéj, dawały możność młodéj królewskości oprzéć się na podstawie, olśnić aureolą czynu, pozostawić wielki, naśladowania godny testament potomności narodowéj. Odbywając lustracyą ówczesnych mężów polskich Karolowego obozu, gotowibyśmy prawie zatrzymać się na dzielnéj, wypróbowanéj w bojach, nie stroniącéj od trudów obozowych osobistości Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego. W *nim* najprawdopodobniéj byłby Karol znalazł pojętniejszego a nadewszystko skuteczniejszego przedstawiciela swych zamiarów i czynów. Fatalnością Karola ale i Polski było raz jeszcze, że *on*, mąż czynu, wziął sobie do boku człowieka rezygnacyi; że mąż miecza uczynił wykonawcą swych zamiarów człowieka słowa i pióra; że bohater z okopów Warnickich i szańców Frederikshallu przykuł nienaturalnie i dziwacznie do swego tryumfalnego rydwanu, wtenczas kiedy tryumfy ustały a nastał krwawy obowiązek orężnego trudu człowieka pokoju, kochającego wówczas i wogóle przyjaciela ludzkości, który późniéj dopiero, błogosławiąc Lotaryngii i błogosławiony przez nią odzywa się w swym *Głosie wolnym* do ojczystego kraju: „Wtenczas, ojczyzno, będziesz się mogła mieć za szczęśliwą, kiedy każdy swoje partykularne szczęście w Twojém generalném zakładać będzie!“ Piękne słowa, zacna bez wątpienia, choć siły i energii pozbawiona dusza, która się niemi do ziomków z oddali odezwała. Uszanujmy jéj pamięć, bo nie wszystkim wszystko dane.

Po dwóch mężach, których dziejowa Opatrzność w ubiegłém stuleciu tak dziwnie razem sprzęgła losy, sterczą na przeciwległych sobie niemal Europy krańcach dwie uderzające oko pamiątki. Pierwszą z nich posąg Stanisława, bronzowy, w naturalnéj przedstawiający go wielkości. Błogosławi na placu noszącym jego imię uroczéj stolicy Lotaryngii. Wszystko tchnie tu jakoby spokojem, bezpieczeństwem, atmosferą, którą się dobroczyńca Lotaryngii za życia lubował.

Daleko ztąd, na zimnéj północy, w pobliżu małéj, melancholijnéj mieściny norweskiéj Frederikshallu, pod niebem ponurém i zamglonėm zwykle, wznosi się, spoglądając ku zawieszonemu na skale gniazdu, o które się twarda głowa jego rozbiła, podobnyż posąg bohaterskiego Karola XII.

Któż z nas oprzéć się zdolny rzewnemu, serdecznemu wzruszeniu, spoglądając na błogosławiącego Lotaryngii w swéj spiżowéj postaci Stanisława. O ileż *inném* jednakże, o ileż wznioślejszém byłoby owo uczucie, gdybyśmy mieli prawo i powód wyryć na pomniku Stanisława to, co Szwedzi wyryli na posągu jego przyjaciela:

Han kunde Ikke vicka,
Blott falla kunde han!

„Mógł upaść, ustąpić nie umiał!“

Kazimierz Jarochowski.

LIBERALIZM I OBSKURANTYZM
na Litwie i Rusi.
(1815—1823).

III.

„Dziennik Wileński“, „Tygodnik Wileński“ i „Wiadomości Brukowe“.—Ich zachowanie się względem obskurantów.—Obskuranci się zbroją.—„Miesięcznik Połocki“ jako ich organ.—Potyczki tyralierskie.—Sprawa wychowania zakonnego i świeckiego.—Sprawa krytyki dziejowéj.—Sprawa filozofii wieku XVIII.—Zachowanie się obskurantów i liberalnych wobec tych zagadnień.—Ksiądz Krzyszkowski.

Z poprzedniego opowiadania mógłby czytelnik powziąć przekonanie, że „Dziennik Wileński“ był przychylnym sprawie reakcyi, gdy w nim znajdowały przytułek wycieczki obronne obskurantów przeciw liberalnym. Przekonanie takie byłoby jednak stanowczym błędem. Pismo, w którém pomieszczali prace swe Jan i Jędrzéj Śniadeccy oraz inni profesorowie uniwersytetu wileńskiego; pismo, w którém młodzi natenczas postępowcy jak Michał Baliński, już wtedy oddający się pilnie studyom dziejowym, lub Ignacy Szydłowski, nauczyciel gimnazyalny, znany już w kółkach literackich wileńskich jako liryk, w odach mianowicie celujący; pismo, w którém brał udział żołnierz napoleoński Antoni Gorecki na cały kraj swemi uszczypliwemi bajkami wsławiony, nie mogło być organem reakcyjnym. Zapewne szeroko pojmowana bezstronność, jako praktyczne zastosowanie zasad liberalnych, z jednéj strony, a z drugiéj chęć pozyskania jak największéj liczby czytelników skłaniały redakcyą „Dziennika Wileńskiego“ do dopuszczania w jego kolumnach odezw, niezgodnych z jéj przekonaniami i to bez żadnych z jéj stanowiska zastrzeżeń: w gruncie rzeczy atoli zarówno redaktor (z początku Kazimierz Kontrym) jak i spółpracownicy „Dziennika“ pod sztandarem liberalizmu walczyli wytrwale, wziąwszy sobie przedewszystkiém za cel popularyzowanie i rozpowszechnianie nauki. Zadanie to, przy pomo-

cy najlepszych sił ówczesnych „Dziennik“ spełniał przez czas długi. Brakło niewątpliwie pismu temu ruchliwości; zbyt ono było sztywne i poważne, pomieszczało długie stosunkowo do ram swoich rozprawy. Kto atoli chce zasięgnąć dokładnych wiadomości o ruchu naukowym w uniwersytecie wileńskim; kto chce poznać dostępne dla szerszego ogółu prace uczonych ówczesnych; kto chce praktycznie, z własnego czytania, odtworzyć sobie stan pojęć i wymagań estetycznych w zakresie literatury pięknéj przed wystąpieniem Mickiewicza; ten znajdzie wielce pouczający w tym względzie materyał na kartach „Dziennika Wileńskiego.“ O teatrze tylko nic się z niego nie dowie.

Ten właśnie brak wypełnia po części czasopismo młodsze od „Dziennika Wileńskiego“ o 10 miesięcy, założone w listopadzie r. 1815 przez młodego docenta uniwersytetu, znakomitego późniéj historyka Joachima Lelewela p. n. „Tygodnik Wileński.“ Pismem tém sam założyciel kierował niedługo; objął je następnie pod ster swój wspomniany dopiero co poeta Ignacy Szydłowski. Różniło się ono stanowczo od „Dziennika“ tém, że oprócz jednego artykułu dłuższego, mianowicie w początku, kiedy Lelewel swoje poszukiwania w organie tym ogłaszał, znajdowało się w niém same króciutkie, nieraz kartkowe lub nawet stronicowe artykuliki, które na ciekawość lub wyobraźnię były obrachowane. Zasady bezstronności, to jest pomieszczania przeciwnych sobie artykułów przestrzegano i w „Tygodniku“; a miała w nim ona ten znamienny odcień, że najczęściéj przeciwko saméj redakcyi nadsyłano krytyki. Dotyczyły one rzeczy najrozmaitszych: doboru artykułów, ich objętości, ich wartości, ich stylu i języka a nawet ich ortografii. Tu wiedziono spory o sposób pisania Lelewela, tu rozprawiano o teatrze i aktorach z najodmienniejszych punktów widzenia, tu rozwodzono się nad użyciem *joty*. Redakcya od czasu do czasu starała się oryentować czytelników w kwestyach spornych i odpierać pociski na siebie we własném piśmie rzucane. Z takiego sposobu redagowania wynikło, że pismo nie podawało wprawdzie dużo materyału naukowego, ale było niezmiernie ruchliwe i odbijało w sobie najdrobniejsze nawet sprzeczności w wyobrażeniach ówczesnéj inteligencyi. Dla poznania szczegółów i szczególików dotyczących zapatrywania się ukształconego ogółu, tak w mieście jak na wsi, na różne kwestye literackie i społeczne „Tygodnik Wileński“ będzie zawsze wielce pożytecznym. Jest on interesującym jeszcze i z tego względu, że w nim pojawiły się pierwsze drukowane utwory Mickiewicza: „Zima wiejska,“ „Żywila,“ „Karyla“.

Bądź-co-bądź, wsprawie stosunku liberalności do obskurantyzmu przez pierwsze dwa lata oba pisma zachowywały się przedmiotowo;

pomieszczały artykuły przejęte duchem „wieku oświeconego,“ ale dawały też miejsce albo obojętnym albo nawet wstecznym. Dopiero, kiedy „Wiadomości Brukowe“ z luźnego, chwilowemi okolicznościami wywołanego pisemka (w r. 1816 numerków 4 (1) przemieniły się na stały organ „Towarzystwa Szubrawców“, w skład którego weszli ludzie znani z zacności, nauki i talentu, a lubiący biczem satyry i uszczypliwéj krytyki chłostać wszelką zdrożność i fałsz wszelki; dopiero gdy te „Wiadomości Brukowe“ bez ogródki weszły w ślady „Świstka krytycznego“ i z całą właściwą sobie werwą a nawet rubasznością piętnowały złe, jakie widziały, bez względu na osoby i stany, a więc i bez względu na suknię duchowną: dopiero wtedy zarówno „Dziennik Wileński“ jak i „Tygodnik“ wystąpiły czynnie do walki z objawami reakcyi.

Dnia 10 stycznia 1817 r. wyszedł numer „Wiadomości Brukowych,“ w którym znajdowało się ogłoszenie o peryodyczném wychodzeniu nadal tego czasopisma wydawanego przez „Towarzystwo wielkich i małych DD dd—towarzystwo najdawniejsze na świecie, pisma bowiem jeszcze nie było a ono już słynęło, towarzystwo, które nigdy nie ustanie, piasek bowiem nie ma liczby, jak mówi poeta, a któż wielkich i małych DD dd policzy?...“ Ten ironiczny ton ogłoszenia miał się stać panującym w całém czasopiśmie, które co tydzień w sobotę przez lat sześć blisko starało się tępić śmieszności towarzyskie i zdrożności społeczne.

W numerze 7 tych „Wiadomości Brukowych“ znajdujemy już rzecz o „Akademii Drybińskiéj“ na Białéj Rusi, zostającéj pod przewodnictwem „znakomitego w ćwiczeniu talentów niedźwiedzich i niedźwiednickich Taratynki.“ Podano tu także napis, jakoby na domie poety znajdujący się, a będący niewątpliwie aluzyą do Muśnickiego, o którym wtedy mówić zaczęto z powodu recenzyi Styczyńskiego. Napis ten brzmiał:

> Poeta żył w téj stodole,
> Nie sprzyjał mu los ni Muzy;
> Wiersze jego zjadły mole,
> A dom zburzyli Francuzy.

W numerze 28 czytamy wiersz niby—Baki zaznaczający wyłudzanie grosza przez „świętych próżniaków“ pod pozorem nabożeń-

---

(1) Nawiasowo wspomnieć wszakże wypada, że już w 3 numerku „Wiadomości Brukowych“ (z datą 16 grudnia 1816) znajduje się przychylna „Świstkowi“ z *Pamiętnika Warszawskiego* rozmowa o Akademii Smorgońskiéj; jakoby w winiarni pana Gierszona Mowszowicza prowadzona, z tendencyą wyraźnie zaznaczoną przez dewizę: *Les ours, tout ours qu'ils sont, sont bien moins ours que nous.*

stwa, ten sam zatém rys, który w XVI jeszcze stuleciu zaostrzył pióro Reja w „Krótkiéj rozprawie między panem wójtem i plebanem“ i pióro Klonowicza w jednym z epizodów „Worka Judaszowego.“ Wiersz ten uczy, że dobrych intencyj dla kościoła nigdy odkładać nie należy:

Mój Cześniku,
Lecz grzeszniku,
Klasztorowi zaraz daj.
Pomnij przecie,
W tamtym świecie
By nie było aj, aj, aj!
Zważcie sobie,
Gdy nie w grobie,
Póki zdrowa
Jeszcze głowa,
Gdy wraz dacie księżom chleb,
Taki piekłu będzie sęk,
Że już djabeł, gdyby pęk,(!)
Figle jego wezmą w łeb,
Wszak widzicie,
Jakie życie
Wiodą grzeszni cały wiek:
Znoszą kary
I ofiary,
Jakby nie miał umrzéć człek,
Lecą w piekło takich pułki,
Bies ich łyka jak gomółki...
Owo, owo
Białogłowo,
Chcesz uniknąć wiecznych mąk,
Użyć trzeba
Darów nieba,
To jest: oddać nam do rąk.

Takim i tym podobnym głosom przeciwko ciemnocie, głupocie i obłudzie wtórował Ignacy Szydłowski, pisząc w „Dzienniku Wileńskim“ (r. 1817, tom I) apolog o „Fortunie.“ Wieszcz goły i głodny rozpowiada wobec tłumu przyczyny powodzenia podłych i głupich: Za Saturna wszystko było dobrze; lecz gdy Jowisz powierzył rządy Fortunie, ludzie, łaskami jéj zaślepieni, odbiegli od ołtarza Jowiszowego; bożek skarał Fortunę ślepotą; a wtedy do jéj boku przystały „dwie potwory: podłość i głupota:“

Głupiemu Piękność się śmieje,
Podły uiszcza nadzieje.
Każdy, niech co chce, to dopnie
Ładują złotem szkatuły
Zasiadają radne ławy
Biorą mitry i infuły,
Krzyże, wstęgi i buławy,
A nawet uczone stopnie...

Leon Borowski znowuż, wykładający już wtedy literaturę polską w uniwersytecie, ze swéj strony przyczyniał się do należytego napiętnowania „głupstwa wielebnego“, ogłaszając swoje „Uwagi nad Monachomachią Krasickiego“ („Dzien. Wil.“ 1818, II, str. 284-299; 471—486), która w r. 1816 wyszła była w nowém wydaniu. Ażeby zrozumiéć znaczenie zarówno téj nowéj edycyi jak i komentarza do Monachomachii, potrzeba pamiętać, że poemat ten żartobliwy starało się już wtedy fanatyczne duchowieństwo zohydzić, nazywając go gorszącym i bezbożnym, a jeden z najotwartszych żarliwców ks. Karol Surowiecki usiłował zaprzeczyć autorstwa Monachomachii Kra-

sickiemu, chcąc tym sposobem usunąć niedogodną okoliczność, że z „przewielebnych“ ale głupich śmiał się głośno dostojnik kościoła, biskup szanowany i wielbiony w całéj Polsce. Wobec takiego nastroju wśród obskurantów nabiera wielkiéj doniosłości wznowienie wydania Monachomachii a jeszcze bardziéj rozbiór tego utworu, opatrzony szczegółowemi objaśnieniami, które między innemi miały na celu dowieść, że słowa Krasickiego wymierzone przeciw głupocie, fałszywéj erudycyi, ospalstwu i opilstwu zakonników nie były czczemi frazesami, ale opierały się na faktach. Jest-to wyborny oręż przeciw fanatyzmowi, wyborny dlatego mianowicie, że nim sam duchowny się posługiwał. Że takie miały znaczenie „Uwagi“ Borowskiego i że je tak zrozumiano, dowodzi najlepiéj fakt przerwania téj pracy. Borowski niewątpliwie zamierzał wykończyć objaśnienia do wszystkich pieśni Monachomachii; wskazuje to napis, a niemniéj i wstęp do komentarza. Tymczasem skończyło się tylko na pieśni pierwszéj. Widocznie nie było już rzeczą łatwą i bezpieczną przeprowadzić całość.

Nie dziw; siły reakcyi wzmagały się z każdym rokiem. Jezuici połoccy zamierzyli wydawać czasopismo, któreby szerzyło ich poglądy, reklamowało ich szkoły i służyło za organ do odpierania zarzutów, jakie ich spotykały i spotykać mogły ze strony liberalnych. Dotychczas szukali przytułku w pismach już wychodzących, a że to niezawsze było dogodném, założyli „Miesięcznik Połocki“, który wychodził przez cały rok 1818 i utworzył niewielkie trzy tomiki (1). Jak z przyczyn założenia nowego organu widać, musiał „Miesięcznik Połocki“ miéć przedewszystkiém charakter stronniczy: usprawiedliwianie i uwielbianie tego, co zakon jezuicki robił i robi, walka zarówno z rzeczywistemi nieprzyjaciołmi kościoła lub duchowieństwa jak i z ich widmami, ściganie wszelkich myśli a nawet wyrażeń nieprawowiernych, dowodzenie możliwości cudów i szerokie opisy tych, jakie naówczas pisma fanatyczne rozgłaszały (2): oto główne przedmioty, które w organie jezuitów połockich były uwzględniane. Artykułów naukowych, z miłości nauki powstałych, poezyj pięknych dla saméj poezyi znajdujemy tu niewiele; tendencyjność jest cechą główną tego, co się w „Miesięczniku Połockim“ drukowało. Gdybyż

(1) P. Estreicher w „Bibliografii polskiéj XIX stulecia“ podaje, że wskrzeszonego „Miesięcznika“ w r. 1820 wyszło dwa zeszyty; ja znam jeden tylko, ze stycznia.

(2) Zob. w „Miesięczniku Połockim“ (t. III, str. 15—25, 140—149, 190—202, 300—312) obszerną „Wiadomość o dziwnych zjawieniach, które miał Tomasz Ignacy Marcin, od Konstantego Zebrowskiego ucznia połockiéj akademii tłómaczoną z dziełka wydanego w Paryżu 1817 roku.“

przynajmniéj był talent słowa! Niestety, po dokładném przeczytaniu lub przejrzeniu trzech tomików muszę powiedzićć, że nie ma ani jednego artykułu odznaczonego wyższą zdolnością; są niekiedy rzeczy rozsądne, są zdania słuszne, ale wszędzie panuje mierność i mierność tylko. Ani żywości, ani dowcipu, ani głębokości myśli znaleść niepodobna; powszedniość jest udziałem wszystkich tu piszących autorów, zwykle bezimiennych albo zaznaczonych dwiema literami.

Kto był redaktorem „Miesięcznika Połockiego," nie wiemy, ale rzecz to małéj wagi; niewątpliwie każdy, co miał jakikolwiek pociąg do pióra w zakonie jezuickim, należał albo do redakcyi albo do spółpracowników. Cenzorem był jezuita; możnaby więc powiedzićć, że cenzor ten był téż i redaktorem. Nazwisko jego: Józef Cytowicz, doktór teologii, profesor i członek komitetu cenzury. Idealem redakcyi był dziennik wydawany w zeszłém stuleciu przez jezuitów francuskich p. n. *Journal de Trevoux*. Wyliczając składowe części „*Miesięcznika*" powiada redakcya wyraźnie, że w dziale historyi prostować będzie błędy historyczne, te zwłaszcza „które albo uwłaczają świętobliwości religii i obyczajów, albo sławę narodową umniejszyć mogą." Obrony „sławy narodowéj" nie znajdujemy wprawdzie, ale natomiast spotykamy polemiki już-to z „Dziennikiem Wileńskim" o przyczynach prześladowania chrześcijan w cesarstwie japońskiém (I, 201—216), już-to z „Tygodnikiem Wileńskim" dowodzące, że zakon Templaryuszów słusznie został zniesiony (III, 1—14), już téż z księdzem pijarem Kotowskim, tłómaczem malutkiego podręcznika Historyi Powszechnéj Szreka, wykazujące, że w tém dziełku są wyrażenia i poglądy niezgodne z duchem katolicyzmu itp.

W innych działach choć „Miesięcznik" nie zapowiedział dążności swoich tak wyraźnie jak co do historyi, ale je natomiast przeprowadzał praktycznie. Zaraz w pierwszym zeszycie pomieścił wiersz przysłany jakoby do redakcyi przez *A. C.* który radził między innemi, ażeby „Miesięcznik" nie zapierał się swego zakonnego charakteru:

> Wie każdy, co jest klasztor i co są zakony,
> Kto niesłusznym przesądem nie jest zarażony...
> Mają włóczęgi miejsce, kostery, trzpiotowie,
> Szalbierze, rozpustnicy, zdrajcy, bezwiarkowie,
> A nie mogą się całe przed wami wysiedzićć,
> Co zbawienia pilnując nie chcą o was wiedzićć.
> Ganić zakony jest-to potępiać zuchwale,
> Tylu mądrych monarchów co je (!) bronią stale...
> Po co wam do zakonów? raczéjby zakony
> Ochraniać wam przystało i stan ich zelżony.

Autor czuje pod zakonami grunt stały: zawsze ma na pamięci względy sfer rządzących. Chcecie chyba—powiada do liberałów—żeby żadnego zakonu nie było...

> Wierzę, wam o to idzie. Próżno pracujecie,
> Monarchowie *wasz wyrok* (!) nie podpiszą przecie.

Dodaje jednak z bólem, że nie ma teraz nic świętego, że bezbożne żarty na wszystko się ciskają:

> Teraz wiek jest wesoły, nie cierpi pisarzy,
> Którym się prawie zawsze Kato w głowie marzy.
> Może poeta bawić; lecz Boga i cnoty
> Niech nie tyka, z niezmiernéj bawienia ochoty.
> Wprzód błaznów dla rozrywki chowali panowie,
> Aż ich miejsce niektórzy wzięli poetowie,
> Dla błazeństwa jednego rzucając pod nogi
> Uczciwość, wstyd i Boga i cnoty skarb drogi,
> Dla dowcipnego żartu każąc obyczaje.

Nie zalicza wszelako do téj kategoryi jednego z pisarzów „Wiadomości Brukowych“, który „na łopacie“ niedawno się wprawdzie pojawił, ale wiele już zwiedził świata. Poczciwy-to człowiek—powiada o nim...

> Występkom nie przebacza, a cnocie życzliwy,
> Razem téż z nim latając niekiedy po świecie,
> Łacniéj sobie przyjaciół pewnych obierzecie.

Jest-to rys znamienny to zjednywanie przeciwnika, najniebezpieczniejszego z powodu ostréj broni dowcipu.

W „Odpowiedzi Miesięcznika“ na ten wiersz przyznaje redakcya, że celem jéj jest między innemi i krytyka niedowiarków; a używając zwykłego manewru, w imię swobody mówienia i pisania, domaga się miejsca dla siebie w piśmiennictwie. Mówi więc do liberalnego:

> ....Ponieważ żąda wolności pisania,
> Niech wolnego pozwoli drugim wzajem zdania,
> To równe prawo: czego chcemy, by nam inni
> Nie bronili, aniśmy im bronić powinni.

Były-to jednak dopiéro tyralierskie potyczki; walka z ówczesnemi pojęciami liberalnemi rozpoczęła się w artykułach obszerniejszych zarówno oryginalnych jak tłómaczonych, w których usiłowano wykazać, że zarówno wychowanie wogóle, jak nauka i filozofia, duchem świeckim przejęte, prowadzą wprost do zepsucia.

Ks. J. R. w „Uwagach nad wychowywaniem młodzieży“ dążył do wykazania wyższości szkół duchownych nad świeckiemi tak pod względem wpajania zasad religii i moralności jak i pod względem nauk, przyczém nie zaniedbał dodać, że dawna pamięciowa metoda uczenia lepszą była nad dzisiejszą, rozumową. Nowości wychowawcze—powiada — wprowadzać zaczęto przed sześćdziesięciu laty (t. j. mniéj więcéj od Roussa począwszy); od tego też czasu postrzegać się daje, zdaniem naszego autora, gwałtowny upadek nauk. „Przed naszym oświeconym wiekiem był pewny plan wychowania, a ten nader doskonały, ponieważ tak wielu godnych podziwienia mężów wydał. Oto uwaga prosta, ale zdolna z gruntu obalić wszystkie nasze nowe tyczące się wychowania budowy.“ Jeśli więc nauki wskrzesić a na dawnym doskonałości stopniu postawić usiłujemy; nie o nowych układach myśléć, ale do dawnego powrócić wypada. „Płochość-to jest bowiem nader szkodliwa z drogi utartéj, która tylu już do zamierzonego kresu szczęśliwie doprowadziła, zboczyć, a inną, całkiem nieznajomą, bez przewodnika puścić się i drugich gwałtem za sobą ciągnąć.... Jan Jakób Rousseau, w naszym też, na nieszczęście, kraju nazbyt znajomy pisarz, pierwszy do téj śmiesznéj a szkodliwéj płochości drogę ukazał. Ileż-to ojców, ile matek uniesionych zapałem ku jego nauce, po smutném doświadczeniu, przekonało się, że dobry plan wychowania nie może być owocem bystrego dowcipu, ale koniecznie być powinien skutkiem rozsądku, uwagi i doświadczenia. W ślady *Roussona* tłumem poszli ostatnich czasów pisarze, tak iż nie ma materyi, w któréjby więcéj teraz dzieł wychodziło.“ Ksiądz J. R. mniema, że wynalazcy nowych planów albo zgoła celu wychowania nie znają, albo przynajmniéj środków skutecznie do niego wiodących nie są świadomi. I jakiż-to cel według księdza J. R.? Oto ni mniéj ni więcéj tylko „ukształcić obywatelów społeczności użytecznych i *sposobnych do sprawowania dobrze urzędów, na których z czasem mogą być postawieni.*“ Wyborny cel, doskonale znamionujący chińskie pojęcia obskuranta, który w społeczeństwie chciałby widziéć w pewien sposób ukształconych urzędników i ślepo posłuszną masę bez ukształcenia... Do przeprowadzenia tego celu najskuteczniejszym środkiem jest—zdaniem księdza J. R.—religia, ale jaka? oto ta, którą najlepiéj poznajemy „przez praktykę i przepisów ustawiczne używanie;“ a zatém formułki obrzędowe, machinalnie spełniane. Słowa „ludzkość, liberalność, uczciwość, dobroczynność nie mają znaczenia bez religii“ — ciągnie daléj ks. J. R. a my wiedząc, co to jest religia w jego pojęciu, uśmiechnąć się musimy z jego naiwności czy też przebiegłości. Ale pomijając już nawet stronę religijną i obyczajową wychowania, dawniéj—we-

dług ks. J. R. — nawet w naukach lepiéj się ćwiczono; przy uczeniu się łaciny więcéj poznawano historyi, geografii, starożytności. mitologii niż dziś na osobnych lekcyach i przy· osobnych nauczycielach. I tu robi podjazdową wycieczkę przeciwko Janowi Śniadeckiemu i Feliksowi Bentkowskiemu, z których pierwszy w „Życiu Kołłątaja“ a drugi w „Historyi literatury“ o wychowaniu zakonném niekorzystne wyraził zdanie. A pragnąc w zupełności twierdzenia te obalić, wskazuje przykłady szkół ówczesnych, naturalnie znów nie pod względem nauki ale „religii“ według powyższego określenia. Dziś—powiada—i tacy nauczyciele się zdarzają, „którzy publicznie obojętności a nawet i wzgardy religii śmieją nauczać, a przykładem życia zarazą powierzonéj sobie młodzi bywają. Niech tego nikt za potwarz nie bierze; mogę bowiem mnóstwo bezbożnych i rozwięzłych dzieł przed światem ogłoszonych wzmiankować, które z pod pióra takowych nauczycielów wyszły i niewątpliwe przeciwko nim dają świadectwo. Ci nawet, którzy religią w sercu i pismach poważają, nie sądzą się ku temu być upoważnieni, aby jéj zasady i prawidła uczniom swym porządnie i stale mogli wykładać, albo téż nie mają tyle gorliwości, żeby w tém mieli sobie trudność zadawać.... Nieraz to się przydarzy, że inni nauczyciele przeczyć będą temu, czego się dzieci od swego nauczyły kapelana: owszem i w pośmiewisko obrócą najświętsze wiary tajemnice. Często téż i książki, które tacy nauczyciele uczniom swym w ręce dają, zarażone są niebezpiecznemi zdańmi i tym sposobem dzieci z umiejętnościami razem téż bezbożności uczyć się muszą.“ Stąd wyprowadza autor wniosek, który zawierał w sobie cichy projekt odebrania szkół ludziom świeckim a oddania ich zakonnikom: „Jako więc to wątpliwości nie podlega, że religia jest podporą państw i związkiem towarzyskiego życia; tak i to niewątpliwa, że wychowanie teraźniejsze zaniedbujące religii dla obojga szkodliwém być musi“ (I, 191). Czyż-to nie denuncyacya szkół zostających pod zarządem Uniwersytetu wileńskiego?... Nie poprzestając na potępieniu atmosfery religijno-obyczajowéj w szkołach ówczesnych, autor usiłuje nadto poddać krytyce plan naukowy w nich panujący, który był rozwinięciem Ustaw Komisyi Edukacyjnéj. Krytyki téj dokonywa na podstawie ciasnego utylitaryzmu: „W bardzo wielu *stanach* i *urzędach* — powiada — żadnéj nie można miéć korzyści z niektórych umiejętności, co teraz czas wychowaniu poświęcony zwykły zajmować; możeż bowiem *botanika* użyteczniejszym *żołnierza* dla swéj ojczyzny uczynić? *prawnik* też w jakiéj okoliczności onéj użyje? *urzędnik krajowy* będzież przez nią usposobionym do lepszego swych obowiązków sprawowania? Tak więc czas, który się na podobne łoży umiejęt-

ności, dla większéj części uczniów jest straconym" (I, 242)· Zdanie powszechnie u nas od czasów Komisyi Edukacyjnéj przyjęte, iż w szkołach uczyć należy tylko początkowych zasad umiejętności, nie znajduje w księdzu J. R. zwolennika, gdyż zdaniem jego „istotne poznanie zasad przechodzi siły młodzieży i czas łożony na naukę." I tak „sucha i zawiła nauka matematyki wyższą jest nad dzieci pojęcie, przynajmniéj do 14 roku ich wieku: chcieć przed czasem tą nauką zaprzątać jest-to dręczyć żywe i do głębokiéj uwagi nieprzyzwyczajone dziecinne umysły a tém saméni niechęć w nich ku naukom wzniecać." Ażeby należycie ocenić to mniemanie, potrzeba wiedzieć, że wówczas w sferach obskurantów naukę matematyki zaczęto uważać za szkodliwą religii i moralności (1). A ponieważ w ówczesnych szkołach tak samo jak w uniwersytecie nauki matematyczne i przyrodnicze bardzo wydatne zajmowały miejsce, naturalnym był wniosek, że oddziaływały na młodzież szkodliwie. Jakoż autor wypowiada to potępiające zdanie bez ogródki: „Nowe plany wychowania czynią młodzieńców w sądzeniu o rzeczach nieuważnemi i zuchwałemi. Żeby się o tém przekonać, nie trzeba innego dowodu, jak tylko zwrócić na to uwagę, co się w pospolitém życiu często przydarza. Cóż bowiem powszechniejszego jak widzieć ludzi, którzy o rzeczach zgoła sobie nieznajomych śmieją rozprawiać, zuchwale o wszystkiém dają wyroki i za zaszczyt sobie poczytują, słuchaczów swych lub czytelników nierozsądnemi razić zdaniami" (II, 14).—Poetyczną ilustracyą tych narzekań była satyra napisana przez A. C. (II, 163—171) p. n. „Wychowanie dzieci," brzmiąca pochwałami dla starych dobrych czasów, a wyklinająca obecność: „Nie wie Jaś, kto go stworzył i krąg nad nim świata: Pacierzem i świętemi swawolnie pomiata, Śmieje się, o przewrotność! z przeważnéj ofiary, Istotną ma powinność za gusła i mary..." A nadto.... „zna i Cyrusa zna i Koloandra, A nie zna, wstyd! Monarchy swego, Aleksandra!..."

Jak „Uwagi nad wychowaniem młodzieży" wymierzone były przeciwko ówczesnym szkołom, tak rozprawa o „Herodocie i Dyodorze Sycylijskim" przez J. R. S. nastawała na budzącego się ducha krytyki dziejowéj wśród naszéj inteligencyi. Autor usiłuje dowieść, że Mojżesz jest najdawniejszym dziejopisem, że Herodot i Dyodor bajki pletli. Mojżesz — według J. R. S. — opowiada to, na co sam patrzył lub co wyczerpnął ze źródeł wszystkim znajomych, pewnych

(1) Proszę odczytać co do tego spory prowadzone w „Pamiętniku Warszawskim" (t. V, 483; t. VI, 221 i dalsze): Listy do redakcyi z powodu nadesłanéj bezimiennie rozprawy o szkodliwym wpływie nauk matematycznych na naukę religii.

i autentycznych; opowiada rzeczy jawne i wszystkich obchodzące, których albo świadkowie jeszcze żyją albo że o nich ustne podanie jest ciągłe i wiernie dochowane; przywodzi i takie rzeczy, które nie tylko nie czynią zalety narodowi, którego dzieje opisuje, lecz nadto hańbią całe pokolenie, w obliczu którego je pisał „aczby owym rzeczom łatwo było zaprzeczyć, jeśliby nie były prawdziwe;“ przedstawia sprawy, które samemuż pisarzowi nie przynoszą chwały, o których zaś, byleby chciał. mógł zamilczéć. Mojżesz dał dowody „dziwne i nadzwyczajne głębokiéj nauki, mądrości, roztropności i rzetelności; jest osobą wielkiego znaczenia, jest rządcą, wybawicielem i prawodawcą narodu, którego historyą opisał.“ „Jego historya wraz po śmierci dziejopiscy, gdy jeszcze żyła wielka liczba świadków główniejszych spraw i wydarzeń, które się w niéj wzmiankują, od wszystkich była czytaną, rozgłaszaną, przepisywaną, była w ręku tych, których najbardziéj obchodziła, była od wszystkich przyjętą, pochwaloną, uznaną za prawdziwą, wierną, dokładną, wolną od najmniejszego podejrzenia i nagany, z największém staraniem, czcią i samym tylko boskim księgom powinném uszanowaniem od pokolenia do pokolenia zachowywaną była“ (II, 219—253). Wszystkie te wywody, które wobec dzisiejszych wyników krytycznych, błahemi wydać się nam muszą, wówczas dla znacznéj liczby czytelników mogły być nader przekonywającemi i obudzać wątpliwość co do wartości poszukiwań dziejowych, opartych nie na „Mojżeszu.“

Najczęściéj atoli, zarówno w przygodnych wzmiankach jak i w osobnych artykułach, usiłował „Miesięcznik Połocki“ zohydzić filozofią francuską XVIII w., która, jak wiadomo, miała u nas najwięcéj zwolenników, w głównych zaś zarysach była nawet wykładana w szkołach, według Logiki Condillaca. A ponieważ naszym ojcom duchownym zbywało na dowcipie, używali towaru zagranicznego, posiłkowali się konceptami reakcyjnych dzienników francuskich. Pomieścili więc w „Miesięczniku“ najprzód „List pewnego ateusza pisany do teofilantropa,“ w którym ironicznie przedstawiano zasady etyki jednego i drugiego w tych słowach: „wszystko to jest cnotą, co może utrzymać bytność człowieka i *jego* wydoskonalić... utrzymanie bytności jest doskonałością, doskonałość jest w równowadze z namiętnością, równowaga namiętności jest w równowadze humorów,“ czyli inaczéj „między nami mówiąc, przyjść do doskonałości znaczy pięknie się w kompanii zachować.“ To znów drukowano „Przestrogi religijno-polityczne od pewnego wielkiego filozofa dane swojemu uczniowi,“ w których szyderczo a wykrętnie streszczono pogląd na cele życia: „Co to jest człowiek?“ — pyta się ten „wielki filozof“ i zaraz odpowiada: „Jest-to zwierzę, które wy-

szło z ziemi nakształt grzybów, które długo czołgało się po błocie, pływało w wodzie, latało po powietrzu; jest to roślina, jest to wąż, jest to niedźwiedź, jest to sęp, które jednak zwierzę może być filozofem. — Czém się człowiek różni od innych zwierząt? Tylko kątem policzkowym podług nowych filozofów albo kształtem rąk podług Helwecyusza. — Jak można zostać filozofem? Zcieśniając stopień kąta policzkowego i nadając *rękom ruchawość* w każdém zdarzeniu.—W jakiéj części ciała zakładają filozofowie władzę myślenia? W niższym żołądku, który jest pewném siedliskiem rozumu i czucia.—Cóż trzymać o tolerancyi? Z niéj się najbardziéj zalecać mamy; a lubo sami przeciw religii będziemy powstawać; jeśliby kto jednak jéj chciał bronić, udamy go, że tolerancyą znosi.“ A przechodząc z tego ironicznego tonu do poważnego, rzuca takie określenie dążności filozofów: „Filozofia zaleca powstawać przeciw swym gnębicielom, zrywać więzy, które go krępują, całego rozumu zażywać *przeciw ustawom towarzyskim* i wszelkiemi sposobami szukać szczęścia, które mu przyrodzenie wskazuje; a jeśliby w całém przyrodzeniu nie znalazł pomocy, wówczas filozofia radzi takiemu wrócić się do pierwszegp *jego* bytu“ t. j. zostać zwierzęciem. — Gdzieindziéj pomieszczono list „o przyczynach i skutkach niedowiarstwa,“ w którym autor starał się dowieść przykładem własnego jakoby życia, że pierwszą pobudką do niedowiarstwa jest życie rozwiązłe i że rozum na nic się nie zda. Chcąc swobodnie używać uciech — powiada — „zacząłem siebie wprawować w wątpliwości, czy czasem owe pogróżki i obietnice, któremi mię za młodu w pobożności utrzymywano, nie były szczerym wymysłem i bajką. Towarzysze pomogli mi radzi do tego, abym się umocnił w nowo przedsięwziętém życia prawidle: zaczęli mię wodzić na schadzki, w których tego, com tylko pod wątpliwością do głowy przypuścił, jako niezawodnéj prawdy nauczano, dostarczali też mi książek, przez które w moim sposobie myślenia mocno utwierdzony zostałem i tak prędko prawidła téj szkoły pojąłem, iż po kilku miesiącach mistrzem mię w niéj ogłoszono...“ Ale pod koniec życia, które „z powodu przytępienia zmysłów staje mi się nieznośném, widzę już jawnie, że rozum ze wszystkiemi pomocami, których mi biblioteka i nauczyciele moi dostarczali, nie mógł mię dostatecznie oświecić, ani życia mego należycie urządzić: cała moc jego w tém była, *że mię zręcznie uwodził*, lecz i to tylko do czasu, bo teraz kiedy najbardziéj wsparcia potrzebuję, żadnéj odeń pomocy otrzymać nie mogę. Któż te szkody naprawić potrafi, które mi zwodnicze jego światło zadało?“

Rzecz naturalna, że „Miesięcznik Połocki“ wzdycha do tych czasów, kiedy filozofia była pokorną „służebnicą teologii,“ i piorunuje na ten „nieszczęśliwy wiek XVIII,“ co „tak piękny rzeczy porządek wywrócił a filozofią,slusznie dawniéj matką wszystkich umiejętności zwaną, w matkę bezbożności przeistoczył; wydawszy takich ludzi, którzy jedną ręką ołtarze a drugą trony burząc, naukę swą, do podobnych okropności wiodącą, filozofią przezwali.“ „Poszło za tém—prawi daléj obskurant wojujący zarzutami, które w sferach rządzących łatwo posłuch znaleść mogły — poszło za tém, że im kto zuchwaléj bluźnił Bogu, im śmieléj na trony i wszelką porządną władzę powstawał, tém za większego filozofa uchodził; z taką tedy filozofią religia, ucząca oddawać Bogu, co jest boskiego a cesarzowi co cesarskiego, zachować się w pokoju żadną miarą nie mogła.“ Jednakże o pokój dbając, stawiała filozofii warunki zgody, które „Miesięcznik Połocki“ z francuskich czasopism tłomaczy. Z jedenastu artykułów, składających traktat pokoju, przytaczam kilka charakterystycznych, dowodzących, że zdaniem obskurantów filozofia wtedy tylko istnieć może, kiedy przestanie być sobą.

Artykuł 2-gi opiewa: „Filozofia uroczyście przyrzeka, że odtąd nie będzie tak dumna, zuchwała i dogmatyczna, jak była dotąd, ale zostanie wiekuiście w granicach skromności i da się zupełnie przekonać, że zuchwałość (1) nie jest nauką.“

Artykuł 3. Porzuci na zawsze dziwaczną metafizykę, któréj się dotychczas trzymała, ani téż będzie zaciekać się w samych tylko opisaniach i myślach zawiłych, od rzeczy nader oddalonych, z których albo wyjść jak z labiryntu nie może, albo wychodzi z wielką swą hańbą, a większém niekiedy dla drugich zgorszeniem. Zaniecha tworzenia nowych światów i nigdy nie powie, że podług zodyaku odkrytego w Egipcie świat już stoi przeszło piętnaście tysięcy lat... W artykule 8-ym zrobiono wszakże ustępstwo na rzecz metafizyki, którą wolno będzie filozofom dla własnego pożytku „bawić się“ tak samo jak astronomią, chemią, matematyką i t. d., „nie wolno jednak temi naukami zajmować wieśniaków, którzyby nie wiedzieli, co z niemi robić, a których, jeśli rzucą rolę i pług, krom wątpienia ani ryby, ani baran, ani byk niebieski nie będą mogły nakarmić.“

Artykuł 4. Filozofia „przestanie cześć boską oddawać naturze i rozumowi, wyrzecze się niedowiarstwa czyli ateizmu (2) i równie też innych grubych i nader szkodliwych błędów; nie będzie nazy-

---

(1) *Zuchwałość*—w mniemaniu obskurantów; *niezależność* — w mniemaniu liberalnych.

(2) Tak obskuranci nazywali wszelką chęć *swobodnego* rozbioru kwestyj najwyższych.

wać fanatykami tych, którzy chodzą na mszę i wierzą w ewangielią. A chociażby kto powstawał na ateizm albo li téż bronił zakony, tego nie będzie wolno mianować obskurantem, mizofanem, nieprzyjacielem ludzkości, nauk i liberalnych myśli.“

Artykuł 5. „Nie ma się troszczyć o to, jak rządzić należy rodzajem ludzkim i jakie potrzeba uczynić odmiany polityczne. Nie będzie w swym gabinecie stanowić praw gieometrycznych, które raczéj do łacnego machin ruszania niż do rządzenia rozumnych istot przydać się mogą. Zatém i na to przystanie, żeby tam nie używać cyrkla i węgielnicy, gdzie tylko czynnéj policyi i dobrych obyczajów potrzeba.“

Artykuł 6. „Filozofia wyzna przed świadkami, że bardzo z drogi rozsądku zboczyła, chcąc sama jedna o wszystkich rzeczach sądzić i sama jedna jak wróżka w świątnicy wszystko stanowić. Wyzna, iż jéj teorye po większéj części są śmieszne i szkodliwe. Nie będzie utrzymywać, że człowiek kiedyś był małpą albo rybą i że się różni tylko od innych zwierząt samym kątem policzkowym i wydatnością trzonowych (właściwie: szczękowych) kości.“

Znamienną-to jest rzeczą, że ówcześni wstecznicy, tak jak nieraz potém ich spadkobiercy, nie walczyli z przeciwnikami bronią dowodów, bronią rozbioru teoryj i poglądów sobie niemiłych; ale starali się zawsze wystawić te teorye i poglądy jako szkodliwe dla społeczeństwa i rządu; a w tém staraniu się na nic nie zważali: brali najskrajniejsze wybryki i podawali je jako ogólny wynik wszelkiego niezależnego wnioskowania, wyzyskiwali straszną tradycyą rewolucyi francuskiéj, usiłując wszystkie jéj okropności zrzucić na filozofią; materyalizm praktyczny, będący wynikiem grubych instynktów, żądzy używania i t. p., wystawiali jako bezpośrednie następstwo studyów nad zjawiskami i prawami przyrody... ludzi, wyznających i głoszących swobodę rozbioru i krytyki, denuncyowali jako niebezpiecznych dla państwa. Takie postępowanie wolno napiętnować nazwą niemoralnego; sprzeciwiało się ono podnoszonéj przez obskurantów ale nie wykonywanéj zasadzie miłości bliźniego, sprzeciwiało się również prawdzie, któréj oni jedynemi piastunami i szafarzami się mienili.

Te i tym podobne objawy spowodowały Jana Śniadeckiego do napisania rozprawy: „O filozofii,“ będącéj apologią téj „nauk mistrzyni.“ Czytał on ją w kwietniu 1819 roku na sesyi literackiéj uniwersytetu wileńskiego a następnie wydrukował w majowym zeszycie „Dziennika Wileńskiego.“ Rozbiera w niéj i zbija zarzuty statystów „powierzchownych.“ którzy filozofii przypisywali „początek i okropności rewolucyi francuskiéj,“ oraz teologów, którzy jéj

przypisują „całą naukę bezbożności, wyszukują skrzętnie irreligii tam, gdzie jéj niémasz; nicują mowy i pisma nawet te, których nie rozumieją; wpajają publiczności podejrzenie na uczonych i na najznakomitszych pisarzy; zgoła *szkalują pobożnie* ludzi i nauki; i nibyto wielki czynią religii zaszczyt i przysługę, wmawiając niebacznie w publiczność, że ten dar niebieski, to boskie prawidło sumienia i życia jest tylko dla nieuków i głupców.“

Odpowiadając „powierzchownym“ i „fałszywym“ statystom, zwraca ich uwagę na istotne i rzeczywiste przyczyny rewolucyi francuskiéj i pyta: „Gdzież tu są skutki i występki filozofii? Jestże jéj rzeczą i siłą zatrzymać lub odmienić bieg natury ludzkiéj, jątrzone systematyczną niesprawiedliwością serca ukoić, albo uśpić rozbolałą cierpliwość? Byłoż-to winą filozofii, że najmajętniejsze klasy mieszkańców nie przykładały się do wydatków krajowych? że wygórowany przepych i zbytek jednych jątrzyły i oburzały drugich przygniecionych nędzą i uciskiem? że intrygi, obłuda i rozwiozłość wyższego duchowieństwa, zepsute obyczaje wielu zakonów osłabiały i niszczyły tę cześć dla religii, którą drudzy szanowni plebani i pasterze usiłowali wpajać swém przykładném życiem, dobroczynnemi posługami i nauką prawdziwie apostolską? Byłoż-to radą filozofii, że naród trzydziestu milionów ludzi, zamożny w dostatki, odwagę, w naukę i talenta, tkliwy na obrazę swego honoru, zamieniono na naród żołnierski, który przez swój charakter ani poniżenia ścierpieć ani w pomyślności umiarkowania znaleść nie umiał? Nazwiemyż filozofami tych naczelników zbrodni i bezbożności w rewolucyi, którzy się wyparli religii, sprawiedliwości i rozumu, żeby hańbili i uciskali własną ojczyznę i wyszli na zgorszenie i poczwary ludzkości?.... Kiedy ucisk i niesprawiedliwość w państwie dojdą do tego stopnia, że życie towarzyskie staje się nieznośnym dla człowieka ciężarem, otwiera się przepaść straszliwego przesilenia, gdzie wściekła rozpacz gardzi rozumem i w rozjuszonym zapale wszystko wywraca, niszczy i pożera. Przechód ludu z ucisku do rozpaczy i rozwiozłości zawsze był straszny i okrutny, bo to jest czas i pole rozpasanych srogich namiętności, zemsty i nienawiści, któremi się posługuje ambicya ludzi złośliwych, torujących sobie drogę do opanowania zmordowanego zbrodniami i nieszczęściami ludu. Przez podobne zaburzenia przechodziły narody wtenczas jeszcze, kiedy nie było ani książek ani filozofów, a nawet kiedy sami teologowie przewodzili i kierowali światem... Strapiona filozofia patrzy z bólem na te nieszczęścia, zbiera z nich na przyszłość zbawienne rady i przestrogi, których nikt nie słucha po skończeném tragiczném

widowisku. I dlatego ta sama kolej zaburzeń i nieszczęść wraca się i trapi państwa."

Zwracając się do teologów, Śniadecki przyznaje, że byli „ledwo nie we wszystkich wiekach pisarze i filozofowie, którzy zhańbili swoje pióro irreligią i bezbożnością;" ale zarazem pyta, czy wykroczenia niektórych dają prawo „do podejrzenia na wszystkich i do przezwiska zelżywego na całą naukę." Wszakżeż „naczelnicy sekt, kacerstw i ledwo nie wszystkich od kościoła katolickiego odszczepieństw" byli-to „teologowie; godziż się dlatego nazywać teologią nauką odszczepieństwa?" Wykazuje następnie, jak teologowie „przewodząc dawniéj we wszystkich prawie naukach i wdając się w to, co do nich nie należy, tamowali oświecenie i postęp umiejętności i wystawiali wielkich a niewinnych ludzi na srogie prześladowania," przyczém cytuje przykłady Kartezyusza, Kopernika i Galileusza, a staje gorąco w obronie d'Alemberta. „Potwarze i prześladowania ludzi uczonych—mówi daléj—zaczęli teologowie; przez co szkodzili religii, moralności i naukom. Uczeni wzięli się nakoniec do obrony: roztrząsnęli naukę teologów, oddzielili w niéj to, co jest prawdziwie boskie i religijne, od tego, co jest wymysłem i przywłaszczeniem ludzi chcących nad światem przewodzić i panować: i stąd wypadły drogie i wielkie dla religii i społeczności przysługi; ale téż stąd wyszło źródło nieubłaganéj na filozofią zawziętości. Otwórzmy dzieje kościelne: a te nas nauczą, że źli, nieuważni i zapaleni teologowie więcéj wyrządzili krzywdy kościołowi i religii, niż wszystkie pisma niedowiarków; bo tych ostatnich bezbożna nauka mogła tylko obłąkać niektórych ludzi; kiedy zwady, czcze i przesadzone w dawniejszych wiekach teologów subtelności, wciągnienie władzy kościelnéj do rządów i spraw świeckich i rosnące coraz bardziéj tejże władzy przywłaszczenia, od jéj pochlebców popierane, poodrywały od jedności kościoła całe narody i państwa... Przeczytajmy wierne dziś opisanie inkwizycyi hiszpańskiéj, a tam zobaczymy, jak ten prawdziwie piekielny trybunał zdeptał i połamał prawa Boga, towarzystwa i ludzkości, najpiękniejszy kraj Europy wyplenił z ludzi i pustkami napełnił (1). Duch filozoficzny to jest: gruntownego i bez-

---

(1) Dzieło Jana Antoniego *Llorente*, na które w tém miejscu powołuje się Śniadecki, stało się w r. 1820 przedmiotem szczegółowego sprawozdania, dokonanego przez Michała Balińskiego („Dziennik Wileński" 1820, we wszystkich 3 tomach i 1821 w tomie 1-ym). Dzieło Llorente'a, który zajmował urząd sekretarza inkwizycyi od r. 1789 do 1791, a późniéj, kiedy trybunał ten został zniesiony, miał oddane pod swój dozór wszystkie archiwa jego od ustanowienia aż do upadku, wyświeciło, według słów Balińskiego: „na jakie-to bezprawia wyuzdana swawola odważyć się może, kiedy *jeden*

stronnego roztrząsania rzeczy, duch, mówię, filozoficzny, prawdziwie chrześcijański uratował resztę Europy od podobnego sądu i od barbarzyństwa dawniejszych wieków, rozbroił srogi fanatyzm, wstrzymał wylew krwi ludzkiéj, poskromił wygórowany ascetyzm tłumiący miłość bliźniego i cnoty towarzyskie; ten-to jeszcze duch filozoficzny powściągnął lekkomyślność, wprowadził wyrozumiałość, wrócił ludzi różnie wierzących do miłości braterskiéj i oczyścił moralność ewangieliczną od tych przywar, którėmi ją zarazili *scholastycy*, *kazuiści*, *probabiliści* i ta bezecna nauka fałszu i obłudy, którą sobie wymyślili dla swéj wygody fałszywi świętoszkowie pod imieniem *restrykcyj teologicznych*.“ Ostatni ten cios był wprost wymierzony w serce jezuitów, którym wynalazek tych „restrykcyj“ powszechnie przypisywano. „Każda nauka—mówi w końcu Śniadecki—ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują, i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonalą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podlatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osławia filozofii, ale jéj się uczy, jako sobie nie tylko pomocnéj, ale nawet istotnie potrzebnéj“... Tacy tylko teologowie „umieją sprawę religii bronić i utrzymać z tą mocą i godnością, jakie przystoją prawdzie, nieskalanéj ani namiętnością ani głupstwem.... Tacy-to teologowie zasadzają majestat religii nie na samych myślach i okazałościach nabożnych, ale razem na postępkach życia i na ścisłém zachowaniu wiecznych praw sprawiedliwości... Nie ma religii, w oczach prawdziwego teologa, zdzierca i ciemiężyciel ludu, który ze złupionego od biednych familij grosza rozdaje jałmużny, klasztory uposaża, albo buduje kościoły. Niémasz bowiem obrzydliwszego w oczach czystéj religii świętokradztwa, jak pokazywać pobożność powierzchownością, a gwałcić ją postępkami przez religią zakazanemi.“

Zanim na te spokojne, ale tém silniéj działające uwagi Śniadeckiego odpowiedzieli jezuici, „Wiadomości Brukowe“ w 148 numerku (z r. 1819) pomieściły artykulik p. n. „Rozmowa, przechadzka i znowu rozmowa,“ w którym ten sam przedmiot w sposób żarto-

---

stan w narodzie, przestępując zakreślone swéj władzy granice, targa się nawet na najświętsze rzeczy zuchwale i nieprzeznaczony do rządu, wodze jego sobie przywłaszcza.“ Opowiadanie smutnych dziejów Inkwizycyi doprowadzono do śmierci Torquemady r. 1498; począwszy od drugiego ciągu w kolorycie i w wyrażeniach widać znaczne złagodnienie, brak jaskrawych przykładów. Późniejsza historya inkwizycyi ogólnikowo tylko przedstawiona.

bliwy został obrobiony. Na wieczorze u pewnéj hrabiny *l'abbé* piorunował przeciw filozofom jako sprawcom rewolucyi, która „zrównała ludzi i kazała uczyć się hrabiom.“ Autor odpierając zarzut, powiada, że tacy szarlatani jak „Mistycki, Antosiek, babulki“ są rzeczywiście szkodliwi, ale *l'abbé* staje w ich obronie, gdyż to są ludzie „natchnieni;“ obwinia natomiast Arysta, który opiera wiedzę na doświadczeniu i jest materyalistą. Autor zwraca uwagę na to, że Aryst jest najzacniejszym człowiekiem i że pragnie jedynie pożytku dla kraju; niewzruszony atoli *l'abbé* powiada, że to hipokryzya. Rozgniewany autor opuszcza *l'abbégo* mówiąc, że jeżeli szarlatani wiele zaszkodzili filozofii, więcéj wszakże zrządzili szkody ludzie, którzy z powszechnego głupstwa korzystaćby radzi. „Oni-to—powiada — chcą zwrócić nas z drogi doświadczeń a zaprowadzić do labiryntów niedocieczonych, do czego przykładają się niemało i ci, którzy niezdolni sądzić przez siebie, kierowani ślepém posłuszeństwem dla mecenasów, roznoszą *haniebne potwarze* na autorów, których nie czytali lub nie rozumieli, na akademie, które tylko znają z nazwiska, a częstokroć i na całe narody.“

W odpowiedzi na tak trafnie ujęte i scharakteryzowane sposoby postępowania obskurantów, którzy umieli korzystać z pomyślnego dla siebie wiatru w sferach wyższych, jezuici nie myśleli bynajmniéj wchodzić w jakieś tranzakcye, ale otwarcie już wypowiedzieli walkę temu kierunkowi oświaty, który u nas od czasów Komisyi Edukacyjnéj tak zbawiennie wpływał na ukształcenie ogółu. „Wznawiając wydawnictwo „Miesięcznika Połockiego“ w r. 1820, zaraz w styczniowym zeszycie odmówili stanowczo nazwiska filozofów Wolterowi, Roussowi, d'Alembertowi i t. d. a przeciwko całości spółczesnéj sobie literatury polskiéj wystąpili z zarzutem bezbożności i... nietolerancyi. Są tam dwa mianowicie artykuły zwracające na siebie uwagę. Jeden p. n. „Czy można teologów obwiniać, iż na filozofią XVIII wieku powstawali“ jest, jak z samego tytułu widać, usiłowaniem odparcia uwag Śniadeckiego. Drugi zaś „O tolerancyi“ przez F. X. S. napisany, starał się dowieść, [illegible] Bentkowski we wstępie do swéj Historyi literatury okazał się nieprzyjacielem prawdy, sprzysięgłym na krzywdę i obelgę religii, i że wraz z księdzem Kołłątajem uwziął się na zachwianie wszelkiego porządku, dobrych obyczajów i t. d. Uogólniając zaś swoje zarzuty, F. X. S. powiada: „A cóż mówić o naukach i książkach, cóż o pismach publicznych?... Są to przykłady ustawicznéj nietolerancyi....“

Czytając te oskarżenia i napaści jezuitów, trudno się nie zgodzić ze zdaniem Jana Śniadeckiego, wyrażoném cokolwiek póź-

niéj (1), że były-to usiłowania „półmędrków,“ miotających „czarne obelgi i potwarze na dostojne filozofii nazwisko,“ pragnących „zatrwożyć rządy krajowe i sumienia bojaźliwe; a podać w lekceważenie i nienawiść światło rozumu i nauki: dwa chlubne zaszczyty ludzi i narodów.“

Niedługo już wszakże mogli swobodnie w sposób ubliżający nauce odzywać się z Połocka jezuici, gdyż zakon ich dotknęło nieszczęście. Niebawem po śmierci jenerała Brzozowskiego wy z dł ukaz, podpisany 15 marca 1820 r. wydalający jezuitów z R syi. Akademia połocka przestała istnieć. Jezuici przenieśli się do Galicyi, gdzie pod opieką cesarza Franciszka a przy pomocy arcybiskupa Ankwicza rozpoczęli na nowo swoję działalność, otwierając szkołę w Tarnopolu.

Uniwersytet wileński odniósł na pozór zwycięstwo. Szkoły na Białéj Rusi przeszły pod jego zarząd. Ale on sam tracił powoli świetność dawniejszą. Pod wpływem wzmagającéj się na siłach reakcyi naukowość miała niebawem ustąpić miejsca intrygom i zawiści wśród uczonego zgromadzenia...

Prócz tego pamiętać trzeba, że ten duch obskurantyzmu, którego jezuici nie byli twórcami, lecz wyobrazicielami tylko, znajdował silną podporę w odwiecznych objawach dewocyi, bigoteryi i fanatyzmu. Książki ascetyczne i „nabożne“ roznosiły wśród ogółu nasiona zabobonów i przesądów. Tak twierdzili nie tylko „niedowiarkowie“ i liberalni, ale téż i światlejsi z pomiędzy duchowieństwa tak świeckiego jak i zakonnego. Duchowieństwo bowiem ówczesne w swoich przedstawicielach wykształconych przejęte było umiarkowanemi ideami wieku XVIII, jak je u nas rozpowszechniał biskup Krasicki. Mówiąc to, mamy na myśli głównie światłych pijarów i bazylianów; atoli i w innych zakonach znajdowały się jednostki, potępiające energicznie zarówno fanatyczne pisemka ks. Surowieckiego, jak i tak zwane „budujące“ książki przejęte duchem czysto zewnętrznéj obrzędowości. Uczony trynitarz naówczas 34-letni ks. Inocenty Seweryn Krzyszkowski wytyka spółczesnym sobie księżom to fałszywe pojęcie religii. „Wielu duchownym naszym—powiada—a najwięcéj w towarzystwa zebranym (t. j. zakonom), bardziéj się upodobały senne marzenia, fałszywe zasady i choć jakakolwiek byle gorąca żarliwość! Oddano prawie molom wielkich ojców dzieła... a stąd wynikło źródło szkody w religii i moralności, nad którą płaczemy!... Ukazały się liczne księgi, napełnione w ią zmyślonemi przykładami i powieściami udawanemi za

(1) „Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego.“ Tom IV, r. 1822, przedmowy str. VI.

prawdę, fałszywemi maksymami i obietnicami, naukami a nawet nowemi rozmaitych niewiast objawieniami... Próżno tu ktokolwiek usprawiedliwiać się zechce, że tym objawieniom nie daje się taka wiara jak Pismu św., ale tylko pobożnie to sobie wierzą (*pie credunt*); bo te objawienia tak zuchwale stawają w polskich osobliwie duchownych i do nabożeństwa przeznaczonych księgach obok z Pismem św., że owszem jeszcze przyćmić i przewyższyć je zamierzyły, jakby same tylko objawiały wolę Boga... a w tych umysłach ludzi, na ich nieszczęście, skutkują tyle, ileby się nawet spodziewać nie można było... Stąd taką widzieć można rozmaitość nauki pobożności i maksym w jednymże katolickim kościele, które utworzyły i uparto pielęgnują najbardziéj niektóre zgromadzenia, używając jedynie wyrazów Pisma bożego i miejsc niektórych przez naciągnienie do swoich chęci i raz przyjętego ludzkiego systematu nauki, wspartéj często na słabéj lub fałszywéj zasadzie, a wydającéj niezliczone próżnomówności i obłąkania, a które niczego się tak nie lękają jak zdrowego rozumu; przeto go potępiają w materyi religii i za najszkodliwszy uznają pod rozmaitemi pozorami" (1).

Przywodząc zaś dwa pisma ks. Surowieckiego, mówi: „Często okazują się pisma w materyi religii, które... uwodzą słabych w wierze i prawdziwéj nauce katolickiéj religii, a które, napełnione częstokroć błędami i fałszywemi opiniami a nawet powstawaniem na oświecenie i nauki, okazują, że sama religii nauka tylko tak jest nieszczęśliwa, iż jéj niektórzy nauczyciele niczego bardziéj się nie lękają tylko oświecenia, którego atoli nie lęka się czysta i prawdziwa religia katolicka, ale wymaga owszem, aby przyćmiona nieumiejętnością, zaniedbana gnusnością, zeszpecona błędami i nadużyciem, a zhańbiona obłudą wyznawców swoich, a swoich i innych przywalona pogardą i podeptana zuchwałością, w tym wieku, gdzie wszystkie inne nauki tak pięknie zaświeciły; aby i ona téż okazała się w całéj swojéj prawdzie, jasności i wspaniałości." Tymczasem dzieje się inaczéj: duchowne książki „nierzadko nauczają, z krzywdą nauki katolickiéj, że pewne rzeczy tylko i figury noszone przy sobie, albo pewne odmówione modlitewki oczyszczają dusze, bronią od przypadków w życiu, od utraty zbawienia," a księża ciemni chcą „działaniem na zmysły tylko uczynić pobożnym i moralnym człowieka," chcą go „samym strachem nakłonić do cnoty; a dla niedostatku nauki, którą przekonywać powinni, rozumieli nawet, że się

---

(1) Książki powyżéj scharakteryzowane nazywa ks. Krzyszkowski „nieprzeliczonemi po domach." Przykładowo przytacza dwie: 1) „Miasto uspokojenia serc ludzkich albo medytacye na każdy dzień całego roku;" 2) „Rok niebieski."

przysłużą religii fałszywemi cudami, pobożnemi czyli bardziéj niezbożnemi baśniami, które układali a bez wzdrygnienia i bojaźni potomności zostawili; kazali nic nie rozumiejąc ani przetrząsając ślepo im wierzyć" (1).

Temu tak potępianemu nawet przez światłych kapłanów pociągowi do cudowności sprzyjał rozpowszechniony wtedy wśród sfer rządzących w Rosyi mistycyzm.

IV.

Mistycyzm. — Głośniejsi mistycy nasi. — Antoni Poszman. — Usposobienie sfer rządzących sprzyja mistycyzmowi. — J. F. Lachnicki. — Wydawany przezeń „Pamiętnik Magnetyczny." — Opozycya względem teoryj tu wygłaszanych w gronie lekarzów, zwłaszcza z powodu Antośka Golca. — Jędrzéj Śniadecki. — Artykuł o Algebromanii. — Niepowodzenie „Pamiętnika."

Suchy racyonalizm wieku XVIII nie mógł zadowolnić wszystkich dusz, które mniéj lub więcéj zobojętniały na tajemnice wiary, a jednakże pragnęły czémś silniejszém zająć serce i wyobraźnią. Świat ścisłemi prawami rządzony, dokładnie określony i że tak powiem ocyrklowany nie przypadał do smaku ludziom kochającym się w nadzwyczajności i cudowności. Wielkie a krwawe wypadki rewolucyi gwałtownym temperamentom przynosiły pewną ulgę przez możność zużytkowania nadmiaru swéj energii, ale temperamentom łagodnym musiały być wstrętne i obudzały w nich raczéj pragnienie wyjścia z tych kręgów płomiennych, ucieczki z ziemi w krainy, w których cierpienia mogą być tylko duchowe. Mistycyzm w takich wypadkach staje się doskonałym miejscem schronienia dla wszystkich znękanych a jednak nie rezygnujących z życia z jednéj strony a z drugiéj nie mogących z jakiegokolwiek powodu powrócić wprost do wiary naiwnéj a kornéj.

Chociaż narodu naszego w żaden sposób nie można posądzić o skłonność do mistycyzmu w wyższém, subtelniejszém znaczeniu, to przecież faktem jest, iż od końca zwłaszcza zeszłego stulecia przejawiają się u nas dążności mistyczne w mniéj lub więcéj udoskonalonéj formie. Najpierwszą z tych czasów historycznie głośną z mistycyzmu osobistością był twórca osobnéj frakcyi illuminatów, magnat podolski Tadeusz Leszczyc Grabianka, zmarły w r. 1807. W początkach wieku XIX liczba zwolenników i wyznawców marzeń mistycznych zwiększa się. Znani są albo z nazwiska i charakteru

(2) „Dzieje dobroczynności krajowéj i zagranicznéj" r. 1823, t. II str 180, 184 242, 253.

albo nawet z teoryj swoich: Studziński, Peszyński, Strzyżewski, Oleszkiewicz i Poszman. Byli-to albo cisi marzyciele, którzy nie mając najmniejszéj pretensyi do tworzenia nowych systematów mistycznych, wypowiadali tylko w poufnéj pogawędce swoje uczuciowe i fantazyjne poglądy na świat i życie ludzkie i sami poglądy te starali się urzeczywistniać w praktyce, albo też byli-to ludzie, ruchliwém obdarzeni usposobieniem, którzy niespokojnie na wszystkie strony się rzucali, wygłaszali tysiące pomysłów, dokonywali różnych wynalazków, chcieli uchodzić za cudotwórców i mieli chętkę układania teoretycznych systemów. W pierwszym rodzaju odznaczył się znany wszystkim z pism Mickiewicza Oleszkiewicz, w drugim mało dziś znany ale w swoim czasie bardzo głośny Poszman.

Antoni Poszman, cesarsko-rosyjski radca stanu, członek wielu uczonych towarzystw, jeszcze w r. 1808 wydał w Petersburgu po niemiecku: „Betrachtungen über das Vater-Unser, eine moralisch-philosophische Schrift“ (1). Jest-to w stylu deklamacyjnym fantastyczna parafraza opisu stworzenia świata. Autor tęskni za „bezpośredniém połączeniem się z Bogiem“ i powiada, że Bóg chcąc ugruntować niezmiennie piękność ziemi, nadał jéj „siłę działania i oddziaływania, która jako ciepło i zimno, jako rozszerzająca i ściągająca, a w ostatku jako elektryczna i magnetyczna siła, przez swoję równowagę, nieodmienne przyrodzenia prawa, jednokształtnych tworów i zachowania rzeczy, wiecznie ustaliła.“

W towarzystwach petersburskich uchodził Poszman za „mistrza filozofii hermetycznéj“ i zdaniem Henryka hr. Rzewuskiego posiadał tajemnicę alchemików średniowiecznych możności przemienienia złota w płyn. Rzewuski opowiada też o nim anegdotę, jakoby powołany przez Waleryana Strojnowskiego, wówczas senatora cesarstwa, który w bardzo podeszłym wieku zabierał się do stanu małżeńskiego z młodą dziewicą, tym swoim złotym płynem wrócił mu poniekąd młodość, bynajmniéj nie szkodząc zdrowiu, gdyż Strojnowski żył jeszcze po tém zdarzeniu lat kilkanaście w pełnéj czerstwości... (2).

Kiedy nauka Mesmera, wyśmiana w Paryżu przed rewolucyą, potępiona przez wydział medyczny, znowu się na początku wieku naszego krzewić zaczęła i znalazła zarówno historyków (np. Deleuze), jak teoretyków: Puységur, Parrot, Klugen itd., kiedy wieści

---

(1) Przekład polski w „Pamiętniku Magnetycznym.“ I, 57—63.

(2) Zob. „Teofrast polski“ H. Rzewuskiego, tom I, str. 206—241. Tego Strojnowskiego poznamy niebawem bliżéj.

o cudownych wyleczeniach za pomocą magnetyzmu rozszerzały się ciągle i znajdowały wiarę u bardzo wielu; — to i Poszman zwrócił się także w tym kierunku i napisał obszerną rozprawę p. t. „Uwagi magnetyczne.“ Są tu rozwinięte główne myśli rzucone już w owéj parafrazie „Ojcze-Nasz.“ Niepodobna mi tu wchodzić w szczegóły rozlegle obmyślanego i konsekwentnie przeprowadzonego systemu; dla charakterystyki jednak pojęć owoczesnych, muszę tu treść jego przynajmniéj w grubych zarysach przedstawić (1).

Poszman utrzymuje, że cały układ jego nie jest płodem „rozegrzanéj wyobraźni, ale postrzeżeń czynionych z największą uwagą przez lat 29, zasadzających się na wypadkach niewzruszonych samegoż przyrodzenia.“ Poznajmyż jego rusztowanie. Siły główne, których używa płyn napełniający przestrzeń, w całéj obszerności działań swoich są-to: *rozszerzająca* (elektryczność) i *skupiająca* (magnetyzm); pierwsza działając odśrodkowo objawia się przez linią krzywą, druga zaś działając dośrodkowo—przez linią prostą. Pomiędzy niemi jest siła *środkująca* (galwanizm). „Wszelka rzecz, która jest, jako wypadek działania i oddziaływania tych dwóch sił przez pośrednictwo trzeciéj, łączącéj oboje, winna bytność swoję tymże siłom.“ Trzy są pierwiastki, będące wyłącznemi własnościami owych sił tj. światło, cieplik i węglik. Modyfikacya tych sił pochodzi jedynie od rozmaitości czterech okręgów: 1) nie-przestrzeń i nie-czas; tu się objawiają tylko prawdy *bezwzględne*; 2) przestrzeń: tu się objawiają prawdy *rzeczywiste*; 3) czas: tu się objawiają prawdy *względne*; 4) przestrzeń i czas: tu się objawiają prawdy *miejscowe*. „Wszelka rzecz, która może być, jest w 1-ym okręgu jako *zasada zarodu*, w 2-im jako *zaród w postaci gazu*; w 3-im jako *zaród w postaci płynnéj*; w 4-ym *jako ciało dokończone w postaci zsiadłéj*. Każda rzecz, która się roztwarza, przebiega tę koléj w kierunku odwrotnym. Wszelka „możność fizyczna“ działa tylko w okręgu 4-ym, „możność umysłowa“ w okręgu 3-m w przestrzeni, „możność duchowna“ w okręgu 2-m, „możność boska“ w okręgu 1-ym nie-w-czasie i nie-w-przestrzeni.—Magnetyzm jest płynem powszechnym, skutki przezeń sprawiane nie mogą się żadną miarą przypisywać „rozpalonéj wyobraźni.“ Stanów magnetycznych uznaje siedem; z tych piąty jest-to „sen czuwający“ (somnambulizm), szósty używanie organów duchowych kiedy „sama dusza, wyniesiona nad całą fizyczność, czuje wszystkie swe zdolności podwyższone i używa zupełnie sił duchownych, rozróżniających ją od zwierzęcości, do któréj tak często bywa pogrążona przez materyalistów“; siódmy zaś jest to „sposobność boska

(1) Zob. „Pamiętnik Magnetyczny“ I, 134—161, 240—268, II, 8—37.

czyli zachwycenie." W dwu ostatnich stanach magnetyzujący może się dowiedzieć „z dokładnością i bez omyłki"; 1° o stanach organizacyi ciała ludzkiego i wszystkich jego części „niewiadomych oczom naszym w stanie żyjącym, jako i o rozmaitych siłach, które tam przebywają;" 2° o wszystkich organach, przez które siły te działają we wszelkich związkach; 3° o wszystkich postaciach, w których i jak siły te działają; 4° o rozmaitych wypadkach, które sprawują; 5° o wszystkich związkach, w których się znajdują „z przyczyną pierwotną, rozumną i ze wszystkiemi duchami żywotnemi organicznemi, które są podległe i oznaczone;" 6° o porządku, którego te siły względne obowiązane są przestrzegać niezłomnie; 7° o przymiotach „umysłowych, duchowych i boskich;" 8° o przymiotach materyalnych i fizycznych; 9° o ogóle czyli całości cudownéj budowy człowieka.

Wszystkie te prawdy znała już, zdaniem Poszmana, „cała starożytność a najbardziéj mądrość egipska;" Pismo ś. nawet utwierdza je „przez zdarzenia (tj. fakta) niezaprzeczone." „Magnetyzm—mówi w uniesieniu nasz autor—mający się stać osnową źródła *jedynego i nieustającego światła i wiadomości nieznajomych jeszcze na kuli naszéj*, powinien koniecznie kiedykolwiek nabyć niezaprzeczonego przywileju powszechności." Magnetyzm posłuży też za najdzielniejszą broń przeciw filozofii XVIII wieku: „Jeśli kiedykolwiek postrzeżenią magnetyzujących mogły zadać cios śmiertelny mniemaniu pospolitych filozofów, to zapewne w siódmym stopniu według tablicy (powyżéj) wskazanéj; gdyż przekonać filozofów, że zmysły zewnętrzne mogą być w zupełnéj nieczynności, a zmysł wewnętrzny, dotąd nieokreślony nawet dla samych magnetyzujących, może zdawać duszy rachunek z przedmiotów i zjawień zewnętrznych, bez pomocy pozornéj organu zewnętrznego, jest-to samo, co wywrócić z gruntu cały ich układ przyjęty."

Wraz z tym „zmysłem wewnętrznym", mającym w sposób tak łatwy odkryć najzawilsze tajemnice natury i ducha, wstępujemy w bezgraniczną krainę mistyki, przedstawiającéj nowe fantastyczne lądy i morza, które mają zastąpić rzeczywistość. Ta stosunkowa łatwość zdobycia wszechwiedzy niejednego mogła ku téj krainie pociągnąć; a duch sprzyjający reakcyi w niéj zatrzymać. Gdy jeszcze dodamy, że w sferach rządzących mistycyzm stał się modnym od czasu, jak Aleksander I silnie nastrojem religijnym już w r. 1813 przejęty, zapoznawszy się następnie z apostołem mistycyzmu w spódnicy, baronową Krüdener (r. 1814) zaczął z nią długie odbywać roz-

mowy i rozmyślania, przerywane kiedyniekiedy łez strumieniami (1). Ten prąd płynący z góry porywał z sobą tych wszystkich, którzy oczekują tylko na skinienie, ażeby umysłowość swoję przetworzyć czy to szczerze czy też obłudnie. A nadto tenże prąd ośmielał tych, którzyby w razie przeciwnym pocichu jedynie poglądy swe rozpowszechniali, do wystąpienia głośno na arenę publiczną, mając pewność, że ich kroki jeżeli nie znajdą uznania całkowitego, tamowane przynajmniéj nie będą. Nie zawadzi przypomnieć, że w tym właśnie czasie żył młody w owéj chwili Andrzej Towiański, przejmujący się z powodu swego usposobienia bardzo łatwo pierwiastkami unoszącemi się w atmosferze duchowéj i wchłaniający już wtedy zarazki mistyczne, które się miały z czasem rozwinąć tak bujnie.

Głównym rozpowszechnicielem magnetyzmu w Wilnie był Ignacy Emanuel Lachnicki, urodzony r. 1793. Szczegóły jego wykształcenia są mi nieznane. W r. 1812 wydaje rozprawę z chemii „o rozpuszczeniu,“ napisaną celem osiągnięcia stopnia doktora filozofii, który też otrzymuje. Następnie dostaje rangę kamerjunkra dworu Jego Imperatorskiéj mości, co nie jest bez pewnego znaczenia w jego dalszéj działalności. Jakoż z początkiem roku 1816 ogłaszać zaczął czasopismo p. n. „Pamiętnik Magnetyczny Wileński,“ które trwało lat trzy i utworzyło trzy spore tomy.

Lachnicki nie występował z początku wyraźnie przeciw istniejącym zdobyczom naukowym, ani nie zalecał swéj nauki jako antydotu przeciwko filozofii XVIII stulecia, ani téż wysławiał cudowności „zmysłu wewnętrznego“; traktował on magnetyzm jako jednę z gałęzi nauk przyrodniczych i domagał się jedynie, ażeby dla niezwykłości rezultatów nie zbywano szyderstwem i drwinami rzeczy, która może przynieść błogie skutki. „Wszelkim prawie wynalazkom i odkryciom—powiadał—bądź moralnym bądź fizycznym towarzyszyły w początkach opór i prześladowanie ze strony nieoświecenia i zmyślonéj lub przesądnéj gorliwości o dobro powszechne.“ Jako przykład przytacza spory o machinę do przędzenia wełny, o wakcynacyą Jennera. Przedstawia ślady i zabytki magnetyzmu w starożytności, opowiada o losach Mesmera, wylicza 49 ludzi różnego stanu (hrabiów, lekarzy, pisarzów sławnych), którzy się magnetyzmem zajmowali. „Żyjemy w tym okresie czasu—mówi—gdzie mało kto wątpi o bytności magnetyzmu: a jeśli kiedy-niekiedy daje się jeszcze słyszéć głos niewiadomości, kryjący się zazwyczaj pod płaszczem *mniemanéj oświaty*; tedy niewielu już znajduje wielbicieli, nie-

(1) Zob. artykuł A. Pypina p. n. „Gospoża Kriudner, w „Wiestniku Europy“ z r. 1869, zeszyt sierpniowy, str. 588—633.

wielu tych, którzyby brali powierzchowność i pozór za wewnętrzną wartość i istotę rzeczy." Treść nauki magnetyzmu podaje Lachnicki w następujących punktach: 1° Płyn magnetyczny jest sekrecyą lotniejszą od wszystkich dotąd znanych; niektórzy poczytują palce rąk za „bieguny magnetyczne;" 2° Trzy są główne sposoby przyśpieszające wyrobienie sekrecyi: fizyczne, sympatyczne i umysłowe. 3° Sposoby umysłowe najdzielniéj się przyczyniają do przyśpieszenia sekrecyi magnetycznéj; najważniejszém jest „uczucie powstające z woli, ufności i żądzy dobrego." 4° Uczucie takie nazwać można „uczuciem potrójném"; im je więcéj magnetyzujący pielęgnuje, tém pewniejszy jest w swoich działaniach, tém rychléj przychodzi do otrzymania znacznych rezultatów. Płyn magnetyczny, według Lachnickiego, „rządzi się prawami fizycznemi właściwemi wszystkim innym płynom *nadlotnym skupienia promienistego.*" Objawy i skutki działania magnetyzmu, najczęściéj przez Lachnickiego przytaczane, są: znieczulenie słuchu, możność poznawania się na chorobie, przepisywanie lekarstw, które pomagają, ustępowanie migreny po kilku minutach; pojęcia magnetyzowanego są jakby obce, jakby należące do kogoś innego; w stanie „ekstazyi" (zachwycenia) może magnetyzowany czytać list znajdujący się w kieszeni magnetyzującego.

Lachnicki nie uważał bynajmniéj, jakoby w teoryi magnetyzmu wszystko jasném już było i dlatego chętnie pomieszczał w „Pamiętniku" swoim najróżnorodniejsze przypuszczenia, nieraz sobie wprost przeciwne; gromadził natomiast jak najwięcéj doświadczeń, bardzo szczegółowo je opisując. To nader oględne z początku zachowanie się autora rozprawy chemicznéj „o rozpuszczeniu" nie rozbroiło przecież nieprzyjaciół magnetyzmu wogóle, podejrzywających w nim zamach na zdrowy rozsądek i uznane prawdy w nauce. To téż już w kwietniu r. 1816 zaczął wychodzić dość obszerny, przez 3 numery „Dziennika Wil." ciągnący się artykuł p. n. „Wiadomość historyczna o magnetyzmie zwierzęcym," gdzie magnetyzm zaliczono do rzędu „tych mniemań i przesądów, które wieki nieoświecenia i zabobonu odznaczyły." Nie była-to jednak krytyka teoretyczna magnetyzmu, tylko historya jego do r. 1790, skreślona według dzieła Konrada Sprengela: „Versuch einer pragmatischen Geschichte der Arzneikunde" wydanego w r. 1800—1803 w 5 tomach. Stąd-to Lachnicki, odpowiadając na ten artykuł, skarżył się gorzko, że „w rzeczy tyczącéj się ogólnego dobra lub szkody całego rodu ludzkiego" autor „Wiadomości historycznéj" nie starał się dokładnie zbadać przedmiotu gruntownie i tym sposobem ściągnął na siebie „winę obrażonéj ludzkości." A zwracając się do przeciwników ma-

gnetyzmu wogólności zarzuca im, że słowa ich „tchną jadem i wyszydzaniem,“ chęcią zohydzenia i okrycia śmiesznością ludzi pracujących około wydoskonalenia tak ważnego wynalazku. „Wyszydzenie i podanie w śmieszność—powiada—jest wprawdzie ostrą i jadowitą bronią, która kaleczy i bolesne zadaje razy, ale nigdy nie zabija, i ci tylko jéj używają, którzy wojując z oczywistością i prawdą, na zbicie jéj żadnego nie znajdują dowodu.“ Słowa-to w znacznéj części zupełnie słuszne; szkoda tylko, że autor, który niemi przeciwników chciał pognębić, sam użył zaraz broni równie niewłaściwéj, bo broni podejrzenia. Sądzi on, że z powodu częstych uleczeń za pomocą magnetyzmu „liczna klasa uczonych, sztuką leczenia trudniących się, nowéj nauce, w mniemaniu jakoby ich prywatnemu interesowi szkodliwéj, całą siłą opierać się i onę, gdyby można było, zniszczyć postanowiła.“ A wyznając, że magnetyzm nie może sprawić skutków nadprzyrodzonych, zapewnia, że i przy magnetyzmie lekarze „o wdzięczności potrzebujących pomocy powątpiewać nie powinni tém bardziéj, kiedy im wydatków na aptekę oszczędzą.“

Do tego posądzenia lekarzy o interesowne potępianie magnetyzmu dołączył Lachnicki śmieszność, którą się okrył, pomieszczając wiadomość o „Lekarzu osobliwym w Nowogrodzkim“ i o szczęśliwych jego kuracyach. Niejaki Antosiek Golec we wsi Derewa, poddany Czarkowskiego leczył najrozmaitszych chorych „macając się ręką prawą za plamę na lewym boku,“ która powstała w skutek tego, że jakiś starzec obrosły włosami siedzący na dębie w lesie ujął go raz za ten bok i dał jednocześnie moc leczenia przez lat 11 w obrębie dwu mil, poczém moc ta mogła być odnowiona, jeśli Antosiek dobrze sprawować się będzie. Wiadomość ta narobiła ogromnéj wrzawy; wiara w znachorów poparta drukowaném słowem wydała się krzyczącą anomalią w wieku oświeconym, w uniwersyteckiém mieście. Zaczęto drwić i z Lachnickiego i z jego pisma i z magnetyzmu. W teatrze pojawiały się takie sztuki jak „Awantura na zielonym moście czyli Magnetysta uczeń Mesmera,“ gdzie autor zarówno magnetystów jak „dzienniki, pamiętniki, gazety i kuryery chędogo wyłajał, na proch starł i z błotem zmieszał“ wedle wyrażenia pierwszego numeru „Wiadomości brukowych,“ które powstały właśnie w sierpniu 1816 r. z chęci wyśmiania téj lichéj sztuki teatralnéj a zarazem i magnetyzmu. Odtąd jedną ze stałych niemal rubryk tego satyrycznego pisma, które, jak wiemy, w roku następnym na peryodycznie wychodzący organ się zamieniło, była szykana Lachnickiego, magnetyzmu, „Pamiętnika Magnetycznego,“ Antośka i wszelkiego rodzaju lekarzy osobliwych i cudownych. Szykana ta stała się zjadliwą i dowcipną pod piórem Jędrzeja Śniadeckiego, który w swojéj „Pod-

róży próżniacko-filozoficznéj po bruku", umieszczanéj rozdziałami w „Wiadomościach brukowych" niejednokrotnie do tego wdzięcznego dla satyryka przedmiotu powracał. Lachnicki nie dawał za wygraną. W r. 1817 drukuje w swoim „Pamiętniku" „urzędową wiadomość o Antośku", w któréj gubernator cywilny grodzieński Stanisław Ursyn Niemcewicz opowiada o czynnościach komisyi wysłanéj z urzędu do zbadania Antośka. Lachnicki dodaje do téj wiadomości portret „osobliwego" lekarza, uwiecznia pamięć znachora, drukujc imienne świadectwa osób (np. Michala Paszkowskiego pułkownika wojsk polskich szczęśliwie przezeń wyleczonych. przytacza zdanie Poszmana, że leczenie Antośka „nie przechodzi zgoła granic możności i rzeczywistości." Wszystko to podwaja tylko werwę satyryczną Śniadeckiego. Dla wsparcia zdań swoich i poglądów. Lachnicki podaje w przekładzie polskim wydaną w r. 1817 po rosyjsku broszurę Karola von Hibentala „inspektora białorusko-witebskiego lekarskiego urzędu i moskiewskiego medyczno-fizycznego towarzystwa członka," który-to inspektor i członek wyleczył magnetyzmem Annę Łakisównę; poznawała ona rzeczy, gdy je na dołku piersiowym umieszczono, przepowiadała okoliczności familii dotyczące. Następnie w r. 1818 przekłada „historyą katalepsyi połączonéj ze somniacyą i ekstazyą" wyjętą z dzieła sławnego Józefa Franka. Był-to opis leczenia w r. 1816 pewnéj ukształconéj kobiéty w Wilnie lat 22 mającéj (1), która po urodzeniu dziecka, dostała nabrzmienia na nodze prawéj a potém lewéj; opuszczona od doktorów oddała się pobożności, przeszła z ewangielickiego na katolickie wyznanie, w paroksyzmach katalepsyi przemawiała prozą rytmiczną z myślą podniesioną ku Bogu i życiu przyszłemu; za ukłóciem skóry szpilką żadnych znaków bólu nie okazywała; na pytania najcichszym głosem na dołku zadawane odpowiadała, a gdy w témże miejscu przyłożono płatek z wodą ocukrowaną, doznawała przyjemności, zdawała sprawę ze swojéj choroby i przepisywała na nią lekarstwa. Józef Frank leczący ją wziął za świadka „męża uczonego, rzeczom dziwnym niedowierzającego i niełacno one przypuszczającego:" był nim Jędrzej Śniadecki. Potém zostali jeszcze wezwani lekarze: Niszkowski, Jan Berkman, Barankiewicz, Homolicki, Herberski. Doświadczenia z nią robione były następne: „Rozmawiała za przyłożeniem do ucha prawego żelaznego drutu, długości półtora łokcia, przez którego jeden koniec Śniadecki najcichszym mówił głosem." Gdy Śniadecki „końcem pióra najdelikatniéj ciała dotykał w celu przekonania się, czy-

(1) Była-to Berkmanowa, żona zegarmistrza, jak się dowiadujemy z listów Joachima Lelewela" tom I. 1878, str. 249.

liby najlżejsze drażnienie tak jako głos najcichszy wyraźniejsze sprawiał skutki: natychmiast chora ramiona do pióra wyciągając, raptownie za toż pióro uchwyciła; gdy zaś wyrwaném jéj zostało, ustawnie ręce zwracała, kędy się tylko pióro prowadziło: ruchy zaś te bynajmniéj nie były podobne ruchom dobrowolnym, lecz ręce jakby w machinie jakiéj i nakształt przyciągania się ciał elektrycznych ku sobie zmierzać za piórem zdawały się.“ Tenże skutek, gdy kto pióro w drugim lub trzecim pokoju trzymał. Podobnie działał lak, bursztyn, jedwab. Chora pytana na dołku dawała takie lekarstwa, o jakich lekarze dnia poprzedniego rozmawiali. Gdy odpowiadała na pytania jednego, trzeba było połączenia rękoma z drugą osobą, ażeby na pytania tejże usłyszéć odpowiedź; zresztą nie miała szczególniejszéj predylekcyi do tego lub owego lekarza. Śpiewała po włosku, chociaż języka tego nie umiała, ale słyszała go często, gdyż siostra jéj była za Włochem. Poznała we śnie kataleptycznym śpiewaka Tarquinio, którego przed sześciu laty widziała. Lachnicki przytaczając opis choroby, któréj objawom przypatrywał się Jędrzéj Śniadecki sądził może, iż tym sposobem potrafi go pokonać; ale rzecz naturalna, że Śniadecki, który już w r. 1816 zjawiska te obserwował, widocznie nawrócić się na magnetyzm nie mógł, skoro nieubłaganie szyderstwem go ścigał. Jakie było tłómaczenie tych zjawisk przez Śniadeckiego, nie wiemy; to tylko pewna, że nasz fizyolog w płyn magnetyczny nie wierzył.

Jak te usiłowania Lachnickiego tak i odezwa pułkownika wojsk polskich Michała Paszkowskiego do lekarzy i aptekarzy pozostała bez skutku. Zastanawiając się nad cudownemi kuracyami Antośka nasz pułkownik radził, ażeby „dla dobra ludzkości panowie lekarze i aptekarze, odłożywszy na bok ducha stronnictwa i miłości własnéj, nie postrachami, nie zakazami, nie więzieniem, nie prześladowaniem, ale z umysłem prawdziwéj filozofii i miłości bliźniego, w sposobie najłagodniejszym przypatrując się przepisom tego nadzwyczajnego lekarza i one uważnie rozbierając, porównywali swoje dogmata z jego praktykami i dostrzegali, azali czegoś nie uronili z obszernych swoich wiadomości o skutkach roślin i płodów krajowych, których on używa i któremi pomaga.“

Antosiek Golec pozostał figurą komiczną. Z naszych lekarzy ówczesnych profesor uniwersytetu warszawskiego Freyer w dziele wydaném r. 1817 p. n. „Materya medyczna“ opisawszy magnetyzm, uznał w nim środek leczniczy, ale zaraz dodał: „dla szkodliwych z nadużycia jego wyniknąć mogących skutków, życzyćby wypadało, aby wiedza o nim, jako własność istotnie uczonych i moralnych osób, przed ciekawą publicznością była raczéj ukrywaną niż w dzien-

nikach upowszechnianą." Na to odpowiedział Lachnicki, że najzbawienniejszych nawet rzeczy nadużyć można; a magnetyzm jako „dar przyrodzenia, wszystkim ludziom wspólny," powinienby przez wszystkich zarówno być używany „na pożytek cierpiącéj ludzkości," nie zaś stawać się własnością jednéj tylko jakiejś uprzywilejowanéj klasy. W r. 1823 wyszła w Wilnie broszurka Józefa Franka „O magnetyzmie zwierzęcym," ale Lachnicki nic już na nią nie odpowiedział.

Niechęć do magnetyzmu i jego wileńskiego przedstawiciela wzmagała się wśród wykształconych zwolenników filozofii XVIII wieku i nauk ścisłych, gdy Lachnicki otwarcie przeciw temu kierunkowi wystąpił w artykule tłómaczonym z francuskiego p. n. „O Algebromanii," gdzie między innemi można było czytać, co następuje: „Śmiem nawet powiedzieć, że nierozsądny zapał do matematyki może się przyłożyć więcéj, niżeli kto myśli, do odmiany charakteru narodowego, zapewne ze szkodą narodu. Zapewniają nas, że matematyka prostuje rozsądek, ale ten tylko (jak pewny autor powiedział), który bez niéj był prostym. W żadnym wieku nie ćwiczono się w naukach dokładnych tak pomyślnie, jak w wieku przeszłym, a jednak nie było wieku, w którymby obłąkanie w rzeczach nawet najistotniejszych doszło do tak wielkiego stopnia... Od tego czasu jak nauki dokładne weszły w modę, nic w moralności nie dzieje się dokładniéj."

Nie puszczono płazem „Pamiętnikowi Magnetycznemu" tego wyskoku; jakiś J. P. w „Tygodniku Wileńskim" (N. 59) umieścił „Niektóre uwagi nad artykułem o algebromanii," w którym, napomknąwszy o niedorzeczności przypisywania rewolucyi francuskiéj uprawie nauk „dokładnych," bardzo trafnie wykazuje, jak niewłaściwém było mówić o szkodliwości tych nauk u nas, gdzie „od niedawnego czasu zaczęto się zajmować" niemi. „Nader mało mamy znających matematykę i do niéj się przykładających, aby pismo wyszydzające fałszywy w téj nauce zapał jakikolwiek cel w kraju naszym mieć mogło; ale wtenczas kiedy dla rozszerzenia oświaty najwięcéj zachęcać i pomagać naukom dokładnym powinniśmy; kiedy ledwo kilka jest w kraju osób prawdziwie pożytecznemi zajmujących się pismami, wtenczas, mówię, mniéj uważni pisarze wysadzają się na tłómaczenie nikczemnych pisemek, które gdyby nieszczęściem przypadły do smaku i więcéj znalazły stronników, nie tylko bezpożytecznemi, ale szkodliwemi prawdziwie staćby się mogły." Ze smutkiem zaznacza, że „kiedy dla zrównania się w świetle z innemi Europy ludami, każdy samym tylko pożytecznym i uczącym powinien się oddawać zatrudnieniom, widzimy nasze pisma peryodyczne częstokroć mniéj czytania godnemi zapchane urywkami."

Atoli nie tylko ze strony zwolenników „nauk dokładnych“ doznawał Lachnicki złego przyjęcia; i jezuici też nie byli mu wielce życzliwi, chodziło im bowiem o monopol cudowności. W „Pamiętniku Magnetycznym“ na r. 1817 pojawiła się tłómaczona z niemieckiego rozprawka Hufelanda o magnetyzmie, w któréj była też rzecz o zjawiskach nadprzyrodzonych, przez autora nieuznawanych. Nie mógł artykułu takiego pominąć „Pamiętnik Połocki“ i w obszernéj replice pomieścił „Rozprawę o skutkach nadprzyrodzonych.“ Autor jéj P. P. S. nie oszczędza niedowiarstwa, mówiąc, iż ono „wojuje orężem nieszczerości i kłamstwa“, że się odznacza „wrodzoną zuchwałością,“ że używa „hańbą okrytych wykrętów i zdrady.“ Zwracając się zaś do artykułu Hufelanda, dość zręcznie wyzyskuje słabe jego strony i z ukrytą groźbą zwraca uwagę na hasło świętego Przymierza co do religii jako istotnéj zasady „zdrowéj polityki i mądrego rządu,“ przyczém stara się dowieść, że zaprzeczenie możliwości cudów należy do tych myśli, „które nadwyrężają zasady życia towarzyskiego i spokojności.“

Wśród publiczności chwilowe tylko, jak się zdaje, znalazł „Pamiętnik Magnetyczny“ uznanie, które jednak nie objawiło się znaczną cyfrą prenumeratorów. Niewątpliwie takich, co się magnetyzmem bawili, co na własną rękę „doświadczenia“ przedsiębrali, było wielu; magnetyzm stał się modny, jak i nieraz późniéj; z pomiędzy głośniejszych faktów przypomnę, że w tym-to czasie Antoni Malczewski, późniejszy znakomity śpiewak „Maryi,“ na Wołyniu miał sławę wielkiego magnetyzera, która go nawet w kłopoty i zawody wplątała... Ale czytać o magnetyzmie, i to czytać nieustannie, mało komu do smaku przypadło. To téż Lachnicki już pod koniec r. 1816 zawiadamiał, że „Pamiętnik“ jego obejmie „wszystko to, co tylko może tyczyć się użytku i oświecenia krajowego“ i rzeczywiście pomieszczał rozprawy z mechaniki, rolnictwa, nauk przyrodzonych, literatury, prawodawstwa; w r. 1817 wprowadził jeszcze gospodarstwo i sztuki piękne. Gdy mimo to czytelników wielu nie znajdował, roku 1818 opuścił się w staranności, obojętnie jakoś traktował swój „Pamiętnik,“ zapełniał go obszernemi rozprawami o mniemaniach Van Helmonta, albo téż historyą astronomii; zeszyty najmniejszego nie miały urozmaicenia, zawierając tylko same dalsze ciągi. W zeszycie ostatnim w końcu listopada 1818 r., po trzechletniéj wytrwałości, musiał zawiadomić czytelników, że „Pamiętnik Magnetyczny“ przestaje być pismem peryodyczném; obiecywał jednakże że raz w rok albo częściéj, stosownie do okoliczności, wydawać będzie pamiętniki magnetyczne *tomami*, aby upowszechnić naukę, którą już przyjęli najsławniejsi lekarze i ludzie gruntownie uczeni „wy-

jąwszy małą liczbę upartych pedantów lub tych, co obciążeni wiekiem niechętnie na każdą nowość zapatrują się i radziby stan umiejętności i nauk zawsze na tym samym stopniu oglądać, jaki był w czasie ich młodości.“ Obietnicy téj wszakże nie spełnił; zaznaczony bowiem przez Estreichera w „Bibliografii polskiéj XIX stulecia“ (II, 541) „Pamiętnik magnetyczny“ na rok 1826—28 jest widocznie wydaniem tytułowém 3 tomów dawnych przez księgarza celem rozprzedaży dokonaném; a to tém bardziéj, że jak sam Estreicher podaje, Lachnicki umarł młodo w r. 1826. Z innych prac jego wspomnićć należy: „Statystykę gubernii litewsko-grodzieńskiéj“ (r. 1817) „Wiadomość o sposobie leczenia wścieklizny, powzięta z jasnowidzenia magnetycznego“ (r. 1821).

(*d. c. n.*) *Piotr Chmielowski.*

POCHODZENIE ROŚLIN UPRAWNYCH.

Alph. De Candolle. Origine des plantes cultivées. Paris 1883. Bibliothèque scientifique internationale, vol. XLIII str. VIII i 377.

Ktoby teraz zobaczył puste, nagie, zmrożone ziemie Spitzbergu i wysp sąsiednich, ten nie mógłby uwierzyć, że to była kiedyś kraina, jeżeli już nie mlekiem i miodem płynąca, to jednak posiadająca klimat daleko cieplejszy i wilgotniejszy, niż południowa Francya ma go dzisiaj. Tak jednak jest w rzeczywistości. Wielka księga kamienna, na któréj przyroda potężnym rylcem kreśli dzieje swéj przeszłości, księga paleontologiczna skamielin, czyli odcisków roślinnych, jakie zebrano przed niewielu laty na tym podbiegunowym lądzie, nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości.

Zamiast potężnych sagowców i drzewiastych paproci, o wiotkich, lekko i wdzięcznie osadzonych liściach, rostują tam dziś nikłe, drobne, ledwo na kilka tygodni w roku budzące się z zimowego letargu zioła.

Co za potężna zmiana.

Ale ta potężna różnica flory nastąpiła bez żadnych gwałtownych przewrotów, odbyła się powoli, samym biegiem czasu i idących w ślad za nim zmian klimatycznych i innych czynników przyrody.

Czasu było tylko potrzeba. Czas jestto rzeźbiarz powolny, ale niestrudzony. „Dla przyrody — powiedział Lamarck — czas jest niczem, nigdy nie jest przeszkodą: przyroda ma czas zawsze na swe usługi, czas służy jéj jako środek bez końca, z pomocą którego wytwarza najmniejsze i największe dzieła.“

W tym razie potrzeba go było tyle, że liczyć go można tylko setkami wieków.

Gdybyśmy się teraz znajdowali na jakiejś tak odległéj gwieździe, że do niéj światło, od ziemi odbite, dochodzi dopiero w jakie 6 czy 10 tysięcy lat, i mieli teleskop, któryby pozwolił dojrzeć jéj

roślinność, to widzielibyśmy ją dziś, jaką była przed temi tysiącami lat i również niemoglibyśmy łatwo uwierzyć, że to nasza ziemia, tak różny przedstawiłby się nam widok jéj krajobrazu od tego, który dziś mamy przed sobą.

Zmiana ta jednak, tak zdumiewająca nietylko w krajobrazie, ale nieraz w całéj roślinnéj powłoce pewnych części powierzchni naszéj ziemi, zaszła nie skutkiem tych samych, co w poprzednim wypadku, czynników.

Tym razem zmiany te, tak gwałtowne i potężne, że je przewrotem mianować się godzi, sprowadził człowiek. Stworzył je, w tak krótkim stosunkowo czasie, od chwili, kiedy z koczowniczego sposobu życia przeszedł do rolnictwa, zajął się uprawą roślin i ich rozpostarciem na powierzchni ziemi.

Zmiany te, do czasu, w którym stanęła piramida Gizeh, nie miały swego kronikarza, a i od téj epoki wzmianki daleko są lakoniczniejsze i rzadsze, niż zapiski średniowiecznych mnichów na marginesach tablic wielkanocnych robione.

Można powiedzieć bez przesady, że do drugiéj połowy bieżącego stulecia nikt nie pomyślał o zajęciu się kwestyą pochodzenia roślin uprawnych. To, co Linneusz w swych pismach w drugiéj połowie zeszłego wieku pod tym względem podaje, jest po większéj części mylne, czy niedokładne. Mógł też słusznie Aleksander Humboldt, jeszcze w r. 1807, w swym słynnym zarysie: O geografii roślin, powiedzieć: „Źródło, pierwotna ojczyzna roślin najużyteczniejszych dla człowieka, które towarzyszą mu od najdawniejszych czasów, jest równie niezbadaną tajemnicą, jak siedliska domowych zwierząt.“

Dopiero w r. 1855 wydał Alfons de Candolle pomnikowe dzieło w dwu tomach: *Géographie botanique raisonnée*, którego jeden rozdział zajmował się rozwiązaniem téj kwestyi. Od tego czasu pojawiło się całe mnóstwo prac botanicznych, sprawozdań podróżników i wiadomości archeologicznych, które rzuciły na rzecz tę nowe światło. Podnieść zwłaszcza wypada Heera: *Die Pflanzen der Pfahlbauten* (Zurich 1865) i Dr. Bretschneidera: *On the study and value of chinese botanical works* (Foocho 1870?), jako najważniejsze. Śledząc ciągle za ruchem naukowym na tym polu, zbierając ze wszech stron potrzebne materyały i mając pod ręką jeden z największych zielników na świecie, obrobił De Candolle powtórnie ten temat i zamiast rozdziału dzieła, powstała teraz osobna książka, która przed niedawnym czasem opuściła prasę, i z któréj zdajemy tu sprawę.

Rzecz cała podzielona jest na trzy części. Pierwsza zawiera wiadomości wstępne i o metodzie badań. Druga ma za przedmiot

studya nad gatunkami pod względem ich pochodzenia, od pierwszych czasów ich uprawy, oraz najważniejsze daty jéj rozszerzania się. Trzecia obejmuje zestawienie i wyniki całości. Pierwsza i ostatnia część zajmują zaledwie po 20 stron, kiedy pośrednia wypełnia całą resztę, przeszło 350 stron druku.

Przejrzymy książkę w tym samym porządku.

Człowiek jest z natury próżniakiem, pracowitość to zdobycz cywilizacyi. To też w pierwotnym stanie pracuje tylko przymuszony, a historya rozwoju ludzkości uczy, że zanim doszedł do rolnictwa, był długo myśliwym i rybołowcą. Istnieją też okolice ziemi tak szczęśliwe, obdarzone takiemi roślinami w dzikim stanie, że wszelka niemal praca staje się dla człowieka zbyteczną. Dość przypomnieć świat podzwrotnikowy z bananem, czy chlebowem drzewem, Araba z jego palmą daktylową, a nawet w Europie mieszkańca Korsyki, dla którego kasztanowe lasy starczą za wszelkie ogrody i uprawne pola.

Zapewne i w tych razach człowiek zaczyna od zrywania owoców i wydobywania korzeni, które zoczy na polowaniu, z czasem dopiero rozpina swój namiot pod cieniem owocodajnéj palmy, czy stawia chatę pod chlebowem drzewem; wreszcie potrzeba zmusza go zastępować stare okazy roślin nowemi i tym sposobem staje się już hodowcą. Ztąd widać, że trudno oznaczyć właściwą chwilę, w któréj jakaś ludzka społeczność staje się rolniczą, a tém samém i czas, w którym pewna roślina zaczyna być hodowaną.

Czy roślina będzie wogóle hodowaną, to zależy przedewszystkiém od jéj wartości. A czy rozszerzy się na znacznym obszarze ziemi, o tém rozstrzyga klimat, z którego pochodzi, i czy da się w innym uprawiać. Łatwiéj dająca się hodować, a przedewszystkiém pożywniejsza roślina wypiera w bardzo krótkim czasie inne, choćby dawniéj w pewnym kraju uprawne. Tak uczy nas historya, że pszenica, kukurydza, batat, proso, tytuń i inne, zwłaszcza roczne rośliny, rozpostarły się w przedhistorycznych czasach bardzo rychło. Że południowa Azya, Egipt i Mezopotamia, niektóre okolice Afryki i Ameryki stały się od dawna kolebką ludzkich społeczeństw, to zawdzięczają właściwym sobie roślinom, jak: ryżowi, pszenicy i jęczmieniowi, prosom, kukurydzy, ziemniakom i batatom. Przeciwnie ludność całéj północnéj półkuli w Azyi, Europie i Ameryce wobec nieprzyjaznego klimatu i braku właściwych tym okolicom roślin, któreby się wybornie nadawały do uprawy, bardzo późno straciła charakter koczowniczy i wzięła się do rolnictwa. Wreszcie Australia i Patagonia mają klimat jeszcze mniéj przyjazny, a z roślin

tubylczych zaledwie jakiś lichy nowozeelandzki szpinak (*Tetragonia*) i do przybycia Europejczyków pozostały téż w stanie dzikim.

Różne więc przyczyny składają się na uprawę roślin i ich coraz dalsze szerzenie się. Ztąd w różnych okolicach świata początki kultury bardzo różne. Daléj, niż źródła historyczne starczą, sięgać naturalnie nie możemy, a najdawniejsze, jakie znamy pod tym względem, znajdują się w piramidzie Gizeh, gdzie wyryta jest uprawna figa, co nas cofa wstecz zaledwie o jakieś 5000 lat. Jest to naturalnie niczém wobec rzeczywistego wieku roślin, które istnieją dziś w uprawie.

Za początkiem uprawy sięgać więc możemy zaledwie w tak niedawne względnie czasy, a w pracy téj nastręczają nam się wielkie trudności, to téż wszystkie środki muszą być w tym celu spożytkowane, nietylko botanika, ale zarówno archeologia i paleontologia, historya i językoznawstwo.

Punktem wyjścia musi być naturalnie botanika. Rozstrzyga ona rzecz od razu w tych wszystkich wypadkach, kiedy może orzec stanowczo, że pewna roślina, którą hodujemy, znajduje się gdzieś w dzikim stanie. Tak np., ponieważ agrest i porzeczka rosną po naszych lasach, zdala od ludzkich mieszkań i pól uprawnych, przeto możemy o nich twierdzić, że są prawdopodobnie tubylcami naszéj ziemi. I tu jednak należy być ostrożnym. Nieraz bowiem obcą roślinę rozsiewają ptaki, zjadając jéj jagody i rozrzucając nasiona zdala od miejsca, gdzie rosła, albo zwierzęta ssące roznoszą czepne nasiona na swéj sierści; tak np. rzepień kolczasty zaczyna od lat kilkunastu razem ze stepowém bydłem wędrować z wybrzeży Czarnego Morza aż pod Warszawę i wypiera nawet na przychaciach odwiecznych tam mieszkańców. W takich razach stare książki botaniczne, tak zwane Zielniki, w których opisywane są rośliny zarówno pospolite, jeźli nie wymieniają téj, o którą nam chodzi, dają świadectwo, że to przybysz i każą nam szukać inną drogą czasu i okoliczności, wśród któréj roślina dostała się tu z właściwéj sobie ojczyzny. Gdyby nie takie źródła, nigdybyśmy nie przypuścili, że kilka naszych dziś najpospolitszych chwastów jest amerykańskiego pochodzenia. Z tego widać, że chcąc przesądzić, czy roślina nie jest zdziczałą, trzeba wyszukać jéj ojczyzny. W tym celu badamy, gdzie się ją spotyka na kuli ziemskiéj, a następnie, z pomocą literatury botanicznéj staramy się określić bliżéj miejsce, z którego początkowo wyszła.

Dla roślin, które są od wieków w uprawie, oznaczenie ich bliższéj ojczyzny jest niekiedy niezmiernie trudne, i w takich razach cała literatura, przedewszystkiém historyczna, musi dostarczać bo-

tanice pomocy. Z niéj wiemy, jakie stosunki łączyły w starożytności rozmaite narody, z niéj bierzemy daty pierwszych podróży morskich, rzucające odrazu światło na drogę, którą pewna roślina mogła się dostać do Europy. Nieraz akta sądowe i zapiski w starych miejskich księgach są pożądaną wskazówką. Niema tam nieraz nic, prócz takiéj np. wzmianki z roku 1596: „Nie nowina migdały w Polsce, są na wielu miejscach w sadach, gdzie kwitną a rodzą, a zwłaszcza u Jego M. Pana Krakowskiego na Tarnowie, gdzie bardzo obficie rodzą." Na téj podstawie będziemy mogli twierdzić, że migdały dostały się do Polski przynajmniéj już w drugiéj połowic XVI wieku.

I tu krytyka i ostrożność w wyprowadzeniu wniosków są konieczne. Przytoczę jeden przykład. Czy kukurydza jest amerykańskiego, czy azyatyckiego pochodzenia, długie były spory. Zwolennicy wschodniéj emigracyi opierali się przedewszystkiém na dokumencie z XIII wieku, ogłoszonym przez Molinarego, w którym jest mowa, że dwaj krzyżowcy z armii Bonifacego VIII przywieźli do miasteczka Incizy kawałek krzyża.... i worek, zawierający nasiona złotego koloru, nieznane dotąd w Italii, a które pochodziły z Anatolii i zwały się „Meliga"—twierdzono zatem, że to jest mowa o „maïz"—kukurydzy. Spory trwały długo, a rzecz została załatwiona w r. 1877, w którym hr. Riant dowiódł, że cały dokument jest podrobiony, i że w bieżącym już wieku zabytki archeologiczne są daleko pewniejszą rękojmią niż źródła historyczne, które zawsze wymagają krytyki.

Owoce, nasiona i ułamki roślin, odkryte w piramidach czy téż wykute w ich wnętrzu rysunki, resztki roślinnego pochodzenia znalezione w „moundas'ach" Ameryki północnéj, w pomnikach meksykańskich, w grobowcach peruwiańskich, czy w nawodnych mieszkaniach jezior szwajcarskich, rzuciły nieraz bardzo ważne światło na dawność i jakość hodowanych roślin.

Skamieniałe księgi ziemskiéj skorupy są jeszcze pewniejszemi źródłami naszéj wiedzy, zwłaszcza jeżeli się odnoszą do czasów sięgających zaledwie jakieś 5000 lat wstecz, jako np. sycylijskie czy prowanckie tufy.

Nareszcie językoznawstwo, umiejętnie i krytycznie traktowane staje się téż nieodzowną pomocą botanika.

Polska nazwa t a t a r a k dla *Acorus calamus* rozstrzyga niewątpliwie inaczéj zawiłą kwestyą wschodniego pochodzenia téj rośliny i objaśnia, że do Europy nie mogła przybyć przed XIII wiekiem naszéj ery, chociaż dziś, już i w Anglii ukazuje się w stanie mającym wszystkie pozory swojskości.

Jednakże krytyka najwięcéj jest tu potrzebną. Jeżelibyśmy chcieli np. z wyrazu b r u k i e w, używanego w Królestwie, wnosić żeśmy jarzynę tę dostali od Niemców (*Wrucke*), mylilibyśmy się zupełnie, bo znajdujemy na nią dawniejszą i swojską nazwę k a r p i e l e. Pierwsza może być tylko świadectwem, że na Mazury dostała się inną drogą, niż w okolice Krakowa.

Nazwy roślin są nieraz wprost niedorzeczne, tak np. j e r y c h o ń s k a r ó ż a odnosi się do rośliny, która ani rośnie w Jerycho, ani jest różą. A j u d a s z o w e d r z e w o (*Cercis Siliquastrum*) powstało z przekręcenia i fałszywego zrozumienia francuskiéj nazwy téj rośliny: *l'arbre de Judée.*

Jeżeli takie pomyłki spotykają się nie rzadko w dzisiejszych językach, to naturalną jest rzeczą, że musiały istniéć i w klasycznych. To téż dziś poprawiamy błędy Theophrasta, Dioscoridesa i Pliniusza, a prace, które opierają się wyłącznie na lingwistyce, choćby były robione z użyciem całéj subtelności filologicznych wywodów, nie mają dla botaników należytéj wartości, jeżeli nie liczą się z pewnikami, których nam botanika dostarcza. Odnosi się to przedewszystkiém do znakomitego skądinąd dzieła Wiktora Hehna, który po za klasykami nie uznaje innych źródeł wiedzy.

Wszystkie metody i wszystkie umiejętności pomocnicze muszą być wzięte pod rozwagę, jeżeli chodzi o wynalezienie ojczyzny roślin uprawnych a pierwsze miejsce należy się tu botanice i archeologii. Taka jest treść pierwszéj części omawianéj książki, którą podałem, zachowując tylko wątek myśli autora, a objaśniając go swojskiemi przykładami.

Część druga stanowi właściwą książkę. Wszystkie rośliny uprawne rozdzielił autor na pięć grup, które stanowią przedmiot pięciu rozdziałów. Pierwszy obejmuje rośliny, hodowane dla ich części podziemnych, jak korzenie, bulwy i cebule. Drugi mówi o roślinach, z których człowiek używa łodygi czy liści, i te rozdziela autor na jarzyny, paszę i w innym celu uprawiane. W trzecim rozdziale mamy rzecz o kwiatach technicznych, w czwartym o owocach, a w ostatnim o nasionach; ten rozdział dzieli się znów na dwie części, stosownie do tego czy nasiona służą jako pożywienie, czy téż mają inne cele uprawy.

W każdym rozdziale rośliny ułożone są w porządku systemu naturalnego De Candolle'a. Na czele każdéj wytłoczona jest francuska jéj nazwa tłustym drukiem, a w dalszym ciągu łacińska czyli botaniczna, kursywą. Rzecz cała pisana bardzo zwięźle ale nie można powiedzieć żeby czytała się z tą łatwością jak zwykle francuskie książki. Spotykają się nawet zdania, które do zrozumienia

wymagają nietylko zastanowienia się ale nieledwo rozbioru. Nader liczne cytaty pozwalają każdemu iść do źródła i wyrobić sobie sąd samodzielny w każdéj kwestyi.

Możnaby też uczynić téj części — mojém zdaniem — zarzut, że uszykowano rośliny według systemu naturalnego. Właściwie nie wiadomo, w jakim stało się to celu. Alfabetyczny porządek w takiéj książce byłby chyba właściwszy, tém bardziéj, że ją zapewne mało kto będzie czytać od deski do deski, używając jéj raczéj za nieodzowne *vade mecum* w razie jakiejkolwiek wątpliwości.

Treść tego działu, którego szczegółów podawać naturalnie niepodobna, stanowi zakończenie książki, jéj część trzecią.

Rozpoczyna ją rozdział, w którym autor zestawił w tablicach wszystkie rośliny uprawne, z podaniem czasu, od którego są hodowane przez człowieka i właściwéj ich ojczyzny. Czas hodowli rozdziela autor ze względu na rośliny starego świata na trzy peryody. Pierwszy obejmujący mniéj niż 2000 lat, drugi przynajmniéj tyle i trzeci sięgający swémi początkami przynajmniéj 40 wieków. Podobnie postępuje z roślinami nowego świata. Najpierw rośliny, które zaczęto uprawiać po odkryciu Ameryki, daléj hodowane już w chwili odkrycia i najdawniejsze.

Ponieważ tablice te obejmują rośliny całego świata, z których przeważna większość, nawet z nazwiska, nie jest znaną czytelnikom, przeto ograniczyłem się tu do wyciągu obejmującego rośliny u nas uprawne. Uszykowałem je też w innym porządku, to jest nie ze względu na części dla których są uprawiane ale stosownie do czasu od którego pozostają w hodowli. Że zaś jest mowa o roślinach powszechnie znanych, przeto opuściłem znak wyrażający ich trwałość a prócz nazwiska podaję w nawiasie ich ojczyznę czyli miejsce, w którym—według De Candolla—rosły nim człowiek zaczął je pielęgnować.

I. Rośliny pochodzące ze starego świata.

A) *Uprawiane już przed 4000 lat.*

Rzepa (Europa zachodnia, Syberya).

Karpiele, na Mazurach z niemieckiego Brukwią (Wrucker) nazywane (Europa zachodnia, Syberya).

Cebula (Persya, Afganistan, Beludżystan, Palestyna).

Kapusta (Europa).

Tłustosz v. Portulaca (od zachodniéj części gór Himalaya aż po południową Rosyą i Grecyą).

Len słowień (nad morzem Śródziemném).

Len praglec (zachodnia Azya).

Krokosz (Arabia?).
Szafran (południowe Włochy, Grecya, mała Azya?).
Winorośl (zachodnia umiarkowana Azya, nad morzem Śródziemnem).
Morela (Chiny).
Grusza (umiarkowana Europa i Azya).
Jabłoń (Europa. Anatolia, południowy Kaukaz).
Arbuz v. Kawon (podzwrotnikowa Afryka?).
Ogórek (Indostan).
Bób (na południu od morza Kaspijskiego?).
Soczewica (zachodnia umiarkowana Azya, Grecya i Włochy).
Pszenica (nad Eufratem).
Orkisz (od poprzedniéj pochodzi (?)).
Jęczmień dwurzędowy (zachodnia umiarkowana Azya).
" sześciorzędowy (od poprzedniego pochodzi (?)).
Proso (Egipt, Arabia).

B) *Uprawiane już przed 2000 lat.*

Rzodkiew (zachodnia umiarkowana Azya).
Marchew (Europa, zachodnia umiarkowana Azya).
Burak (Wyspy Kanaryjskie, nad morzem Śródziemném, zachodnia umiarkowana Azya).
Ćwikła (powstała w uprawie).
Czosnek (Stepy Kirgiskie, zachodnia umiarkowana Azya).
Rzerzucha (Persya (?)).
Selery v. Opich (umiarkowana i południowa Europa, północna, Afryka, zachodnia Azya).
Szparag (Europa, zachodnia umiarkowana Azya).
Por dziki (nad morzem Śródziemném).
Lucerna v. Koziorożec (zachodnia umiarkowana Azya).
Wyka (Europa, Algier, południowa Azya).
Trześnia (zachodnia umiarkowana Azya, umiarkowana Europa).
Wiśnia (od morza Kaspijskiego aż do zachodniéj Anatolii).
Śliwa (Anatolia, południowy Kaukaz, północna Rosya).
Mak uprawny pochodzi od *Papaver setiferum* z okolic nad środkowemi wybrzeżami morza Śródziemnego.
Gorczyca (umiarkowana i południowa Europa, północna Afryka, zachodnia umiarkowana Azya).
Groch (od południowego Kaukazu aż do Persyi (?), północny Indostan (?)).
Żyto (wschodnia umiarkowana Europa).
Owies (wschodnia umiarkowana Europa).

C) *Przed 2000 lat jeszcze nieuprawiane.*

Chrzan (wschodnia umiarkowana Europa).

Wężymrod—Scorzonera hispanica (południowo-wschodnia Europa, południowy Kaukaz).

Kolnik v. Rapunkuł—Campanula Rapunculus (umiarkowana i południowa Europa).

Szalotka v. Oszloch (w dzikim stanie nieznana, może powstała z Cebuli).

Salsefia (południowo-wschodnia Europa, Algier).

Szczypiorek (umiarkowana i północna Europa, Syberya, północna Ameryka).

Trzebula—Anthriscus Cerefolium (południowo-wschodnia Resya, zachodnia umiarkowana Azya).

Pietruszka (południowa Europa, Algier, góry Libanu).

Roszponka (Sardynia, Sycylia).

Karczoch (południowa Europa, północna Afryka, wyspy Kanaryjskie, Madera).

Cykorya (Europa, północna Afryka, zachodnia umiark. Azya).

Endywia (nad morzem Śródziemném, Kaukaz, Turkestan).

Szpinak (Persya (?)).

Lebioda (północna Europa i Syberya).

Esparceta v. Kokosze główki (umiarkowana Europa, południowy Kaukaz).

Koniczyna różowa (Europa, Algier, zachodnia umiark. Azya).

Koniczyna biała (umiarkowana Europa).

„ inkarnatka (południowa Europa).

Chmiel (Europa, zachodnia umiarkowana Azya, Syberya).

Dzięcielina (Europa, północna Afryka (?), umiarkowana Azya).

Malina (umiarkowana Europa, Azya).

Poziemka (umiarkowana Europa, zachodnia Azya, wschodnia część północnéj Ameryki).

Melon (Indostan, Beludżystan Gwineja).

Agrest — (umiarkowana Europa, północna Afryka, Kaukaz, zachodnie Himalaje).

Porzeczka (północna i umiarkowana Europa, Syberya, Kaukaz, Himalaje, północno-wschodnia część Zjednoczonych Stanów).

Porzeczka czarna v. Smrodynia (północna i środkowa Europa, Armenia, Syberya, Mandżurya, zachodnie Himalaje).

Dynia (Gwineja).

Gryka (Mandżurya, środkowa Syberya).

Tatarka (Tartarya, Syberya aż do Dahuryi).

D) *Rośliny których czas uprawy nie jest znany.*

Szczaw (Europa, północna Azya, góry Indyjskie).

Lubanka (południowa Europa, Armenia, południowy Kaukaz, Tybet).

Jęczmień czterorzędowy (pochodzi od dwurzędowego (?)).

II. Rośliny pochodzące z nowego świata.

Ziemniak v. Kartofel (Chili, Peru (?)).

Bulwy (północna Ameryka).

Tytoń Aprak (Ekwador, przyległe kraje (?)).

„ Bakuń (Meksyk (?) Texas (?)).

Bania v. Kurbaz (umiarkowana północna Ameryka).

Pomidory (Peru).

Kukurydza (Nowa Granada (?)).

Część tę a zarazem i książkę zamyka rozdział drugi, obejmujący ogólne spostrzeżenia i wyniki, do których teraz przejdziemy.

Z pomiędzy 247 roślin uprawnych, dwu setek (193) dostarczył nam świat stary, 45 Ameryka, przynależność zaś 3, między niemi z pospolicie znanych np. fasoli, do téj lub owéj połowy ziemi jest wątpliwa. Tylko północne okolice dwu tych światów miały kilka wspólnych roślin, jak szczypiorek, poziomka, porzeczka, kasztan i pieczarka, które zostały z czasem wzięte w uprawę.

Niektóre kraje są dziwnie pozbawione pożytecznych roślin. Tak np. wielkie obszary Stanów Zjednoczonych nie mają nic wyłącznie swojskiego, prócz bulw, któremi u nas karmią raczéj trzodę chlewną, niż ludzi i drugiéj dyni. W Patagonii i na Przylądku Dobréj Nadziei nie znajdujemy nic; w Australii i Nowéj Zelandyi zaledwo lichy miejscowy szpinak (*Tetragonia*) i jedno drzewo *Eucalyptus.*

Roślin najdawniéj hodowanych wylicza De Candolle ze starego świata 44, z nowego 5, z nich połowa jest r o c z n y c h, tj. takich, które w przeciągu roku kiełkują, rostują i owocują. Z tego wynika, że społeczeństwa ludzkie uprawiały przedewszystkiém rośliny roczne, mniéj drzewa i krzewy, najmniéj rośliny trwałe. Jestto rzecz naturalna, w tym samym bowiem stosunku pozostaje i łatwość ich uprawy. A zarazem zastanowić się można, że od 2000 lat nie odkryto ani jednéj rośliny, którąby mogła współzawodniczyć z takiemi mamutami uprawy roślinnéj jak: kukurydza, ryż, batat, ziemniak, chlebowiec, daktyl, zboża, prosa, banan i soja.

Ciekawą jest téż rzeczą, że dziś zmieniły się do niepoznania stosunki uprawy. Dawniéj roślina, hodowana z korzyścią w ojczyz-

nie, rozchodziła się już daléj po szerokim świecie; dziś przeciwnie, to co wiek XIX dorzucił przedewszystkiém do pożytecznych roślin, drzewo chinowe i Eucalyptus składają się na wręcz odwrotne zjawisko. Drzewa chinowe, tępione w amerykańskiéj ojczyznie, zaczęto uprawiać na wielką skalę w południowéj Azyi, a znów australski Eucalyptus rozsiewano naprzód w Algeryi.

Postępy chemii sprawiają téż, że uprawa wielu roślin, szczególniéj farbiarskich, upada zupełnie i ustaje; tak stało się z naszym urzetem, z marzaną, indygiem, miętą. Robimy dziś sztuczny miód, masło czy galarety, może dojdziemy do sposobu otrzymywania sztuczną drogą oleju, cukru czy skrobi. To ostatnie odkrycie zrobiłoby—jak to zaznacza De Candolle, a co przed niedawnym czasem podniosłem, pisząc w „Niwie“ o zieleni—niezmierny przewrót w hodowli roślin.

Zanim to nastąpi, będziemy jednak zwiększać ilość uprawnych ziół, zwłaszcza dostarczających surowego materyału tkanin, garbnika, kauczuku, czy gutaperki. Choćbyśmy jednak doszli w końcu bieżącego wieku do liczby 300 gatunków, czemże to jest wobec 140,000 roślin kwiatowych, które znamy?

Wskutek starannych i drobiazgowych badań doszedł daléj autor do wniosku, że ojczyznę 193 roślin uprawnych da się z pewnością oznaczyć, dla 27 jest ona wątpliwą, a drugie tyle jest takich, których dotąd w dzikim stanie nie znaleziono. Z pomiędzy tych ostatnich jest 7, które nie rozsiewają się same, chyba tylko na uprawnéj ziemi; do nich należy np. bób, soczewica, pszenica i kukurydza. Z chwilą zatém w któréjby wszelka kultura ustała, zaginęłyby niewątpliwie. Są to jakby żubry roślinne, które nie dałyby sobie rady bez troskliwéj opieki człowieka.

Książka kończy się rozmaitémi spostrzeżeniami, które są tak zwięzłe, że ich streszczać już niepodobna i przytoczyć je trzeba nieledwo dosłownie za autorem.

1. Rośliny uprawne nie tworzą oddzielnéj jakiejś grupy bo należą do pięćdziesięciu jeden różnych rodzin. Są to jednak wszystko, z wyjątkiem pieczarki, rośliny kwiatowe (Phanerogamae).

2. Piętna charakterystyczne, które w uprawie roślin najwięcéj ulegają zmianom są, zaczynając od najwybitniejszych, następujące: A., wielkość, postać i barwa mięsistych części, bez względu na ich położenie w roślinie (korzeń, bulwa, cebula, owoc czy nasienie) oraz obfitość skrobi (mąki) cukru i innych materyałów zapasowych, które bywają w tych częściach składane; — B, obfitość nasion, często rozwinięta w stosunku odwrotnym do rozrostu mięsistych części rośliny;—C, postać, wielkość, albo omszenie tych narzędzi kwiato-

wych, które stanowią dojrzały już owoc albo jego nasiona;— D, szybkość zjawisk rostowania, zależna od tego czy roślina jest drzewiasta czy zielona i znów trwała, dwuletnia czy roczna.

Łodygi, liście i kwiaty ulegają nieznacznym zmianom w tych roślinach uprawnych, które hodujemy właśnie dla tych części. Najwięcéj ulegają odmianie zawsze ostatnie utwory każdego rocznego czy dwuletniego pędu; jednym słowem wyniki rostowania są bardziéj zmienne niż narzędzia które je wytworzyły.

3. Nie spostrzegłem najmniejszego śladu przystosowania się do zimna. Jeżeli uprawa pewnego gatunku posuwa się ku północy (kukurydza, len, tytoń i t. d.), zjawisko to tłómaczy się wytwarzaniem wczesnych odmian, które dojrzewają przed nadejściem zimnéj pory, albo przez zwyczaj praktykowany na północy uprawiania w czasie lata gatunków, które na południu wysiewają się w zimie. Badając kiedyś północne granice rozsiedlenia się gatunków miejscowych, doszedłem do tych samych wyników bo granice te nie zmieniły się w czasach historycznych, chociaż naturalnie nasiona tych roślin przekraczają często i stale te północną granicę. Zdaje się więc, że zmiany, któreby pozwalały roślinom znosić większe zimno, wymagają czasu daleko dłuższego niż 4—5000 lat, albo też zmienności w postaci czy trwałości.

4. Klasyfikacye odmian używane przez rolników czy ogrodników, opierają się zazwyczaj na piętnach najzmienniejszych (postać, wielkość, barwa, woń, części mięsiste, ości kłosy i t. d.). Mylą się botanicy, którzy idą w te ślady. Powinniby raczéj wyszukiwać cech bardziéj stałych, w tych narzędziach dla których właśnie pewien gatunek się nie uprawia.

5. Ponieważ gatunek nieuprawny jest zbiorem postaci tylko mniéj więcéj analogicznych, między któremi można często wyróżniać podrzędne grupy (rasy, odmiany, pododmiany), przeto nieraz mogło się zdarzyć, że wzięto do uprawy naraz dwie lub więcéj takich nieco różnych postaci. Mogło to się zdarzać przedewszystkiem wówczas jeżeli rozsiedlenie gatunku jest rozległe a tém bardziéj jeżeli jest poprzerywane. Pod pierwszy wypadek można zapewne podciągnąć kapustę, len, trześnię (*Prunus avium*), gruszę itd. Drugi miał miejsce z tykwą, melonem, fasolą, które nim je wzięto pod uprawę istniały jednocześnie w Indostanie i Afryce.

6. Nieznamy piętna wyróżniającego między rośliną zdziczałą, pochodzącą, od kilku zaledwie pokoleń, z pnia formy uprawnéj a rośliną dziką, pochodzącą z dziada pradziada od form dzikich. Jednakże, przy przejściu ze stanu hodowli do stanu dzikiego, pewne znamienne rysy, takie, które utrzymują się z pomocą szczepienia,

nie zachowują się przez wysiewanie nasion. Tak np. z oliwek szlachetnych otrzymujemy formę dziką oleaster, z gruszy—ulęgałki, z kasztanów dających *marony*—kasztan o dzikim małym owocu. Jednakże nie badano jeszcze należycie form zdziczałych pochodzących z uprawnych jak się one z pokolenia na pokolenie zachowują. Uczynił to pan Sagot dla winnéj macicy. Byłoby ciekawem żeby porównać w podobny sposób, z formami uprawnemi ród pomarańcz, brzoskwinię, Kard (*Cynara cardunculus*) przyswojone w Ameryce, zdala od ojczystego kraju, jak również agawę i indyjską figę, dzikie w Ameryce, z odmianami przyswojonemi w starym świecie. Możnaby dokładnie widzieć co jest stałego po upływie pewnego czasu uprawy.

7. Pewien gatunek mógł, za nim został wzięty pod uprawę, mieć bardzo ograniczone rozszerzenie, a następnie zająć niezmierne przestrzenie jako roślina uprawna a niekiedy przyswojona.

8. Cały materyał hodowli roślin uprawnych nie zawiera ani jednéj wskazówki co do związków między starym światem a Ameryką, przed przybyciem tam Kolumba. Normandowie, docierający aż do północnych krańców Zjednoczonych Stanów, czy średniowieczni Baskowie, zapuszczający się przy połowie wielorybów może równie daleko, nie przenieśli tam żadnéj pożytecznéj rośliny. Między Ameryką i Azyą może dwie takie wymiany miały rzeczywiście miejsce. Twórcą jednéj, t. j. przeniesienia batatu, byłby człowiek; drugiéj, t. j. kokosowego orzecha, mogłyby być także fale oceanu.

Przechodząc teraz do krytyki, przedewszystkiém podnieść wypada zadziwiające braki w omówieniu roślin uprawnych. Wprawdzie autor na str. 366 sam zaznacza, że nie podaje niektórych roślin, chociaż te są w pewnych okolicach uprawiane jak ślaz, urzet, koper włoski, kmin, czarnuszka; takich z naszego kraju dałoby się już znacznie więcéj wyliczyć jak np. majeranek, cząber, estragon, koper, kolendra, szczeć. Ale po za tym jest daleko więcéj ważniejszych. I tak: z roślin hodowanych w Europie pominięto przedewszystkiem drożdże (*Saccharomyces*) i słonecznik, który w południowéj Rosyi dostarcza tak znacznéj ilości wybornego oleju. Po za granicami Europy braki są zdumiewające. Zdaje mi się, że zabrawszy się do roboty z pomocą własnéj biblioteki mógłbym w przeciągu dwu godzin zebrać *przeszło setkę*! Że pomiędzy niemi są rośliny, których uprawa ma doniosłe techniczne i ekonomiczne znaczenie to na kilku tylko przykładach zaraz udowodnię.

K o l a (*Cola acuminata*) z rodziny *Sterculiaceae*, pochodząca z Sierra Leone, daje orzechy, które żute, pod względem fizyologicznym, zastępują afrykańskim ludom amerykańską kokę. Uprawa téj

rośliny od 20 lat tak wzrosła, że wywóz, który w r. 1860 wynosi dopiero 15000 kubicznych sterów, doszedł w 1879 już olbrzymiéj cyfry 743000 k. s.

Chamaerops Fortunei jest palmą, która zastępuje w Chinach konopie, robią z niéj sznury, liny, motki, plecionki i mnóstwo przedmiotów podobnych, które przez Londyn wchodzą na targ europejski.

Panicum spectabile gatunek prosa pochodzącego z Angoli daje w Brazylii najlepszą paszę.

E s p a r t o (*Stipa tenacissima*) jest trawą uprawianą w Algeryi jako materyał surowy na papier, a znaczenie téj kultury jest tak doniosłe, że już w r. 1880 wywieziono go ztamtąd do Europy blisko 63,000 beczek (ton). Podobne znaczenie ma w Indostanie Callotropis gigantea czyli M u d a r.

O tém wszystkiém ani wzmianki, niema jéj o wielu roślinach dostarczających kauczuku, szczególniéj o tak licznych uprawianych dziś w tym celu gatunkach Landolphia, niema wzmianki o drzewach chińskich uprawianych dla utrzymywania pokostów jak np. Aleurites, niema o tak pożytecznych wogóle a dla wosku na wielką skalę hodowanéj palmie Copernicia cerifera.

Krótko mówiąc, możnaby—zbierając starannie daty—dojść do przekonania, że nie koło 300 ale przeszło 600 roślin mamy w téj chwili w hodowli. Czém to zaniedbanie wytłómaczyć, z tego nie umiem sobie zdać sprawy, bo biblioteka botaniczna autora należy do najbogatszych na świecie. Mnie się zdaje że się trzymał zbyt ściśle granic dawnego rozdziału swojéj geografii roślin i, że mu po prostu na myśl nie przyszło, że mogą tam być po upływie 30 lat wielkie braki.

I w traktowaniu pojedyńczych gatunków rzecz nie jest bez zarzutu, szczególniéj co się tyczy odmian czasu i miejsc ich powstania. Tak się ma rzecz o zbożach, tak o kapuście pod którą nie wyliczono nawet uprawianych odmian!

W ogólnym zestawieniu pracy pominięto tak ważny moment jak zaznaczenie, że rośliny uprawne mogą pod wpływem hodowli zatracać właściwy cel swego rozrostu t. j. wydawanie nasion jak się ma rzecz np. z bananami, odmianami winnéj macicy, pomarańczy i niektórych innych.

Książka jest ciekawa i pożyteczna, jednak niewyczerpująca w szczegółach traktowanych przedmiotów i posiada olbrzymie braki. Gdyby wyszedł tom równie obszerny dopełnień, wtedy dopiero stałaby na stanowisku dzisiejszéj chwili.

Józef Rostafiński

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Zbiór pamiętników do historyi z r. 1830—1831 we Lwowie nakładem dr. T. Rayskiego 1882 str. 698 in 8-o mal.

Spory ten tom zawiera 12 pamiętników odnoszących się ściśle do dziejów polskich i rosyjskich z lat 1830—1. Wydawca dr. Hirschberg miał nie mało pracy z brakowaniem nadesłanych mu różnorodnych pamiętników, nieraz bardzo wątpliwéj wartości historycznéj. A i te które znalazły w zbiorze umieszczenie musiały być nieraz w skróceniu podane, albo jako objaśnienia do znanych wypadków tylko w przypiskach wydane, a prawie wszystkie zostały wygładzone, poprawione, słowem praca wydawcy zasługuje na uznanie. Pod względem naukowym nie można odmówić Hirschbergowi sumienności, którą się odznaczają w ogóle jego prace historyczne. W niniejszém wydaniu dołączono na początku *prawie* każdego pamiętnika, wprawdzie skąpe ale ważne wskazówki odnoszące się do życia autorów tych wspomnień i do czasu napisania tychże, ale pominięto prawie zupełnie jednę ważną stronę wydawniczą tj. nie podano ani w nagłówkach, ani w indeksie szczegółowego spisu rzeczy, wypadków i osób, wspomnianych w pamiętnikach.

Co się tyczy wartości historycznéj samych pamiętników to jest ona, stosunkowo do ich rozmiarów, bardzo mała. Są to bowiem wspomnienia osób nie odgrywających w tych wypadkach pierwszorzędnéj roli, nadto spisane w 40 a nawet w 50 lat po zdarzeniach, nieraz tylko o rzeczach słyszanych. Przejdźmy je po kolei. Do najważniejszych należą wspomnienia *Jana Bartkowskiego* (obecnie profesora liceum w Nancy) z ostatnich tygodni przed 29 listopada i pierwszych chwil potém, do których dołączono opisy bitew pod Stoczkiem i Nową wsią. Pamiętnik *H. Bogdańskiego* spisany dopiero w r. 1870 na podstawie współczesnych listów pisanych z obozu do

do rodziny nie ma większéj wartości naukowéj ale opowiadanie jego jest żywe i zajmujące. Autor posługuje się już dziełkiem Różyckiego. „Zdanie sprawy narodowi z czynności w r. 1831“ i pisze nie tylko o tém co widział, ale niestety i o tém co gdzieś zasłyszał. Wspomnienia *Janki* skreślone w 50 lat po wypadkach są treściwe. Wspomnienia ucznia uniwersytetu warszawskiego (na pewne: *Adama Piwowarskiego*) zostają w ścisłym związku z pierwszą częścią pamiętników Bartkowskiego, które dopełniają i potwierdzają, z tego więc względu należało je obok tamtych zamieścić. Najważniejszym dla historyka z tego całego zbioru jest cenny pamiętnik ś. p. *Alfreda Młockiego* spisany zaraz po owych wypadkach w listopadzie i grudniu 1831. Autor odznacza się i tutaj bystrym zmysłem postrzegawczym. Pamiętnik jego zaczyna się ogólnym poglądem na wewnętrzne nasze dzieje od nadania konstytucyi przez Aleksandra I a kończy się kampanią Różyckiego we wrześniu 1831 r. Wspomnienia *Modzelewskiego* spisane w lipcu i sierpniu 1880 r. a więc znowu w pół wieku prawie po wypadkach zawierają między innemi opis odwrotu korpusu Łubieńskiego z pod Nury i opis bitwy ostrołęckiéj które uzupełniają wspomnienia Kociatkiewicza. Dla historyków literatury nie będzie obojętny opis zdobycia reduty Ordona podany przez Modzelewskiego i Jankę.

Reduta Ordona miala 200 ludzi i 6 dział, Rosyanie mieli 3.000 ludzi i 30 dział. Co do Ordona to ten nie wyleciał w powietrze ale dobrze osmalony żył po wojnie na emigracyi. Wysadzenie w powietrze 57 lunety przez „dzielnego kanoniera“ (nie przez Ordona) po zdemontowaniu jéj dział i zalaniu całego wnętrza fortu przez wojska Rosyjskie nastąpiło 6 września 1831. Janko tak o Ordonie pisze: „Ordon był krótki czas podporucznikiem w naszéj bateryi; stąd był przeznaczony i wzięty do lunety N. 57 gdy owe forty uzbrajano. Znałem go dobrze. Był to młody, uprzejmy, dzielny człowiek. Byłem sam pewny że nasz Ordon zginął, że on ten czyn wykonał. Jakież było moje zdziwienie gdy ten sam Ordon w 1833 czy téż 1834 wchodzi do mnie z innymi kolegami. Przekonałem się że wyszedł żywo z téj katastrofy jedna tylko część twarzy niezatarte nosiła znamię opalenia przez wybuch prochów. Otóż sam Ordon opowiadał mi, jak skoczył kanonier w magazyn amunicyjny, poczem zaraz nastąpił wybuch który i Ordona ranił.“ Ordon ma żyć jeszcze do dziś na emigracyi, on mógłby najlepiéj opisać ten epizod i skonstatować kto właściwie wysadził redutę w powietrze (Jedni podają Nowosielskiego). Wspomnienia *Kazimierza hr. Krasickiego* wówczas kapitana sztabu kwatermistrzowstwa, spisane w pół wieku po wypadkach podają niektóre nowe szczegóły do czasów wyprawy Chłapowskiego

na Litwę, które uzupełniają pisma niemieckie współuczestnika téj wyprawy Mielżyńskiego. Poradowski podporucznik 2 pułku ułanów opisuje krótko i przeważnie rzeczy znane, (także ze wspomień Janki) w opisie oblężenia Modlina dopełnia go *Iszkowski* w swoich wspomnieniach umieszczonych w Przypisku na str. 445. Najciekawsze dla historyka literatury są wspomnienia *Niewiarowicza* niekrytycznego autora „Wspomnień o Adamie Mickiewiczu.“ Opisuje on w pierwszéj części czasy uniwersytetu wileńskiego, kreśli sylwetki profesorów Lelewela, Gołuchowskiego Grodka i innych; opowiada o związkach i stowarzyszeniach ówczesnych między młodzieżą ale tu go pamięć bardzo zawodzi. Za to podaje autor nieznaną dotychczas wiadomość o towarzystwie w gimnazyum mińskiém, którego sam był prezesem a które powstało pod wpływem towarzystw młodzieży wileńskiéj. Dowiadujemy się téż o nieznanéj nam pieśni burszowskiéj polskiéj śpiewanéj wówczas jak podaje Niewiarowicz „na melodyą *niemiecką* (sic!) Gaudemus igitur“ a zaczynającéj się od słów.

> Weselmy się koledzy dopókiśmy w kozie (bis)
> Tu nam płynie wiek bezpieczny
> A na świecie kłopot wieczny
> Jak na złym przewozie (bis)

Wiersz ten dość płaski kończy się następującą zwrotką.

> Głupi kto nad nauką głowę sobie suszy
> Niechaj światło czart zabierze
> Vivant sowy nietoperze
> Vivant ośle uszy, vivant ośle uszy.

Wiersz Zana podany tu po raz pierwszy nie jest bez reminiscencyi z II cz. dziadów. Być może że Mickiewicz i Zan czerpali z wspólnego źródła tj. z podania ludowego. Oto przykład. O północy zjawia się do więźnia dozorca i tak przemawia do niego:

> Czego płaczesz więźniu młody
> Czyli ojca, brata matki.
> Czy rodzinnéj płaczesz chatki
> Czy kochanki czy swobody
> Czego płaczesz bez ustanku
> Od wieczora do poranku?

Na to mu odpowiada więzień:

> Ni ja ojca, brata matki
> Ni rodzinnéj płaczę chatki itd.

Dalsze części pamiętnika Niewiarowicza są mniéj zajmujące. O działalności Pola powtarza to co już raz napisał. Niektóre szcze-

góły autora potwierdza Modzelewski, zdaje się zatém jest w nich przecież trochę prawdy.

Wspomnienia *Wiemutha*, z zawodu lekarza ale zajmującego się gorliwe przekładami utworów dramatycznych, których wiele dostarczał na scenę, mogą tylko posłużyć jako dowód ówczesnéj opinii. Przy końcu znajduje się udatny wierszyk autora. Kalikst bar. *Horoch* zaczyna swój pamiętnik jeszcze z rokiem 1809 ale spisał go w r. 1882. Jeszcze stosunkowo najlepsze jest opowiadanie o korpusie generała Ramorina.

Największą wartość naukową z całego zbioru pamiętników posiada obszerna Bibliografia dzieł, czasopism i rękopisów odnoszących się do wypadków z lat 1830, 1831 opracowana przez dr. Hirschberga.

Autor, kustosz biblioteki Ossolińskich, miał do dyspozycyi nie tylko zbiory tego zakładu ale korzystal téż z księgozbioru hr. Wł. Dzieduszyckiego, podał téż bardzo wiele zupelnie nieznanych rękopiśmiennych materyałów z tego czasu, a w pracy téj brało czynny udział grono akademików lwowskich.

Przeglądnięto tu i spisano (z dzieł bibliograficznych polskich i rosyjskich) jak: Ruskaja Bibliografia, Ruskaja istoriczeskaja Bibliografia i Nowyj sistiematiczeskij katałog Wolfa itd.) z różnych zbiorowych pism, z czasopism i dzienników z lat 1815—1831, wszystkie tytuły rozpraw i materyalów odnoszących się do tychże lat, jakotéż rękopisów odnoszących się, tak do historyi królestwa kongresowego i krajów ruskich od r. 1815, jak do r. 1830/1 i najbliższych jego skutków. Co się tyczy ugrupowania to trzymano się tu przeważnie rzeczowego podziału. Naprzód podano źródła odnoszące się do całego okresu (1815—1831) jako to: Zbiory listów i dokumentów, Pamiętniki, Czasopisma współczesne, Broszury polityczne, kalendarze itd. potém opracowania z tego okresu. Druga część szczegółowa obejmuje literaturę do stosunków wewnętrznych Królestwa i Rosyi (od 1805 do 1830): prawodawstwo, sejmy, rząd, administracya, skarbowość, sądownictwo, stan oświecenia, wojsko, stosunki ekonomiczne, społeczne, związki i stowarzyszenia, usposobienia umysłów i objawy opinii publicznéj. Daléj następuje bibliografia odnosząca się do wewnętrznych i zewnętrznych stosunków Rosyi i Królestwa z r. 1831 w końcu literatura odnosząca się do samego teatru wojny z 1830/1 i Dział biograficzny tj. literaturę odnoszącą się do znakomitych ludzi z lat 1815—31.

Materyał jak widzimy bardzo bogaty (przeszlo 8,000 rozpraw lub materayów) szkoda tylko że układ nie jest dość przejrzysty, brak mianowicie alfabetycznego indeksu, który jak się dowiadujemy wyjdzie w dodatku do téj bibliografii. W poszczególnych działach

nie trzymano się czasem ściśle ani podziału według lat ani według autorów. Korekta pozostawia wiele do życzenia tak np. podano na str. 111 (odbitki mającéj niestety osobną paginacyą) że rozprawa Zyckiego odczytana na sesyi uniwersyteckiéj w r. *1820* znajduje się w Dzienniku wileńskim z *1810*, na str. 87 dodał jakiś niefortunny germanista jako objaśnienie tytułu wiersza Stöbera „im Verse“ zamiast „in Versen“ itp. *H. B.*

Rozprawki pomieszczone w Sprawozdaniach gimnazyalnych galicyjskich.

1) Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazyum Nowodworskiego czyli św. Anny w Krakowie na rok 1882. Kraków 1882. *Zarys historyczny sposobów kreślenia kart geograficznych napisał Br. G (ustawicz).*

Autor zaczyna niniejsze streszczenie swojéj obszerniejszéj kartograficznéj pracy od Egipcyan, którzy już za czasu Sezostrysa (Ramsesa II) mieli zajmować się chorografią katastrową i posiadać mapy drewniane. Pierwszą kartę geograficzną sporządził Grek Anaksymander z Miletu uczeń i przyjaciel Talesa. Za czasów Aleksandra W. skreślił Dycearch mapę ówczesnego znanego okręgu ziemi, w tych pierwszych mapach oznaczano odległość miejsc według okrętu lub podróżnika, a ziemię uważano za wielką płaszczyznę oblaną morzem z miastem Delfy we środku. Północ Europy rysowano daleko większą, aby można dogodnie wpisywać liczne imiona ludów, Libią zaś ścieśniali, bo była bezludna i zajmowała niepotrzebnie wiele miejsca. Do pierwszych umiejętnych kartografów należą Eratostenes, Strabo i Agrippa. Od itinerarjów pisanych i malowanych przechodzi autor do mapy Peutingera i prac kartograficznych za Teodozyusa II. Mapy pochodzące z 9—12 w. są głównie obrazami ziemi rysowanemi lub malowanemi na podstawie greckich i biblijnych podań, przyozdabiano je budowlami lub innemi figurami. W średnich wiekach były rozpowszechnione mapy z rzutem perspektywicznym i stożkowym. Jeden z tych rzutów ujęty w formułkę analityczną Gaussa obrało ces. rosyjskie towarzystwo petersburskie do skreślenia pięknéj i naukowéj mapy Rosyi w 12 tablicach wydanych 1862. Przyczyną rozszerzenia się rzutów płaskich była praktyczność ich dla żeglarzy, są one do dziś używane do wszelkich map morskich. Jak widzimy dzieli autor przegląd swój historyczny według rzutów (perspektywicznych, rozwijalnych i mięszanych) a nie według narodów. Praca autora jest sumienną; szkoda tylko że nie podaje literatury przedmiotu, tak że się wydaje jakoby autor pierwszy przedsięwziął tego rodzaju pracę. Pominął też zupełnie kartogra-

ficzne prace Polaków. Rozdział ostatni wyjaśniający podziały rzutów powinien był znaleść się na początku.

2) Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazyum św. Jacka w Krakowie na r. 1882. Kraków 1882. *Kilka uwag o znaczeniu i nauce języka niemieckiego w gimnazyum skreślił dr. Petelenz.*

Autor niepodaje tu wyczerpującego szeroko zakreślonego planu nauki tego języka, rzuca tylko kilka myśli tyczących się szczególnie znaczenia języka niemieckiego w organizmie gimnazyów i sposobu nauczania gramatyki tego języka w klasach najniższych. Za cel nauki gimnazyalnéj wogóle uważa autor połączenie kierunku humanistycznego z *praktycznym*, na który kładzie silny nacisk. Z tego ostatniego względu uważa téż autor za niezbędne wczesne uczenie *biegłego władania* tym językiem w mowie i piśmie, a zarzuca postępowanie utarte przez filologią klasyczną. Do najgłówniejszych zasad nauki w tym praktycznym kierunku należy zdanie: praca około nabywania tego języka nie powinna być oraz pracą około rzeczy w języku zawartych. Autor domagając się „Sprechunterricht“ a nie „Sprachunterricht“ jest za wytrąceniem w pierwszych latach nauki języka niemieckiego wszystkich gramatyk, które nie prowadzą do praktycznego celu i żąda zostawienia wolnego i swobodnego pola działania żywego słowa nauczyciela przy pomocy kredy i „czytanki.“ Nie możemy tu wchodzić w szczegóły instrukcyjne powiemy tylko że Petelenz opiera się tu głównie w ogólnych uwagach na pracy Czerkawskiego (Euzebiusza): „Uwagi o nauce języka niemieckiego“ Lwów 1880. Przedstawienie autora jest nader żywe i zajmujące.

3) Sprawozdanie c. k. IV gimnazyum w Lwowie na rok 1882 Lwów 1882. *Rozprawa dr. Ludkiewicza „Czy może idea filozofii w swym historycznym rozwoju być uważana za umiejętność ścisłą.“*

Jest-to dokończenie długiéj chryi autora umieszczonéj jeszcze w sprawozdaniu zeszłego roku. Zbija tu autor zarzuty czynione „idei filozofii“ starając się wykazać i udowodnić że „wszystkie dotychczasowe systemy filozoficzne tworzą jednę a nierozdzielną całość, a więc iż są z sobą połączone nie tylko ideą wspólną lecz oraz, iż między nimi *żadnéj nie ma sprzeczności*,“ „iż wszystkie stoją z sobą w ścisłéj łączności i koniecznym związku tak dobrze, że każdy późniejszy i następujący system uważaćby należało za wynik systemu poprzedzającego i za postęp na polu filozoficznêm doskonalszy i gruntowniejszy.“ W tym celu przechodzi autor bardzo pobieżnie dzieje filozofii zacząwszy od „przedsokratycznego realizmu“ a skończywszy na Heglu. Autor powtarza się aż do znudzenia choć przyznać trzeba, że pisze jasno i zrozumiale. Wartości naukowéj musimy odmówić

tej pracy już z tego względu, że autor nie uwzględnia najnowszych prac na polu filozofii i nie podaje nigdzie skąd czerpie swoje wiadomości.

4) Sprawozdanie dyrekcyi gimn. w Stanisławowie na r. 1882 i

5) Sprawozdanie c. k. wyższego gimn. w Wadowicach na rok 1882 mieszczą w sobie dwa specyalne studya odnoszące się do języka Sofoklesa p. t. *„Elipsy w tragedyach Sofoklesa“ przez dr. Niementowskiego* i *„Dualis u Sofoklesa“ przez Bednarskiego. — Tłomaczenie dwóch wierszów Sarbiewskiego przez prof. Parylaka*, odznacza się wiernością ale brak mu zupełny poczucia artystycznego.

6) Sprawozdanie dyrekcyi c. k. wyższego gimnazyum w Kołomyi za rok 1882. Kołomyja 1882. *Flora miasta Kołomyi i jego okolicy, napisał prof. L. Wajgel.*

Florę okolicy kołomyjskiej położonej pod Karpatami badał oprócz Zawadzkiego i Herbicha (Die bisher bekanten pflanzen Galiziens u. Bukowinas. Wien 1872), częściowo Śleńdziński (z Rocznika komisyi fizyograficznej. Kraków 1874) i dr. Rehmann: „Materyały do flory wschodnich Karpat,“ a w końcu sam Wajgel w książce: „Rys miasta Kołomyi, 1879.“ Ponieważ Wajgel, zostający stale w Kołomyi, zwiedzał okolice te w różnych porach roku i miesiącach w celu etnograficznym, faunicznym i florystycznym, przeto wyliczył więcej roślin od poprzedników i podał więcej stanowisk dla gatunków bądź już znanych bądź dla tej miejscowości nowych, uzupełnił u wielu czas kwitnienia i podał przegląd ich geograficznego położenia. Główne miejsce wycieczek florystycznych autora stanowił obszar obejmujący w promieniu do dwóch mil i należący do zlewiska Prutu. Jestto miejsce gdzie świat stepowy styka się najbliżej ze światem górskim. Północną część bowiem, począwszy od Kołomyi, cechuje czarnoziem podolski, doliny poprzerzynane leniwemi rzekami, łąki podmokłe, uprawa pszenicy na wielkie rozmiary, w dąbrowach gęsta leszczyna i horłowina, gnieżdżące się dropie i mieszkające na polach susły, z chrząszczów: żuk krawiec, z pająków tarantula cechują zupełnie świat stepowy podolski. Na południe zaś od Kołomyi tuż za Prutem rozpoczyna się świat odrębny, górski. Przekonują nas o tém nietylko sterczące pasma Karpat, piaskowiec karpacki, źródła solne, smerekowe i bukowe lasy i szumiący po kamykach Prut, ale nawet sami mieszkańcy z właściwościami górskiego ludu pod względem budowy ciała, stroju, zwyczajów i obyczajów. Z powyższego zarysu miejscowości pozna biegły florysta łatwo obraz tej flory opisanej przez Wajgla. Autor naliczył 715 gatunków samych roślin jawnokwiatowych, które ma uzupełnić jeszcze spisem roślin skrytokwiatowych.

7) Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazyum tarnopolskiego za rok 1882, we Lwowie 1882. *Geneza, rodzaj i znaczenie funkcyjne słów polskich wytworzonych z pierwiastków za pośrednictwem przyrostku „ną“ napisał prof. dr. A. Kosiba.*

W pierwszéj części traktuje autor o genezie słów klasy drugiéj, dzieląc je ze względu na końcową głoskę tematu, spółgłoskę albo samogłoskę na dwie grupy, które się rozpadają na kilka grup (z tematem kończącym się na spółgłoskę gardłową, zębową, płynną itd.). Obok pierwiastków w ich dzisiejszém brzmieniu stawia autor pierwiastki w języku starosławiańskim. Wyłuszczywszy w ten sposób etymologiczne pochodzenie tych słów przechodzi po krótce ich rodzaje i znaczenie, podając liczne przykłady z pism wzorowych pisarzy różnych wieków z prozy i poezyi, grupując je według tego, czy są przechodnie, dokonane, doraźne i t. d. Cała rozprawa opiera się przeważnie na Miklosichu i Małeckim z *zupełném* pominięciem najnowszych badań lingwistycznych.

8) Sprawozdanie dyrekcyi c. k. szkoły realnéj w Tarnopolu za rok szkolny 1881—82. Tarnopol 1882. *Karl des Grossen Züge gegen die Sachsen vom* (sic) *prof. Zdziarski.*

Rozprawa ta, bardzo sumiennie napisana, nie może nas tutaj bliżéj zajmować. W pierwszéj części przechodzi autor na podstawie źródeł i nowszéj literatury naprzód 5 wypraw Karola W. na Sasów (772—785), potém dalsze wyprawy (w latach 782—785). W drugiéj części opisuje wojny Karola W. z Sasami (786—804).

9) *Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Jaśle za rok 1882.* Jasło 1882. Notujemy tylko obszerną rozprawę prof. Nowotnego p. t. „O rozwiązaniach zrównań różniczkowych.“

10) Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Tarnowie za r. 1882. Tarnów 1882. *Kilką uwag o stosunku sztuk pięknych do rzeczywistości dr. Pechnika.*

Jest-to charakterystyczną cechą wszystkich prac umieszczonych w sprawozdaniach gimnazyalnych, że mało uwzględniają najnowsze badania naukowe, niniejsza rozprawa nosi najwybitniéj tę cechę i robi wrażenie jak gdyby była napisaną za czasów nader od chwili dzisiejszéj odległych. Filozoficzne stanowisko autora odsłania w całéj pełni rozdział o „Cudowności,“ w którym czytamy następujące zdanie: „Przypuszczenie, że niekiedy Bóg pozwala nawet na powstanie z grobu zmarłych nie sprzeciwia się rozumowi, zresztą świadectwo pism świętych usuwa wszelką wątpliwość w tym względzie;“ a daléj: są zjawiska „w których Bóg zawiesza prawa natury rzeczywiście, nie pozornie, dla swojéj chwały i dla pożytku człowieka, na prośbę swoich świętych.“ Po ogólnych uwagach o sto-

sunku sztuki do natury, opowiada autor dość obszernie o charakterach poetycznych, nie bez wycieczek na Daudeta, Zolę i t. p. materyalistów. Oto jak im radzi przedstawiać miłość. „Miłość płciowa jeżeli ma być pięknym dla sztuki przedmiotem, musi być niewinną, musi pozostać w zakreślonych jéj przez Boga granicach, nie powinna wypierać z serca miłości należnéj Stwórcy.“ Zestawiając sztukę i religię w następnym rozdziale dochodzi do takiego rezultatu: „Po różnych doświadczeniach, które zrobiła sztuka goniąc po całym prawie świecie za sposobnemi przedmiotami, okazało się dzisiaj, że nigdzie nie może znaleść piękniejszych i godniejszych swego *wysilenia* jak w dziejach kościoła starego i nowego Testamentu. Dla budownictwa będzie zawsze najwdzięczniejszém zadaniem wznosić okazałe świątynie, dla muzyki—towarzyszyć modłom wiernych, dla malarstwa i rzeźby — wyobrażać Chrystusa i przyjaciół; samego Zbawiciela, jego Matkę i Apostołów może poezya tylko w pewnych razach wprowadzać, bo na główne osoby są oni dla niéj za wielcy....“

H. B.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego Tomy II i III, seryi I. *Wiadomości początkowe z fizyki* napisał Stanisław Kramsztyk. Książeczka I-sza, X, 77, cena kop. 30. Książeczka II-ga, VIII, 132, cena kop. 45. Z drzeworytąmi w tekście. 12-ką.

Do wydawanych u nas *Biblioteki umiejętności lekarskich* i *Biblioteki umiejętności prawnych* przybywa obecnie *Biblioteka matematyczno-fizyczna*. Gdy pierwsze mają za zadanie wzbogacanie literatury ojczystéj pracami treści specyalnéj i dziełami przeznaczonemi dla pracujących teoretycznie lub praktycznie w medycynie lub prawie, ostatnia Biblioteka przeciwnie— ma na widoku przedewszystkiém uczącą się młodzież, jest wydawnictwem z charakterem przeważnie pedagogicznym. Zadanie główne wydawnictwa tego polega na wygotowaniu całego szeregu podręczników do matematyki i fizyki, do nauki początkowéj, średniéj i wyższéj. Plan wydawnictwa pomieszczony na kartce tytułowéj wyszłych dwóch tomików, z pewnemi zmianami i objaśnieniami powtórzony został w Nr. 17 i 18 „Nowin“ z roku bieżącego. Jest on następujący: Wydawnictwo całe składać się ma z czterech seryi, odpowiadających czterem stopniom wychowania a raczéj nauczania szkolnego. Serya pierwsza ma być poświęconą wychowaniu początkowemu i objąć ma: *a)* początki arytmetyki wraz z najprostszym wykładem geometryi i odpowiedniémi zadaniami; *b)* wiadomości początkowe z fizyki; *c)* wiadomości początkowe z geografii fizycznéj i meteorologii; *d)* wiado-

mości o najprostszych narzędziach i mechanizmach wraz z najprostszemi wiadomościami z technologii. Serya druga ma na celu ogólne kursy wychowania profesyonalnego oraz wogóle wychowanie średnie niższego stopnia; wejdzie tutaj: *a*) arytmetyka; *b*) geometrya elementarna w wykładzie przystępnym z odpowiedniemi zadaniami i dodatkiem o miernictwie; *c*) krótki wykład algebry według planu przeprowadzonego w „Algebrze dla szkół narodowych“ Lhuiliera z r. 1786; *d*) systematyczny wykład fizyki; *e*) przystępny wykład kosmografii i geografii fizycznéj z meteorologią; *f*) systematyczny wykład nauki rysunków technicznych. Serya trzecia przeznaczona dla wychowania średniego obejmować ma: *a*) i *b*) arytmetykę, kurs teoretyczny z „drobiazgowemi“ wskazówkami dla uczących i z oddzielnym tomem zadań; *c*) algebrę elementarną z zadaniami i teoryą przybliżeń liczebnych; *d*) geometryą elementarną w wykładzie systematycznym; *e*) krótki wykład systematyczny elementarnych własności przecięć ostrokręgowych; *f*) trygonometryę płaską i kulistą; *g*) miernictwo; *h*) systematyczny wykład fizyki; *i*) kosmografią i geografią fizyczną z meteorologią; *j*) geometryą wykreślną w zakresie szkół średnich; *k*) mechanikę elementarną. Serya czwarta obejmie następujące kursy nauczania wyższego w uniwersytetach i szkołach specyalnych: *a*) wstęp do analizy; *b*) rozwiązywanie równań liczebnych; *c*) teoryę ogólną równań algebraicznych; *d*) geometryą analityczną; *e*) geometryą syntetyczną; *d*) i *e*) rachunek różniczkowy i całkowy z tomem ćwiczeń; *f*) metodę najmniejszych kwadratów; *g*) zasady mechaniki teoretycznéj; *h*) rachunki wykreślne.

Oto zakres przedmiotów wejść mających do Biblioteki, która według tego planu składać się ma z 31 tomów, do których przybędzie jeszcze tom dodatkowy zawierający Słownik matematyczno-fizyczny. Plan ten bez przesady można nazwać bardzo bogatym: wydawca pragnie widocznie, jakby jedném wysileniem, zapełnić wszystkie braki w naszéj literaturze pedagogicznéj z zakresu matematyki i fizyki,—nie zadawalniając się jednym stopniem nauczania, chce on puścić w świat podręczniki służyć mające dla każdego, kto się uczyć pragnie w ojczystym języku, od malca zaledwie czytać umiejącego do młodzieńca przystępującego do ostatecznego egzaminu uniwersyteckiego. Przyznajemy, że jest-to zadanie niełatwe, i pan Baraniecki będzie miał słuszne prawo do wdzięczności publicznéj, jeżeli przedsięwzięcie to doprowadzi do skutku. Prawo to dzielić z nim będzie kasa pomocy imienia Mianowskiego, a raczéj uczestnicy téj instytucyi, która części funduszów swych udzieliła na nakład wydawnictwa. Wydawnictwo nabiera skutkiem tego charakteru wydawnictwa publicznego, a pan Baraniecki jest niejako mandata-

ryuszem, od którego ogół uczestników słusznie żądać może, aby wydawnictwo na tak wielką skalę podjęte, mogło być doprowadzoném do końca. Rozumie się, że poparcie publiczne stanowi w tym razie warunek niezbędny.

Do wspólnéj pracy nad tém wydawnictwem powołał pan Baraniecki dwudziestu współpracowników (porównaj Nr. 17 „Nowin“), z których jedni są zaszczytnie znani ze swoich prac naukowych lub działalności nauczycielskiéj, inni zaś są prawie lub wcale nieznani na polu piśmiennictwa naukowo-pedagogicznego. Powołanie nowych sił do pracy może być tylko dla nas pożądaném, jeżeli osoby te posiadają konieczne w tym przypadku doświadczenie pedagogiczne.

Sam plan wydawnictwa nie przesądza jeszcze szczegółów wykonania. O tych sądzić będzie można dopiero, widząc prace gotowe. Umiejętny dobór treści, układ, jasność, zwięzłość, ścisłość wykładu, poprawność i czystość języka, są to rzeczy, które w tém jak i w każdém wydawnictwie, są pierwszorzędnéj wagi. Pod tym względem pierwsze tomiki, o których niżéj kilka słów powiemy, są dobrą wróżbą dla całego wydawnictwa.

W seryi czwartéj zauważyć można brak niektórych działów matematyki wyższéj: nie spotykamy tu wykładu rachunku waryacyjnego (chyba że włączony będzie do całkowego), teoryi liczb, rachunku prawdopodobieństwa. Innych specyalnych teoryi nie śmiemy obecnie żądać, póki nie będziemy mieli rzeczy zasadniczych. Równania różniczkowe, teorya wyznaczników, geometrya wykreślna zostały wyłączone dla tego, że niedawno wyszły dzieła mogące z korzyścią służyć za podręczniki w tych działach matematyki.

Biblioteka matematyczno-fizyczna bezwątpienia wzbogaci naszę literaturę matematyczno-pedagogiczną, do któréj ubóstwa w ostatnich czasach przyczynić się musiała ta okoliczność, że młodzież nasza uczy się w szkołach z książek w języku urzędowym i nie ma czasu na czytanie dzieł w języku ojczystym. Jedynie książki pedagogiczne dla wieku przedszkolnego mogły się u nas rozchodzić; nie wątpimy jednak, że dobre książki i do nauki późniejszéj znajdą czytelników, zwłaszcza, jeżeli autorowie starać się będą o to, aby młodzież z korzyścią czytać je mogła. Bibliotece matematyczno-fizycznéj otwiera się tu wdzięczne bardzo pole działania.

Podoba się téż nam bardzo, że wykład w książkach seryi 3-téj i 4-éj ma być poprzedzony wstępami historycznemi uwzględniającémi najważniejsze momenty w rozwoju nauki i naszych usiłowań na polu naukowém. Historyczna część wykładu u nas była i jest w zupełném zaniedbaniu, a wielka szkoda bo wiadomości historyczne w ciągu kursu nietylko zaciekawiają uczniów, ale przyczyniają się

w wysokim stopniu do należytego zrozumienia dróg, po jakich postępował umysł ludzki na drodze odkryć naukowych. U nas, niestety, historya nauk ścisłych, a zwłaszcza matematycznych, wcale uprawianą nie jest, i dlatego z prawdziwą przyjemnością witamy tę zapowiedź Biblioteki, która niejednego z jéj współpracowników może zwrócić na drogę poszukiwań historycznych i niejednego z przyszłych jéj czytelników na drogę samodzielnéj pracy w tym kierunku na przyszłość. Pragnęlibyśmy tylko, aby część historyczna była opracowaną zgodnie z najnowszemi zdobyczami historyi matematyki. A jeżeli wolno nam tu wyrazić swoje osobiste życzenie, to z radością ujrzelibyśmy oddzielny tom Biblioteki, zawierający krótką historyę matematyki. Wiem, że na napisanie historyi matematyki, szczególniéj dla nas, jest zawcześnie, ale ułożenie przebiegu jéj rozwoju i charakterystyki ważniejszych odkryć dałoby się może ułożyć na zasadzie wybornych dzieł zagranicznych.

Ciekawi téż jesteśmy tomu dodatkowego, mającego zawrzeć Słownik matematyczno-fizyczny, szczególniéj wobec obietnicy, jaką nam daje wydawca: „mają w nim być bowiem uwzględnione wszelkie wyrazy i wyrażenia techniczne u różnych autorów spotykane; wskaże to najprzód kolejny rozwój u nas terminów naukowych, a nadto wykazując drobiazgowo, czym się u nas zajmowano, rzuci najlepsze światło na historyczny postęp odpowiednich nauk u nas. To dzieło będzie w przyszłości ważnym towarzyszem każdego piszącego w téj dziedzinie“ (Nowiny, 18).

Tak jesteśmy przyzwyczajeni do ubóstwa naszéj literatury naukowéj, że z pewném niedowierzaniem czytamy te przyrzeczenia. A wydawca przyrzeczeń nie skąpi, oświadczając, że może z czasem będzie można pomyśléć o wydawaniu prac specyalnych w seryi IV. Czy nie za ciężkie to zadanie na szczupłe siły i zasoby nasze?.... Ale chciejmy wierzyć, że siły i zasoby rosnąć będą z czasem, zwłaszcza, że wydawca rozkłada pracę na większą liczbę lat.... Dodamy jeszcze, że w pracy redakcyjnéj pomaga p. Baranieckiemu p. Kwietniewski, b. docent Szkoły Głównéj i zasłużony nauczyciel matematyki w szkołach publicznych.

Przechodząc od tych uwag ogólnych do pierwszych dwóch tomików możemy pochwalić wybór wydawcy. *Wiadomości początkowe z fizyki* pana Kramsztyka są może pierwszém oryginalném dziełkiem tego rodzaju w nowszéj literaturze pedagogicznéj u nas. Znamy tylko jedno podobne dziełko w téj gałęzi, a jest niém „Fizyka dla szkół początkowych“ Crügera, w tłómaczeniu polskiém Józefczyka, ale książeczki pana K. zdaniem naszém mają niezaprzeczoną wyższość nad dziełkiem Crügera, które doczekało się już czwartego wy-

dania, jako zaradzające istotnéj potrzebie w nauczaniu początkowém. Téj potrzebie w sposób doskonalszy zaradza dziełko pana Kramsztyka, zapoznające młodziutkie umysły ze światem zjawisk fizycznych, którego znajomość pobudza ciekawość, zaostrza władze myślenia i przynosi wielką korzyść praktyczną. Książeczki p. Kr. wprowadzają fizykę do każdego domu, do każdéj szkółki. Książeczka pierwsza zawiera działy następujące: o ciążeniu, cieczach i o powietrzu, zawarte w 34 paragrafach, w których wykładają się najważniejsze wiadomości ze statyki i hydrostatyki i t. d.; szczególniéj wykład o własnościach cieczy i o ciśnieniu powietrza jest wyborny i może być z korzyścią stosowany i do starszych uczniów. Książeczka druga zawiera działy o cieple, głosie, świetle, magnetyzmie i elektryczności, zawarte w 46 paragrafach. Nauka o cieple zawiera mnóstwo ciekawych własności i zajmujących objaśnień. Wywód o magnetyzmie i elektryczności mniéj może jest zajmującym, ale nie poczytujemy tego za wadę, bo autor dla rzekomego zajęcia czytelnika swego nie poświęca nigdzie ścisłości, wymagając, i to słusznie, aby uczeń nie bez pewnego trudu i wysilku zyskiwał wiedzę rzetelną. A wiedzę rzetelną daje dziełko pana K., bo uczy malca: spostrzegać zjawiska, robić doświadczenia i wyprowadzać prawa zjawisk. Autor potrafił zachować wyborną systematyczność w wykładzie, wszędzie odznaczającym się jasnością i przejrzystością. Z wiadomości początkowych opuszczono zjawiska meteorologiczne, które mają być wyłożone w innym tomiku, wykład o równi pochyłéj, o spadku ciał, wahadle i zastosowaniach jego, pozostawiając te rzeczy do seryi drugiéj, chociaż niektóre z nich nadać by się mogły, do seryi pierwszéj.

S. Dickstein.

Ziemia w krajobrazach (La Terre à vol d'oiseau). Geografia przez Onezyma Reclusa. Tłóm. z 3-go wyd. fran. Warszawa 1883.

Olbrzymia a niedokończona jeszcze geografia Elizeusza Reclusa zapewne nieprędko doczeka się polskiego wydania, więc bezimienny tłómacz, jak twierdzi w przedmowie, podjął się spolszczenia skróconéj (chyba krótszéj) geografii Onezyma Reclusa, drugiego z rodziny słynnych geografów; przytém kraju naszego nie rozszerzał, aby „zachować te same warunki perspektywy, jakie opisowi swemu chciał nadać autor.“ Rozumiemy ten szacunek dla „perspektywy“: łatwiéj było tłómaczowi ją zachować niż niezachować. Co do Reclusa to niewielebyśmy mu mieli do zarzucenia, wprawdzie specyalista nie dowie się nowych rzeczy z jego dzieła, ale też nie rości ono do tego pretensyi, trzymane jest w tonie popularnym

i przeznaczone widocznie dla szerszéj publiczności. Obrazy krajów i ludów, uwzględniając warunek „à vol d'oiseau,“ są wogóle wierne i barwne, czasem nawet bardzo charakterystyczne szczególniéj dosadnie charakteryzuje Reclus „conquistadorów,“ owych bojowników wiary katolickiéj a zarazem chciwych rozbójników, owych apostołów a zarazem katów, co zabijali zwykle w dzień po dwunastu Indyan na pamiątkę dwunastu apostołów, co po objęciu kraju w posiadanie stawiali mieszkańcom piękny dylemat: krzyż i szubienicę! Wogóle u obu Reclusów drga wszędzie żywo szlachetny ton oburzenia na nędze téj ziemi i współczucia dla cierpień ludzkości.

Do wad dzieła zaliczamy zanadto pobieżne zbycie ogólnéj części geografii (geografii fiycznéj i etnologii) na kilku tylko kartkach; szowinizm w sądzie o Niemcach, którzy zawinili ciężko że nie dali się pobić Francuzom; a zarazem dziecinny prawie entuzyazm w traktowaniu kwestyi francuzkich kolonij. Oto np. co mówi Reclus o Tuaregach: „Tuaregowie z Francuzami, których poczęści *lubią*, poczęści *boją się*, wchodzą w *układy zabezpieczające* przejście karawanom.“ Po fatalnéj misyi półkownika Flattersa słowa te są tak gorzką ironią, że tłómacz byłby tu zrobił prawdziwą przysługę Reclusowi, gdyby był popsuł „perspektywę.“ Nakoniec do wad dzieła szczególniéj popularnego musimy téż zaliczyć dziwne zamiłowanie Reclusa do cyfr, których dokładność posuwa on nieraz do absurdum. Wie on ile hektarów ma najmniejsza wysepka, podaje przy każdéj prawie rzece ilość wody toczonéj na sekundę, wie że Kaukaz ma równo 150 gór wyższych nad 3,000 metr. Ba! wie nawet, że akurat na $1/3$ Europy rodzą się wynalazcy, poeci i artyści, że $1/3$ Albańczyków stanowią bohaterowie a $2/3$ bandyci itd. itd.

Co do tłómacza to musimy wydać sąd mniéj korzystny, a sąd ten nie odnosi się do języka, który jest wogóle nie zły i czyta się gładko, ale do tego, że tłómacz nie znał przedmiotu tłómaczenia. Nieznajomość ta objawia się szczególniéj w licznych anachronizmach naukowych, albowiem oryginał francuzki, jak sądzimy, musiał wyjść w 1877 lub najpóźniéj 1878 r., przez te cztery lub pięć lat w nauce tak ruchliwéj, tak bystro rozwijającéj się i tak wszechstronnéj jak geografia, zaszły olbrzymie zmiany: dawne teorye zostały dawno zapomniane, tajemnicze dawniéj krainy i nierozstrzygnięte zagadki już są całemu światu znane, całemu, wyjąwszy—tłómacza. O języku Armeńczyków np. powtarza tłómacz za Reclusem, że należy do gałęzi erańskiéj języków aryjskich, gdy tymczasem według nowszych badań (Russische Revue 1880) stanowi on gałęź oddzielną, stojącą między erańską i starolitewską. O górach Thian Szan mówi, że są pochodzenia wulkanicznego, gdy tymczasem podróżnicy rosyjscy, Re-

gel i Kołpakowski dowiedli, że mniemane wulkany są gorejącémi pokładami węgla. Góra Bogdo Ola w Thianszanie ma panować nad jeziorem Lob Nor, gdy tymczasem od podróży Przewalskiego 1877 wiadomo, że jezioro to nie leży u południowego stoku Thianszanu lecz u północnego—Kucu Lunu (Altyn Tag). Dla tłómacza źródła Nigru odkryte w 1879 r. są jeszcze „nieznane“ również „nieznaną“ jest rzeka Kongo odkryta 1877 przez Stanleya, tłómacz nie wie, że jest ona dalszym ciągiem Lualaby. Nic téż nie wie tłómacz o podróży majora Serpa Pinto 1879 r. i wiadomości o téj części Afryki przypisuje jedynie Władysławowi Magyar. Wierzy jeszcze w mityczną Lemuryą „zagrzebaną“ (sic!) w falach oceanu itd. itd. Wszystkie te jednak anachronizmy są jeszcze niczem wobec tego, że dla tłómacza wciąż jeszcze „Hercogowina żuje niecierpliwie wędzidło tureckie“ że u nas mało zajmują się geografią, to wiadomo, ale żeby ktoś był tak mało u nas obznajmiony z polityką, to już prawdziwy fenomen!

Widzimy więc do jakiego stopnia tłómacz pozostał wiernym „perspektywie“; w jednym tylko miejscu odstąpił zdaje się od niéj, ale na nieszczęście w kierunku ujemnym. Oto co czytamy na str. 75 t. II: „Jezioro Tanganyika ma wodę słodką, musi więc koniecznie zasilać się jakimś *dopływem*“. Musi to być jakiś błąd tłómacza: Reclus niemógł żadną miarą dopuścić się takiéj herezyi geograficznéj, Słodkość wody wymaga *odpływu* nie *dopływu*; zresztą Tanganyika ma niezupełnie słodką wodę, gdyż rzeka Luhugo nie jest stałym odpływem jeziora, jak tego niedawno dowiódł młody lecz nadzwyczaj śmiały i energiczny podróżnik angielski Thomson.

Mimo to wszystko jednak tłómaczowi należy się wdzięczność za zmudną pracę i koszt, jaki wyłożył na wydawnictwo naukowe, które rzadko się u nas opłaca. Mimo powyższych anachronizmów książka jego może wzbudzić interes i przynieść pożytek przeciętnemu czytelnikowi. Szkoda, że tłómacz przed oddaniem rękopismu do druku nie powierzył go komuś kompetentnemu dla usunięcia anachronizmów i popsucia „perspektywy.“

Wacław Nałkowski.

= **Pamiętniki R. Wybranowskiego** (*Lwów 1882 tom I 391 tom II str. 291*). Autor pamiętnika znany generał i naczelny dowódca gwardyi narodowéj lwowskiéj ur. w r. 1780, zaciągnął się do wojska w młodym wieku po ukończeniu nauk w kollegium Franciszkanów we Lwowie, w pamiętnym dla nas roku 1809 i wytrwał w tym stanie w różnych okolicznościach przez 22 lata swéj chwalebnéj służby

wojskowéj. Chrzest rycerski otrzymał pod Tarnopolem dnia 14 lipca 1809 w awanturniczéj wyprawie Wachmistrza Jaszczółta, który z małą garstką ludzi omal że nie wykradł austryackiego generała Pikinga z jego kwatery w Zagrobel (pod Tarnopolem). Kampanią roku 1812 odbył jako kapitan adjutant *major* w korpusie ks. Józefa Poniatowskiego. Brał czynny udział przy wzięciu Smoleńska, bił się pod Możajskiem i pod Czerychowem a potém pod Wiazmą i brał udział w nieszczęsnéj przeprawie przez Berezynę. W kampanii 1813 r. przeciwko armi sprzymierzonéj był czynny prawie we wszystkich bataliach szczególnie w bitwie pod Lipskiem. Służył potém w wojsku polskim pod ks. Konstantym (1815—1830). Dzieje te zacząwszy od kampanii galicyjskiéj (2 maja 1809) aż do tego roku opisuje Wybranowski w Pamiętniku trochę pobieżnie zwłaszcza rządy w. ks. Konstantego, którego charakter i działalność przedstawia z widocznem uprzedzeniem. Od koronacyi Mikołaja i od ogłoszenia Dyktatury w 1831 nabiera opowiadanie autora większego historycznego znaczenia. Szczegółowo, umiejętnie i sumiennie opisuje bitwę pod Grochowem, Wawrem, Dębem, Ostrołęką itd. Opowiadanie téj części nie jest zajmujące ale posiada zato prawdziwą wartość historyczną. Autor brał w tych wypadkach jako pułkownik czynny udział i odznaczał się niezwykłém męstwem, w ogóle zajmują autora jako wojskowego więcéj zewnętrzne wypadki, bitwy, wyprawy, marsze itp. czasem skreśli nam charakterystykę dowódcy, wyższych albo niższych wojskowych ale to nie osobliwie. Cały pamiętnik spisany dośc późno—na wsi, kiedy dziarski żołnierz zmienił miecz na lemiesz „w latach 1837—8.“ Ta okoliczność zmniejsza nieco wielkiéj doniosłości wartość tych pamiętników. W II tomie mieszczą się krótsze szkice i wspomnienia autora z lat 1812 i 1831. Cenny przyczynek do *wewnętrznych* dziejów pierwszéj połowy tego wieku zawiera następujące opowiadania: „Zdarzenie podczas zawieszenia broni w lipcu 1813.“ „Kozak Maksym i Józko (czasy ks. Józefa)“ i „Wybór posła w Rawie 1828“ rzucający jaskrawe światło na smutny stan naszéj drobnéj szlachty i „obywatelstwa.“ Wspomnienia autora nabierają życia kiedy każe defilować przed nami majorom i pułkownikom swoim przyjaciołom i nieodstępnym towarzyszom broni, kreśląc w udatnych sylwetkach postacie, Sienkiewicza (Józefa), Rembowskiego, Płończyckiego i innych. Niepospolitą wartość dla historyka mają połączone dokumenta i dodatki a przedewszystkiém raporta o bombardowaniu i kapitulacyi miasta Lwowa 1848. Autor jak wspomniałem był naczelnym dowódcą gwardyi narodowéj, odbierał te raporta od podwładnych i posyłał także sprawozdania ministeryum spraw wewnętrznych w Wiedniu. Wychodzą tu na jaw smutne rzeczy:

„Zamiarem moim—powiada autor w jednym raporcie—nie było ani być nie mogło powstanie, ani bronienie miasta (Lwowa) przeciw c. k. wojskom, nie występowałem jako żołnierz do boju lecz jako pośrednik pomiędzy wzburzonym i przestraszonym ludem a rządem i wojskiem. Okropny obraz tych czasów nie traci jednak na jaskrawości: „Rejestra szpitalów tutejszych wykazać mogą ile w tych dniach było starców kobiét i dzieci rannych—ile trupów na ulicy padło Bóg tylko wie i żałobę noszoną w sercach biednych krewnych i przyjaciół tych ofiar nieszczęśliwych. Czas kiedyś odkryje prawdę a hańba zasłużona spadnie na sprawców téj okropnéj katastrofy.“ Do poznania tych czasów przyczyniają się po części także listy gubernatorów Galicyi Stadiona, Hammersteina, generałów Bema, Załuskiego itd. Cennym dodatkiem są dokładne tablice, stan wojska, listy oficerów, raporta wojenne itp. spisy i wykazy odnoszące się do 1851 r. Już z téj pobieżnéj relacyi można poznać realną wartość téj książki w porównaniu do pamiętników, których liczba mnoży się u nas jak grzyby po deszczu, a które mają zazwyczaj bardzo małą wartość tak pod względem historycznym jak literackim. Szkoda tylko że ten cenny materyał dostał się w ręce niekrytycznego wydawcy, który przez nieznajomość elementarnych zasad wydawniczych obniżył znacznie wartość pamiętnika. I tak np. nie wiemy czy wszystkie załączone dokumenty są autografami. Czy te tablice i spisy wojska są pióra Wybranowskiego; wydawca nie daje o sobie żadnéj wieści. Jest-to chwalebna *skromność*—ale zgubna dla nauki. Co się tyczy układu to panuje tu istny chaos. Wydawca nie przestrzega nawet chronologicznego porządku, bo umieszcza np. rzeczy z 1812 przed r. 1848 a opowiadanie z téj ostatniéj epoki przed r. 1841. Nawet spis rzeczy jest niedokładny.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Parcelacya.—Próbka jéj statystyki.—Ile gruntów nabyli włościanie od folwarków drogą parcelacyi.—Dla czego gospodarstwa drobne stoją dziś niżéj od wielkich.—Obecny stan własności włościańskiéj.—Szachownica.—Gospodarstwa karłowate.—Obliczenie średniéj przestrzeni gruntów w osadach włościańskich.—*Gazeta Rolnicza* o parcelacyi.— *Ekonomista* wskrzeszony.— Giełda pracy.—Kredyt włościański. — Obecny stan kas gminnych.

Sprawa parcelacyi od dość dawna obszernie jest dyskutowana w prasie naszéj, dotąd jednak tak obrońcy jéj jako téż i przeciwnicy, walczą przedewszystkiém argumentami teoretycznémi, warto już sprowadzić kwestyą na grunt faktów. W opinii ziemian, tych przynajmniéj którzy pisują do dzienników, parcelacya jest wyrazem ruiny własności większéj, niszczyć ma ona porządną kulturę i demoralizować samychże włościan,—obrońcy jéj znowu w zwiększaniu się obszarów zajmowanych pod uprawę mniejszą widzą korzyści dla ogólnéj ekonomii kraju. Jakkolwiek użytecznem być może wyjaśnienie kwestyi ekonomicznych w teoretycznych poglądach, ale spór na polu abstrakcyi, w danym razie, może się ciągnąć do nieskończoności. Dyskusye podobne oddawna już toczą się w całéj Europie, popierane ze stron obu poważnémi studyami nad produkcyą gospodarstw dużych lub drobnych i długiémi szeregami cyfr statystycznych, a jednak niedoprowadziły one do zwycięstwa téj lub owéj teoryi; zapewne dla tego, że w niektórych razach jedni, w innych znowu wypadkach drudzy mają słuszność, że pewne uprawy lepiéj się udają na wielkich obszarach, inne znowu na małych, ostatecznie zaś warunki miejscowe gleby, umiejętności gospodarskiéj i położenia rynku decydować muszą w praktyce czy wygodniéj uprawiać obszar mniejszy czy większy, i które gospodarstwo więcéj produkować jest w stanie. Jedno można twierdzić na pewno, że właściciel wielkiego obszaru ziemi uprawnéj, jeżeli ma w swém rozporządzeniu odpowiedni kapitał, będzie w stanie lepiéj urządzić gospodarstwo swoje, trzeba tylko żeby zrobić to umiał i chciał, a te dwa

ostatnie warunki nie wchodzą już zgoła w zakres ekonomicznych teoryj i na ich podstawie decydować o nich nie można.

Nim potrafimy podać czytelnikom naszym dokładniejsze badania porównawcze nad korzyściami małéj i wielkiéj uprawy w kraju naszym, dla wyjaśnienia, o ile parcelacya obecnie u nas praktykowana przyczyniła się do rozszerzenia granic drobnéj własności, weźmy kilka ogólniejszych danych z naszéj statystki rolniczéj.

Podług wykazów, sporządzonych na podstawie ostatecznie sprawdzonych tabeli likwidacyjnych, włościanie w dobrach prywatnych i instytutowych, w pierwszych chwilach po uwłaszczeniu, posiadali wraz z mieszkańcami osad: 5,458,907 morgów, a włościanie w dobrach rządowych 2,331,459 mrg., tj. razem drobna własność wynosiła wówczas 7,790,366 mrg. Cyfra ta w 1881 r. podniosła się do 8,698,134 mrg., czyli że obszar własności włościańskiéj powiększył się o 907,768 mrg.

Na powiększenie złożyły się dwa procesy ekonomicze: zamiana służebności pastwiskowych i leśnych oraz parcelacya. Z 317,064 osad, którym przyznano prawa serwitutowe, dotąd ułożyło się o zamianę 100,138 osad. Ile morgów otrzymały osady te w zamian za służebności — nie wiadomo. Wykazy jednak towarzystwa kredytowego ziemskiego, obejmujące dobra w niém zadłużone, a stanowiące 75% ogółu większéj własności, przekonywają, że średnio każda osada otrzymała za służebności 3,5 mrg. z obszaru folwarcznego. Z uwagi, iż wykazy towarzystwa dotyczą przeważnéj większości dóbr ziemskich, uważamy za możliwe przyjąć 3,5 m. jako cenę średnią tytułów serwitutowych i dla innych osad, umawiających się o zamianę z folwarkami. Przybliżone to obliczenie da nam sumę 350,483 mrg., jako otrzymaną przez osady włościańskie za służebności. Po strąceniu zaś téj sumy z ogólnéj ilości morgów, o jaką powiększyła się dotąd własność włościańska, dojdziemy do liczby morgów—557,285, która już przeszła na własność włościan drogą parcelacyi.

Powyższych danych nie możemy uważać za zupełnie ścisłe, w przybliżeniu jednak malują one dostatecznie udział czynników w sprawie powiększania się obszarów włościańskich. W przeciągu 17-tu lat ostatnich od 1864 r. począwszy 5/9 ogólnego przyrostu drobnéj własności jest dziełem parcelacyi, rocznie więc większa własność sprzedawała włościanom średnio po 32,700 mrg.

Cyfry te nie są tak wysokie, ażeby można dopatrywać w nich wskazówkę upadku gospodarstwa folwarcznego — skutkiem parcelacyi. Nic mniéj jednak nie należy ich lekceważyć. Drobna własność jest jeszcze ekonomicznie tak słabą, rozporządza tak skromnémi zasobami, że jeżeli zdobywa się na kupno jakichś trzydziestu czy

czterdziestu tysięcy morgów rocznie, to fakt ten już wymowne daje wskazówki. z jednéj strony tendencyi włościan do nabywania nowych gruntów, do zaokrąglania swoich osad, z drugiéj zaś silnéj podaży odpadków folwarcznych. Większość majątków ziemskich w kraju naszym posiada jeszcze tak znaczne obszary, że ich uprawa całkowita i zaprowadzenie na nich gospodarstwa intensywnego, częstokroć napotykają niezwalczone trudności, głównie dla braku funduszu nakładowego. To téż uszczuplenie tych obszarów może być tylko korzystne, tak dla większych właścicieli ziemskich, jako téż i dla ekonomii kraju. Folwarki bowiem, zredukowane w obszarze swym do właściwych granic, będą mogły wyzyskać lepiéj bogactwa gleby i podnieść swoję produkcyą, włościanie zaś nabywając grunta od folwarków, również będą mogli wytwarzać więcéj, ulepszać uprawę i zaprowadzać gospodarstwo racyonalniejsze.

Parcelacya, prowadzona zgodnie z potrzebami rolnictwa, t. j. nie rozprzedaż wszystkich gruntów, należących dziś do większéj własności na rzecz drobnéj, jak ją pojmują przeciwnicy, lecz sprzedaż odpadków folwarcznych, części pól, na uprawę których brak kapitału, taka parcelacya jest uzasadniona nietylko z punktu teoretycznego, lecz i praktycznego.

Jeżeli w ciągu 17-tu lat włościanie skupywali rocznie średnio po 32,700 mrg. gruntów, to w ostatnich czasach cyfra ta znacznie się podniosła. Najwięcéj wypadków parcelacyi było w gubernii suwalskiéj i łomżyńskiéj, gdzie drobna własność jest i dawniejsza i pod względem ekonomicznym wyżej posunięta. Lecz i inne gubernie nie stanowią wyjątku. Dla kaliskiej i dla warszawskiéj posiadamy urzędową i zupełnie ścisłą cyfrę morgów, jaką nabyli włościanie od dworów w drodze parcelacyi. W pierwszéj, począwszy od 1864 r. drobna własność nabyła za $3\frac{1}{2}$ miljona rubli 53,759 mrg. parceli folwarcznych, w drugiéj zaś w ciągu dziesięciu lat ostatnich za $3^1/_4$ mil. rs. — 42,240 mrg.

Winniśmy zwrócić uwagę, że cyfry powyższe dotyczą jedynie gruntów włościańskich, że w obliczeniach tych pominęliśmy np. osady kolonistów niemieckich. Dla braku danych odnośnych w naszéj statystyce rolniczéj, musieliśmy poprzestać na tém, co takowa nam podaje. Wreszcie cyfry nasze brane z wykazów urzędowych różnią się od tych, jakie podają rozmaici statystycy. P. Buczyński np. w rozprawie swojéj, niedawno drukowanéj w „Bibliotece warszawskiéj", o *naszéj własności ziemskiéj*, podaje ilość gruntów, nabytych przez włościan od wielkiéj własności, na 445,840, lecz zkąd cyfrę tę wziął, nie objaśnia; liczbę zaś gruntów, przeszłych na rzecz włościan za zamianę służebności, ciążących wyłącznie na dobrach stowarzyszo-

nych w tow. kr. ziem. tenże autor bierze za wyraz ogólnego wynagrodzenia włościan w całym kraju i t. d.

Statystyka, jaką rozporządzamy, na każdym kroku umożliwia podobne sprzeczności.

Głównym zarzutem, a zarazem jedynym, opartym na cyfrach, przemawiającym na niekorzyść parcelacyi, jest fakt, iż własność włościańska u nas nie może dorównać produkcyi własności większéj, że gdy na gruntach pierwszéj zboże daje 4—5 ziarn plonu, na gruntach drugiéj rodzi się 7—8 ziarn. Ztąd więc wynikać by miało, że w miarę rozszerzania się drobnéj własności, musi się zmniejszać produkcya rolnicza, a co za tém idzie, bogactwo ogólno-krajowe. Trudno jednak oprzéć sąd o wydajności téj lub owéj uprawy, na podstawie tak chwiejnéj jak średnie cyfry statystyczne, obliczone wedle danych, w których dokładność nikt nie wierzy, a które, jeżeliby nawet były ściśle prawdziwe, zbijając w jednę masę najrozmaitsze ziarna, mogą chyba posłużyć do wniosków przybliżonych o średniéj urodzajności gruntu na przestrzeni całego kraju, ale nigdy o korzyściach, jakie ten lub ów rodzaj gospodarstwa z nich wyciągać może czy potrafi.

Zresztą, te 7—8 ziarn, jako wyraz plenności gruntów folwarcznych, podają wykazy tow. kr. ziem., wyprowadzając je z wiadomości przez samych właścicieli dostarczonych, a opartych zapewne na rejestrach gospodarskich, włościanie rejestrów podobnych nie prowadzą, ostateczną powagą, na których się opiera cyfra 4—5 ziarn ich produkcyi, są wiadomości z opowiadań sołtysów spisywane w zarządach gminnych. Gdyby różnica tak znaczna istniała rzeczywiście pomiędzy drobną a wielką własnością, to dziwić by się tylko należało, że pierwsza dotąd istnieje. Jeżeli bowiem grunta folwarczne wydają średnio 8 ziarn, a cały obszar uprawny kraju tylko 5 ziarn, to drobna własność zbiera tyle, ile wysiewa, t. j. daje średnio 1 ziarno, co jest wprost niemożliwém.

Zwracając się do warunków ujemnych, w jakich znajduje się dzisiaj drobna własność u nas, wypada zanotować tu głos ze wsi, niedawno drukowany w „Nowinach", w sprawie meljoracyi gruntów włościańskich, jest to interesująca charakterystyka gospodarstwa włościańskiego, oddana bezstronnie.

Blizko połowa gruntów ornych — czytamy w tym głosie, należy do włościan. Osady miewają najwyżéj do 40-tu morgów przestrzeni, najczęściéj zaś spotykają się 12-to, 10-cio i 6-cio morgowe. Grunta każdéj osady składają się najmniéj z pięciu kawałków: trzy w polach, jeden ogród z chatą i jeden łąki. Można jednak spotkać osady i z więcéj kawałków złożone, w podlaskiem np. tra-

fiają się osady dwudziesto-morgowe w 56 kawałkach! Cząsteczki te w formie długich pasków ziemi, ułożone są w tak zwaną szachownicę, t. j. oddzielone od siebie posiadłościami innych włościan. Odległość tych kawałków od zabudowań dochodzi niekiedy do pięciu wiorst i więcéj, szczególniéj w miasteczkach rolnych, średniéj oznaczyć nie można, gdyż ta jest zależna od ogólnego obszaru danéj wsi. Im wioska jest mniejsza, tym średnia odległość wypadnie mniejsza, chociaż i to nie jest normą powszechną. Uregulowanie tych stosunków uciążliwych zależy w zupełności od włościan; prawo z 1875 r., bierze w opiekę folwarki w podobny sposób urządzone i dopuszcza przymusową zamianę z włościanami, lecz pomija grunta włościańskie w szachownicy będące.

Są to warunki — słusznie dodaje autor cytowanego głosu — najgorsze dla produkcyi rolnéj. Folwark w podobną szachownicę urządzony, nie znalazłby kupca, ani dzierżawcy, towarzystwo kredytowe przy udzielaniu pożyczki, strąciłoby nie 15%, lecz chyba 50% z szacunku, nawet mieszczanie rolnicy, przy kupnie tego rodzaju osad, płacą za nie o 30% mniéj, niż za grunta, jedną całość stanowiące. Przypuściwszy, iż 4 miljony morgów gruntów ornych włościańskich zostaje w szachownicy, przy usunięciu takowéj, wartość tych gruntów, licząc średnią cenę morga rs. 50, podniosłaby się o całych 60 miljonów rubli.

Dopiero co przytoczone obliczenia są może za mało ścisłe, ale mają tę zaletę, że uderzają w najsłabszą stronę gospodarstw drobnych. W istocie bowiem, szachownica jest dziś najbardziéj uciążliwą dla gospodarstw włościańskich, których połowa pozostaje pod jéj uciskiem. Sprawy i interesy drobnéj własności tak się skutkiem tego komplikują, a nienormalne warunki gospodarstwa zakreśliły już tak szerokie koło, tak się nawet utrwaliły, iż autor głosu ze wsi widzi jedyny punkt wyjścia z obecnego zastoju w środkach prawodawczych. Sądzi on mianowicie, że najskuteczniejszém mogłoby być przymusowe rozkolonizowanie.

Charakterystyczną cechą wsi polskiéj jest urządzenie jéj mieszkańców gromadne, że użyjemy téj nazwy w przeciwstawieniu z urządzeniem kolonialném. Domy mieszkalne i zabudowania gospodarskie stoją tu zwykle w jednéj linii obok siebie, grunta zaś rozrzucone są po za chatami. Urządzenie kolonialne, powszechne u osadników niemieckich, rzadko daje się spotykać u naszych włościan. Właściwością tego urządzenia jest to, iż każdy osadnik ma grunta swoje obok zabudowań i dworku, co mu téż znakomicie ułatwia tak zwózkę zbiorów, jak i uprawę ziemi, oraz ogólny nadzór nad całém gospodarstwem. W gromadném urządzeniu, przeciwnie, włościanin

ani nie może dokładnie użyznić gruntu, ani porządnie sprzątnąć, dla zbytniéj odległości zabudowań od pola, która na każdym kroku zwiększa jego wydatki. Chcąc prowadzić gospodarstwo na kilku płozkach, rozrzuconych w szachownicę z innemi kawałkami sąsiedzkiemi, gospodarz drobny musiałby trzymać parobka, jeżeli nie przez rok cały, to przynajmniéj w czasie robót w polu, musi powiększyć ilość swojego inwentarza, ażeby z nich w właściwym czasie zwieść zboże do stodoły, lub zawieść na grunta nawóz, wreszcie, musi dokupić większą ilość narzędzi rolniczych. Wszystko to są wydatki i nakłady, których zupełnie nie byłoby potrzeba, gdyby nie szachownica! Lecz większość włościan nie jest w stanie ponosić tego rodzaju wydatków. Przyzwyczajony do oszczędności, usiłujący jak najtańszym kosztem zrobić wszystko, niechętnie sięgający do skrzynki po gotówkę, włościanin walczy z fatalną konfiguracyą swoich gruntów sam, najwyżéj wspólnie z rodziną, o ile ta jest zdatną do pracy. Trzyma wprawdzie masę inwentarza, lecz co to za inwentarz. Latem, dopóki są otwarte pastwiska służebnościowe, wygląda on jeszcze jako tako, lecz zimą marnieje, upada. Brak własnego paśnika nie pozwala dobrze odkarmić bydła i koni, które téż włościanom nie przynoszą odpowiedniéj korzyści, a lasy i łąki niepotrzebnie wyniszczają. Parobków spotkać można tylko u gospodarzy zamożniejszych, których osady zbliżają się do typu gospodarstw średnich.

Doskonałem nie może być gospodarstwo w powyższych warunkach. Nie możemy powiedzieć, aby dziś ludność wiejska w kraju naszym była ubogą. Zdarzają się przykłady, że włościanie przystępują do przedsięwzięć stosunkowo dość kosztownych i posiadają na nie pieniądze. Pomimo to jednak ulepszenia w gospodarstwie wprowadzają niechętnie, na każdym bowiem kroku krępuje ich szachownicza zależność od gruntów sąsiedzkich i wszystkie jéj następstwa; a stosunki, o jakich tu wspominamy, nie są wcale wyjątkowe, większość gospodarstw włościańskich musi się ustawicznie z nimi kłopocić.

Wiadomo, że regulacya włościan była podjęta energicznie przez towarzystwo kredytowe ziemskie. W 1860 r. wyjednano zezwolenie na emisyą nowéj seryi listów zastawnych, głównie na cele regulacyjne; w 1861 r. wreszcie nadano właścicielom dóbr prawo żądania obowiązkowego urządzenia włościan. Dla różnych przyczyn zabiegi te i starania nie odniosły skutku w takim zakresie, jak się spodziewano, tak, iż uwłaszczenie zastało włościan dóbr prywatnych w stanie nieuregulowanym. Procedura uwłaszczenia, wychodząc przedewszystkiém z punktu potrzeby gruntowego zabezpieczenia włościan, na drugim planie postawiła sprawę ich urządzeń, że zaś

przy uposażeniu przyszło dzielić osady i grunta dworskie, więc też w pierwszych latach po 1864 r. zawikłania szachownicze okazały się znacznie większe niż dawniéj.

Otóż w połowie siódmego dziesięciolecia mieliśmy, z małemi wyjątkami, włościan nie urządzonych w dobrach prywatnych, t. j. włościan dawniéj pańszczyznianych. Na jednę wieś prywatną wypadało wówczas 13 osad. Naturalnie proces ten w rozwoju drobnéj własności nie mógł pozostać bez wpływu na szachownicę, która też coraz bardziéj się szerząc, doprowadziła do tego, iż dziś blizko 68% osad włościańskich znajduje się w jéj pętach. Wprawdzie cyfry, przez nas podane, dotyczą tylko jednéj kategoryi włościan dawniéj pańszczyznianych i pomijają kategoryą włościan rządowych, jako znacznie dawniéj już urządzonych, to jednak doniosłość ich tak dalece się nie zmniejsza w stosunku do drobnéj własności wogóle w całym kraju, ponieważ nowe osady włościańskie w przeważnéj większości powstały na gruntach wsi prywatnych. Liczba gospodarstw karłowatych jest jeszcze w kraju naszym bardzo niewielka, nawet tak mała, iż może nie zwracać uwagi. Lecz czy z czasem nie powiększy się ona? W odpowiedzi na to pytanie przytoczymy wykaz średniego obszaru osad w rozmaitych miejscowościach Królestwa i obliczenia ilości gospodarstw o minimalnym obszarze.

Podług wykazu wsi, miast i osad, sporządzonego w 1881 roku w ministeryum spraw wewnętrznych, liczba osad włościańskich w Królestwie w tymże czasie wynosiła ogółem 685,423, z obszarem 8,598,988 morgów, tak iż na jednę osadę wypada średnio po 12,5 mrg. Obliczając średnią przestrzeń osad włościańskich w każdéj gubernii oddzielnie otrzymamy już cyfry znacznie odmienne, a mianowicie:

w guber.	suwalskiéj	średnia	przestrzeń	osady	wynosi	20,9	mrg.
„	siedleckiéj	„	„	„	„	15,5	„
„	lubelskiéj	„	„	„	„	13,8	„
„	łomżyńskiéj	„	„	„	„	13,7	„
„	warszawskiéj	„	„	„	„	12,4	„
„	piotrkowskiéj	„	„	„	„	11,9	„
„	radomskiéj	„	„	„	„	10,9	„
„	płockiéj	„	„	„	„	10,6	„
„	kaliskiéj	„	„	„	„	9,2	„
„	kieleckiéj	„	„	„	„	8,8	„

Biorąc więc pod uwagę jedynie stosunki średnie, wypada, iż najdrobniejsze osady znajdują się w guberniach kieleckiéj, kaliskiéj, płockiéj i radomskiéj, największe zaś — w suwalskiéj, siedleckiéj, lubelskiéj i łomżyńskiéj.

Chociaż same przez się cyfry powyższe już dają miarę ogólnego stanu gospodarstw włościańskich, w każdym razie nie uczą nas one, w jakim stosunku do osad o średniéj przestrzeni stoją osady zupełnie drobno-gruntowe.

Ścisłych obliczeń w téj mierze przeprowadzić niepodobna, dla braku odnośnych szczegółów w wiadomościach urzędowych. Nie możemy téż wskazać, ile w kraju naszym jest osad jednomorgowych, dwu i trzy morgowych oddzielnie. Poprzestajemy przeto na wskazówkach przybliżonych.

Otóż w chwili ostatecznego sprawdzania tabeli likwidacyjnych, liczba osad z przestrzenią do 3-ch morgów wynosiła 108,246. Dziś liczba ta musi być znacznie wyższą, ponieważ w ostatnich czasach powstało wiele osad zupełnie drobnych, dawne podzielono drogą spadku lub odprzedaży i t. d. Osad zaś od 3—6 morgów przestrzeni liczą średnio na 100,000, tak iż wogóle na 685,423 osad w 1881 r. wypada do 250,000 osad z przestrzenią niżéj 6-ciu morgów, Nie sądzimy, by cyfra ta była wygórowana. Na zjeździe ostatnim leśników w Warszawie jeden z członków podał 300,000 osad téj kategoryi. Trzymając się naszéj liczby, przekonywamy się, że w kraju naszym 36% osad włościańskich posiada przestrzeń do 6-ciu morgów, a 21% osad posiada przestrzeń do 3-ch morgów.

Z cyfr przytoczonych można wyprowadzić przedewszystkiém wniosek, iż własność włościańska rozdrabnia się powoli, oraz że stosunki szachownicze coraz bardziéj się gmatwają. O tém zaś, czy nabywane przez włościan od dworów grunta dzielą się racyonalnie pomiędzy nowonabywcami, i czy proces ten doprowadził już do sformowania pewnéj ilości gospodarstw średnich, zwykle dla produkcyi najkorzystniejszych, a pod względem społecznym także bardzo pożądanych, o tém cyfry nam znane zgoła nas nie pouczają, możemy jednak mieć nadzieję, że prędzéj czy późniéj gospodarstwa takie dadzą znak życia i sformują osobną kategoryą rolników zamożnych i oświeconych.

Tymczasem stoimy na gruncie zupełnie otwartéj kwestyi regulacyi gruntów włościańskich. Sądzimy, iż sprawa ta o tyle ważna, że zasługuje na bardzo pilną uwagę. Dotąd jednak nikt się nią nie interesuje. Drobna własność — jest to dla publiczności *terra incognita*, znających zaś ją zdaje się mało obchodzić. Wszyscy są zajęci losami gospodarstwa folwarcznego, tego téż sprawy szczegółowo roztrząsają.

Czy takie lekceważenie gospodarstw, rozporządzających połową gruntów uprawnych w całym kraju, lekceważenie najliczniejszéj klasy ludności — odpowiada potrzebom rolnictwa i interesom społeczeństwa? Przeciwnicy parcelacyi, wykazując wszelkie ujemne

strony drobnéj własności, traktują gospodarstwo włościańskie tak jak gdyby ono znajdowało się w zupełnie normalnych warunkach i zapominają o tych licznych przeszkodach, jakie stoją na drodze w jego postępie. Jeżeli przeszkody te mają się daléj rozwijać, drobna własność może w rzeczy saméj zawisnąć jak kula u nóg większych właścicieli, lecz czyż podobne przypuszczenie jest możliwém? Gdzie idzie o 70% mieszkańców kraju, tam wszelkie nienormalne stosunki, jeżeli zawczasu nie będą uregulowane, muszą sprowadzić prędzéj lub późniéj, więcéj lub mniéj groźne przesilenie, lecz pozostać na zawsze nie mogą.

Drobna własność może się rozwijać i przyczyniać się do podniesienia ogólnego dobrobytu, jeżeli będzie posiadała warunki odpowiednie. O tém właśnie zapominają ci wszyscy, którzy mówią o gospodarstwie włościańskiém wtedy tylko, gdy występują przeciwko parcelacyi.

Z odsunięciem wpływu dworów, z pozostawieniem zupełnéj swobody działaniom samych tylko destrukcyjnych i demoralizujących czynników, które w owym wpływie znaleść by musiały opór i zrównoważenie — czytamy w jednym z ostatnich numerów „Gazety Rolniczéj“,—nastąpić musiało cofnięcie się włościan naszych pod względem moralnym, nawet pomimo wzrastającego w pewnéj mierze dobrobytu. Czyż więc możliwém jest przypuszczenie, iż nasi mali gospodarze, ciemni i bardziéj jeszcze dziś niż dawniéj zdemoralizowani, potrafią o własnych siłach dźwigać się naprzód w cywilizacyjnym postępie? Przypuszczenie podobne byłoby wprost niedorzecznném...“

Nam się zdaje przeciwnie, że podobne przypuszczenie nie zawiera żadnéj zbrodni ani wobec logiki, ani wobec faktów. Włościanin nasz chętnie idzie do szkoły, nie skąpi téż funduszów na kształcenie dzieci, jeżeli zaś dotąd spotykamy jeszcze niewielu włościan w wyższych zakładach naukowych, to jednak dość licznie oni zasiadają na ławach gimnazyalnych. Zresztą w uniwersytecie warszawskim nie bardzo licznych mamy reprezentantów młodego pokolenia własności wielkiéj.

Co się zaś tyczy wpływu dworów, wszak od 15-tu lat wszystkie dzienniki zarzucają dworom obojętność i dobrowolne usuwanie się właścicieli ze stanowisk, na których mogliby oddziaływać na sprawy gminne i włościan. O jakim więc wpływie mówi *Gazeta Rolnicza*? Nie przypuszczamy, ażeby o tym, z jakiego korzystały dwory w czasach pańszczyznianych.

Gazeta Rolnicza wydrukowała niedawno szereg artykułów czysto teoretycznych w sprawie parcelacyi, stając w nich po stronie

przeciwników tego objawu. Naturalnie każdy ktokolwiek będzie roztrząsał dany fakt ekonomiczny wyłącznie ze stanowiska jego wpływu na ogólną produkcyą kraju, musi zganić wszystko to, co może oddziałać ujemnie na tę produkcyą. Że zaś z obliczeń *Gaz. Rolniczéj* wypadło, iż włościanie produkują mniéj niż folwarki, więc ztąd prosty wniosek na niekorzyść zwiększania się przestrzeni drobnéj własności. Gdyby autor tych artykułów zmienił punkt widzenia, zaczął traktować sprawy parcelacyi nie tylko ze stanowiska wytwarzania bogactw, lecz z uwzględnieniem postulatów nauki o podziale bogactw, z drugiéj zaś strony gdyby uwzględnił obecny, faktyczny stan gospodarstw włościańskich, możeby zmienił swój wyrok o parcelacyi, możeby zechciał uznać, że daleko właściwiéj skalę dobrobytu danego kraju mierzyć przedewszystkiém średnią zamożnością jego mieszkańców, a nie ilością produkcyi lub sumą eksportu.

Gazeta Rolnicza zajęła przeciwne stanowisko teoretyczne, które w takich sprawach jak dobrobyt kraju, niezupełnie jest właściwém i nie uwzględniła potrzeb drobnéj własności, to téż w wywodach swoich przyszła do wniosków ujemnych o parcelacyi, pomimo iż sama twierdzi: z jednéj strony—„że w kraju naszym znaczna część gospodarstw wielkich powinna być zaliczona do rzędu latifundiów,“ i z drugiéj—że latifundie te nie dają i dać nie mogą, dla zbytnich obszarów, takiego dochodu, któryby zrównoważył koszta nakładowe.

Że parcelacya może nieraz przynieść dodatnie rezultaty, o tém przekonywa wzorowe gospodarstwo, zaprowadzone na parcelach dawnych folwarków zaniedbanych, np. w nieszawskiém, gdzie trzy folwarki przeszły w ręce włościan z Kujaw i dziś stanowią wzór zamożnych drobnych osad. Parcelacya jest w stanie oddziałać potrójnie na stosunki ekonomiczne w kraju—z jednéj strony równoważyć naturalnie zmniejszanie się przestrzeni średniéj w osadach, z drugiéj zaś podnieść gospodarstwo rolne na folwarkach, które po odprzedaży obciążających przestrzeni, będą mogły stopniowo rozwijać uprawę intensywną, — wreszcie z trzeciéj strony parcelacya może wpłynąć na urobienie się w kraju naszym silnéj własności średniéj.

Sprawy te—parcelacyi, szachownicy, rozdrobnienia gruntowego, służebności, ściśle z sobą się łączą, potrącając o jedną, poruszamy zaraz drugą, wszystkie zaś razem tworzą obecną kwestyą włościańską. Zaznaczaliśmy poprzednio brak podstaw faktycznych w jéj traktowaniu, spodziewać się jednak należy, że i te drogi wkrótce uzupełnione będą — jeżeli tylko wskrzeszony *Ekonomista* zdoła wypełnić dział swego programu o drobnéj własności.

Ekonomista zaczął wychodzić od nowego roku po całorocznéj przerwie. Pismo to istniejące już od lat 15-tu, różne przechodziło koleje, zmieniając swoję formę i kierunek. Z dwutygodnika ściśle teoretycznego, naukowego, *Ekonomista* stał się w końcu tygodnikiem popularnym, podnoszącym sprawy bieżące praktyczne. Zdawało by się napozór, że zmiana ta zapewni pismu poczytność i wpływ, tymczasem, tygodnik po wyczerpaniu środków nakładowych, zawiesił swoje wydawnictwo.

Czy obecne wskrzeszenie *Ekonomisty* będzie długo-trwalem? Nie wiemy, chociaż w dzisiejszych czasach ogólnego zainteresowania się sprawami ekonomicznemi, pismo, sprawom tym wyłącznie poświęcone, powinno chyba odpowiadać potrzebom i zyskiwać czytelników, ile że obecna redakcya, złożona z poważnego zastępu ludzi nauki, daje rękojmię również poważnego kierunku wydawnictwa.

W trzech pierwszych numerach, spotykamy kilka rzeczy źródłowo opracowanych, dość sutą wiązankę materyałów statystycznych, kilka artykułów w sprawach chwili, tak miejscowych jako też i charakteru ogólnego.

Na wstępie czytamy projekt urządzenia *giełdy pracy*, pióra p. A. Egera. Może się wydawać trochę dziwném, że myśl podobnéj instytucyi zrodziła się na naszym gruncie. Wszak anglicy, amerykanie lub niemcy wreszcie, stokroć daléj posunięci od nas na polu pracy przemysłowéj, dotąd na nią nie wpadli. A przecież u nich to właśnie kwestya robocza jest obecnie wstanie zaognienia, my zaś nie mamy ani tylu robotników, ani tylu ognisk przemysłowych ażeby giełda pracy mogła mieć cechy prawdziwéj potrzeby. To też projekt p. Egera zaliczamy raczéj do pomysłów teoretycznych, niż praktycznych, jakkolwiek jest on oparty na zasadzie utylitarnéj. Może kiedyś zbogaci on ilość urządzeń robotniczych, jeżeli np. dowie się o nim Anglia lub Ameryka.

Kiedy kapitalista, bankier, przemysłowiec i kupiec—rozumuje p. E.—codziennie są powiadomiani, niemal z godziny na godzinę, o cenie pieniędzy, papierów publicznych i wszelkich towarów, o stanie rynków i zapasów,—jedni wytwórcy i sprzedawcy pracy, pomimo że stanowią co najmniéj $^9/_{10}$ całego kupczącego zastępu, frymarczą (!) towarem swoim zupełnie po omacku, nie znając dokładnie ani rzeczywistéj jego wartości, ani stanu zapasów, ani popytu, ani podaży. Ażeby więc zapewnić pracy dobrodziejstwo jawności tranzakcyi, p. E. projektuje ustanowienie giełdy na któréj-by przysięgli ajenci notowali kursa cen pracy, stan zapasów, siłę popytu itd., słowem giełdę taką, jaką posiadają wszelkie towary z kapi-

tałem na czele, a jakiéj dotąd pozbawiony jest jeden tylko towar— praca, towar najcenniejszy, bo najniezbędniejszy.

Czy praktyka udzieli swéj sankcyi projektowi o tém wielce można wątpić. Najpierw praca, jako towar, różni się zasadniczo od innych towarów tém głównie, że o jéj wartości stanowi nietylko siła fizyczna robotnika, lecz i stopień jego uzdolnienia, a nawet pierwiastki czysto etycznéj natury. Jeżeli kupujący zboże może na oko ocenić jego wartość i nie potrzebuje wiedziéć, zkąd ono pochodzi, to przeciwnie, wynajmujący robotnika częstokroć żąda świadectwa poprzedniego pracodawcy o sprawowaniu się i w ogóle o charakterze, o wartości moralnéj najemnika. Nie mówimy, ażeby podobna legitymacya była powszechną w użyciu, nikt jednak nie zaprzeczy, że jest ona właściwą i naturalną w wielu zawodach. Ceduła giełdowa pracy nie będzie w stanie zaznaczyć téj cechy swego towaru.

Z drugiéj znowu strony praca, jako towar, posiada tak bogatą klasyfikacyę, a w miarę rozwoju przemysłu i coraz szerszego stosowania zasady podziału zajęć, będzie ją posiadała jeszcze bogatszą, że same uwzględnienie wszystkich kategoryi robotników w cedule giełdowéj może być zadaniem jeżeli nie zupełnie niedościgłém, to bardzo utrudzoném.

W gruncie rzeczy, na dnie projektu giełdy pracy spoczywa myśl reformy dzisiejszych kantorów stręczeń. Ostatnie nie odpowiadają dziś, i zapewne nigdy odpowiadać nie będą, słusznym wymaganiom stron kontraktujących, tj. pracodawców i pracobiorców. Jako urządzenia prywatne mają one na względzie przedewszystkiém zysk własny, to téż ich ceduła, jeżeli można nazwać w ten sposób książki kantorowe, nie uwzględnia istotnéj siły podaży i popytu, lecz wprost notuje pojedyńcze wypadki umów lub zapotrzebowania. Zadaniem kantoru jest przedewszystkiém zwiększenie ilości kontraktów, z czego zysk odnosi pośrednik, lecz nie strony. Otóż porzuciwszy szumny tytuł giełdy pracy, myśl p. Egera możnaby ze względów praktycznych zredukować do wniosku o reformie prywatnych kantorów stręczeń pracy na kantory publiczne, któreby działały w interesie stron umawiających się, poprzestając na odpowiedniéj prowizyi.

Obok roztrząsanego powyżéj projektu, w pierwszych numerach *Ekonomisty* czytamy jeszcze poważne rozprawy p. Danielewicza o naszych prywatnych kasach emerytalnych i przezorności, oraz p. Józefa Kirszrota o kredycie włościańskim.

Dotąd potrzeby kredytowe włościan zaspokaja głównie instytucya kas gminnych. Powiadamy *głównie*, ponieważ w ostatnich czasach drobna własność została dopuszczona do pożyczek w towarzy-

stwie kredytowém ziemskiem, lecz dla wielu przyczyn z pożyczek tych korzystać nie zawsze może, tak iż pozostaje dla niéj otwartym jedynie kredyt w kasach gminnych.

Instytucya tych kas powstała w 1869 r., a w r. 1870 b. komitet urządzający wydał *czasową* ustawę dla kas zaliczkowo-oszczędnościowych w gminach, która dotąd obowiązywać nie przestaje, pomimo że na wielu punktach jest już stanowczo przestarzała i za ciasna dla obecnych stosunków. Rewizyę téj ustawy zapowiadano niejednokrotnie, dopiero jednak w 1881 roku podjęto ją na seryo, dzięki inicyatywie prezesa b. komisyi czasowéj do spraw włościańskich. Celem rewizyi— będącéj obecnie w toku—jest opracowanie ostatecznéj normalnéj ustawy dla kas gminnych, na podstawie rezultatów i wskazówek z dziewięcioletniéj ich działalności. Chociaż instytucya, z któréj inicyatywy zarządzono rewizyę dziś już nie istnieje, wszakże prace przygotowawcze zawieszone nie zostały,— owszem, o ile nam wiadomo z wiarogodnego źródła, szybko zbliżają się ku końcowi. Zebrano już uwagi wszystkich zarządów gubernialnych nad pojedyńczémi artykułami ustawy, oraz całością jéj zasad, następnie zaś posłano tymże urzędom kwestyonaryusz, obejmujący kilkanaście pytań co do punktów, jakie należałoby zmienić w nowéj ustawie normalnéj i skoro tylko odpowiedzi na ten kwestyonaryusz nadejdą, niezwłocznie rozpoczętą będzie praca nad samym już statutem kas.

O ile instytucya kas gminnych zaspakaja potrzeby kredytowe własności włościańskiéj, a więc i o ile obecna rewizya może oddziałać na rozwój téj instytucyi, przekonywa statystyka kas, z któréj wyjmujemy tu kilka szczegółów ogólniejszych.

W 1873 r. na 1311 gmin w Królestwie Polskiém było 503 kas gminnych, dziś na 1102 gmin liczba ich doszła już do 866, w przeciągu więc dziesięciu lat przybyło 363 kas t. j. po 40 na rok.

Najwięcéj kas posiada dziś gubernia lubelska, najmniéj siedlecka, inne zajmują pod względem rozwoju téj instytucyi miejsce pośrednie, a mianowicie:

w lubelskiéj . .	na	143	gmin wypada	140	kas
„ kaliskiéj . . .	„	142	„ „	124	„
„ łomżyńskiéj .	„	89	„ „	61	„
„ suwalskiéj . .	„	93	„ „	61	„
„ radomskiéj. .	„	145	„ „	110	„
„ płockiéj. . . .	„	110	„ „	66	„
„ kieleckiéj. . .	„	132	„ „	74	„
„ warszawskiéj.	„	154	„ „	91	„

w piotrkowskiéj na 149 gmin wypada 83 kas
„ siedleckiéj . . „ 145 „ „ 59 „

Zarządy kas gminnych nigdzie sprawozdań o działalności instytucyi nie drukują. Jedynie komisarze włościańscy, których obowiązkiem jest dokonywać rewizyi kas, składają o nich raporta roczne zarządom gubernialnym do spraw włościańskich, a te znowu podają z nich ogólne wiadomości do sprawozdań gubernatorów. Ostatnie więc są jedynym prawie materyałem dla statystyki kas gminnych. Wobec tego trudném jest cośkolwiek stanowczego powiedzieć o znaczeniu ekonomicznéni téj instytucyi. Oprócz bowiem liczby kas, sumy obrotów, ilości pożyczek, wysokości kapitału zakładowego, inne ważne szczegóły pozostają w archiwach lub w księgach kasowych. Niewiadomo np. ilu każda kasa ma dłużników, jak wysokie udzielała pożyczki, ilu włościan korzystało z kredytu na zastaw, a ilu za poręczeniem i t. d. Wszystko to są szczegóły, z których możnaby złożyć odpowiednią charakterystykę, ponieważ zaś ich niema, trzeba poprzestać na ogólnikach, a wnioski krytyczne opierać nietyle na rezultatach cyfrowych dotychczasowéj działalności instytucyi, ile na zasadniczych usterkach saméj ustawy.

A ustawa ta istotnie z wielu stron może być atakowana, nie daje bowiem rękojmi, że kasy jako instytucye pożyczkowe, choć w części przyczynią się do uspokojenia potrzeb kredytowych drobnéj własności, a jako instytucye oszczędnościowe — wywołają u ludności wiejskiéj uśpione poczucie przezorności. Do pierwszego zdania upoważnia nas okoliczność, że podstawą pożyczek jest urzędowa taksa ziemi, sporządzona jeszcze w 1876 r., która podaje tak nizkie ceny morgów, jako jednostki zastawniczéj w rozmaitych powiatach, iż musi redukować kredyt włościański do *minimum*; z drugiéj znowu strony pożyczki krótkoterminowe, właściwe kasom gminnym, w praktyce zamieniają się na długoterminowe, w ten sposób iż dłużnik po spłaceniu w terminie należności niezwłocznie zaciąga nową pożyczkę i tak postępuje przez lat kilka, czyniąc przez to kredyt dla innych włościan niedostępnym.

Jako instytucya zachęcająca do oszczędności, kasy gminne nie mają w sobie dość siły pociągającéj i bodaj nie przezwyciężyły jeszcze usposobienia włościan do chowania zaoszczędzonego grosza w różnych kryjówkach, ustawa nie dozwala płacić procentów od oszczędności w kasie złożonych, aż póki nie będzie rozpożyczoną przynajmniéj część trzecia kapitału zakładowego.

To są główne usterki, drobnych znalazłoby się więcéj....

W takim stanie rzeczy nie należy się dziwić, iż rewizya staréj, tymczasowéj i opracowanie nowéj ustawy dla kas gminnych dotąd

ukończone nie zostały. Nowe stosunki i nowe potrzeby drobnéj własności, układ gruntów znacznie zmieniony, podniesienie się cen ziemi—wszystko to zapewne będzie uwzględnione przez redakcyą statutu normalnego.

Ponieważ rozprawa p. Kirszrota w *Ekonomiście* dopiero się zaczęła, nie wiemy więc jakiego rodzaju kredyt włościański autor ma na względzie. Drobna własność ziemska ma dzisiaj znacznie szersze niż dawniéj potrzeby, a do zaspokojenia tych potrzeb brak jéj częstokroć odpowiednich środków. Zkąd ich wziąć? Zapewne, że projektów możnaby dać kilka i projektów dobrych, lecz ze względu na trudności w ich urzeczywistnieniu, czy nie właściwiéj byłoby uderzać w słabe strony dziś istniejących urządzeń kredytowych, wskazując, w jaki sposób mogłyby one rozszerzyć granice udziału drobnéj własności w pożyczkach. Kasy gminne np. w przeciągu dziesięciu lat swego istnienia zasiliły — podług obliczeń p. Banzemera — drobnych rolników kredytem krótkoterminowym w sumie blisko 10 milonów rubli. Już jedna ta cyfra daje miarę, jak pożyteczną i wpływową może być instytucya kas wiejskich, jeżeli tylko ustawa jéj będzie oparta na wywodach, wynikających z potrzeb drobnéj własności. Z drugiéj zaś strony i towarzystwo kredytowe ziemskie mogłoby otworzyć szerszy niż dotąd kredyt dla włościan.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Grudnia 1882 r.

1. **Władysław Zieliński.** August II i Aurora Königsmarck—powieść osnuta na tle historycznem, 2 tomy. Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta 1883 r., str. 153 i 126.
2. **O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich**, napisał dr. *Wojciech Kętrzyński*. Lwów 1882. Nakład zakładu nar. im. Ossolińskich—z trzema mapami, str. XXIII i 658.
3. **Prawo spadkowe rzymskie**, napisał dr. *Leonard Piętak*. Tom I. Lwów 1882. Nakład autora, str. XVIII i 390.
4. **O T. Z. Ustawodawstwie tymczasowem.** Studyum porównawcze z dziedziny prawa politycznego, napisał dr. *Stanisław Starzyński*. Lwów 1883. Nakład autora str. 335.
5. **Gawędy Ludwika Niemojewskiego.** Warszawa 1883 str. 315.
6. **Ląd Afrykański** w świetle najnowszych badań, napisał dr. *Jarosław Vlach*, przekład z czeskiego. Warszawa, nakład F. Sulimierskiego 1883, str. 125.
7. **Wykład popularny o blednicy**, na użytek publiczności nie lekarskiej; opracował dr. *Łuczkiewicz*. Wilno 1882 str. 84.
8. **Pierwsze letnie kolonje u nas**, sprawozdanie *St. Markiewicza* (odbitka z „Nowin“). Warszawa 1881 r. 16-o str. 72.
9. **Filozofja praktyczna** przez *Łodzię z Bytonia* Warszawa 17828 o str. 100
10. **Arabella B. Buckley.** Czary w Krainie wiedzy przełożyła z angielskiego *E. H.* Warszawa. 1883 u Lesmana i Swiszczowskiego. 8-o st. 238.
11. **Stanisław Kuczewski.** Komedye. Majątek na sprzedaż. Pan Paplaga Wydziedziczania. Warszawa 1833, 8-o str. 180.
12. **Feliks Bogacki**. Istota zjawisk psychicznych. Warszawa u Lesmana i Swiszczowskiego, 1883 8-e str. 180.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1883.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku następnym 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku przyszłym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Декабря 1882 г.